

ALEKSANDRA

MARININA

zabójca
mimo woli

MRO CZNA
SERIA



wydawnictwo
ab
two

Aleksandra Marinina

Zabójca mimo woli

przełożyła Aleksandra Stronka

WAB

Wydanie I
Warszawa 2008

Tytuł oryginału: *Убийца поневоле*

Copyright © A. Marinina, 1995

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2008

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2008

Redakcja: Ewa Rojewska-Olejarczuk

Korekta: Magdalena Stajewska

Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt okładki, stron tytułowych i rysunek na I stronie okładki: Marek Goebel

Fotografia autorki: © W. Zawjałow

Wydawnictwo W.A.B.

02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne

Piaseczno, Żółkiewskiego 7A

Druk i oprawa: Opolgraf S.A. Opole,

ul. Niedziałkowskiego 8-12

ISBN 978-83-7414-402-5

Książki oraz bezpłatny katalog Wydawnictwa W.A.B. można zamówić pod adresem:

ul. Łowicka 31, 02-502 Warszawa

tel. (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Konwersja: [Nexto Digital Services](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Podziękowania

ROZDZIAŁ 1

1

2

3

4

ROZDZIAŁ 2

1

2

3

4

ROZDZIAŁ 3

1

2

3

4

5

ROZDZIAŁ 4

1

2

3

ROZDZIAŁ 5

1

2

3

ROZDZIAŁ 6

1

2

3

4

ROZDZIAŁ 7

1

2

3

4

5

6

ROZDZIAŁ 8

1

2

3

4

5

6

ROZDZIAŁ 9

1

2

3

4

5

6

ROZDZIAŁ 10

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6

ROZDZIAŁ 11

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7

ROZDZIAŁ 12

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7

Podziękowania

Pragnę wyrazić sympatię i podziw dla mojej przyjaciółki Iriny Kozłowej, która z poświęceniem pomagała mi w pierwszym etapie pracy nad powieścią, pomimo choroby i niezmiernie trudnej sytuacji osobistej;

głęboką wdzięczność dla mojego stałego konsultanta Siergieja Zatocznego;

serdeczne podziękowania Ludmile Zabłockiene, która wspierała mnie w najtrudniejszej chwili pracy nad powieścią, kiedy miałam ochotę wszystko rzucić.

ROZDZIAŁ 1

1

Czarna sukienka leżała na zgrabnej figurze jak ulał, korzystnie podkreślając ładny biust i szczupłą talię.

– No jak? – Nastia zrobiła wymyślny piruet, przy czym w wysokim do bioder rozcięciu uwodzicielsko mignęła noga w cielistej pończosze.

– Dech wprost zapiera! – odparł z zachwytem Losza Czistiakow, przez długie lata przyzwyczajony do oglądania swojej przyjaciółki przeważnie w dżinsach, swetrach i adidasach. – A tobie samej się podoba?

– Bardzo, dziękuję ci, słoneczko.

– Chciałem ci sprawić przyjemność. W końcu takie wydarzenie...

Nastia, okręcająca się przed lustrem, zatrzymała się i podejrzliwie popatrzyła na Loszę.

– Jakie wydarzenie?

– Pierwszy raz zgodziłaś się pojechać ze mną na bankiet. Przyznaj, to przecież coś znaczy.

Nastia zachmurzyła się niezadowolona.

– Coś ty, chcesz, żebym pojechała w... w tym?

– No tak. Kupiłem tę sukienkę specjalnie na dzisiejszy wieczór.

– Loszeńka, kochanie – zaczęła błagać – ja się w niej zamęcę. Cały wieczór spędzić w pantoflach na szpilkach, trzymać się prosto, nie móc usiąść wygodnie, tak jak się ma ochotę – nie zniosę tego. Może jednak włożę spodnie i wygodne buty?

– Asia, ale to przecież bankiet! – oburzył się Czistiakow. – Jakie spodnie? Zwariowałaś?

– Obiecuję, spodnie będą najlepszej marki, wprost od Cardina. I wezmę najszykowniejszy sweter. No co, Loszyk?

Czule objęła Loszę i potarła nosem o jego ramię. Losza w rozpaczy machnął ręką i odwrócił się.

– Tak się starałem... – powiedział przygnębiony. – Biegałem po sklepach, szukałem tej cholерnej sukienki, marzyłem, że ją włożysz. Chciałem, żeby była koniecznie czarna, przecież lubisz ten kolor. I co teraz? Wszystko na darmo?

Patrząc na jego zasmuconą twarz, Nastia poczuła wyrzuty sumienia. Faktycznie starał się, chciał zrobić jej prezent, a ona... Ale, z drugiej strony, cały wieczór w sukience za sześćset dolarów i pantoflach na wysokich obcasach, gdy bolą plecy i puchną nogi – to nie najmiłsza perspektywa.

– A co tam – zdecydowała się nagle – może rzeczywiście raz w życiu wyjść między ludzi, wyglądając przyzwoicie? Zrobię sobie fryzurę, twarz – i naprzód.

Losza chwycił ją w objęcia i zawiówał po pokoju.

– Aśka, będziesz na tym spędzie najpiękniejsza! Wszyscy faceci poumierają z zazdrości!

Stojąc pod gorącym prysznicem i wcierając szampon w długie jasne włosy, Nastia Kamieńska myślała o tym, że jej poświęcenie nie jest znowu takie wielkie, zważywszy na to, ile dobrego zrobił dla niej Czistiakow przez lata, które spędzili razem. Losza pielęgnował ją w chorobie, taszczył torby z zakupami, podawał smaczne kolacje, potulnie znosił jej zdecydowaną niechęć do oficjalnego uregulowania ich stosunków, cierpliwie przeczekiwał ataki złego nastroju. Czy naprawdę nie zasłużył tym wszystkim na prawo pojawienia się, choćby raz, na bankiecie ze swoją przyjaciółką, o której tyle lat słyszą wszyscy jego koledzy, ale której nigdy nie widzieli?! Zaczęto już coraz częściej z niego żartować: „Czemu tak ukrywasz przed nami swoją milicyjną damę? Może trafiła ci się kulawa albo garbata?” Oczywiście, to by było efektowne: młody uczonek, profesor, błyskotliwy matematyk, laureat międzynarodowych nagród, pojawia się na bankiecie pod rączkę z oszałamiającą blondynką! Na tę myśl Nastia parsknęła, potem nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. Ona jest przecież niepozorną szarą myszką o bladej, niewyrazistej twarzy i tylko Loszka ze swoją wzruszającą bezgraniczną miłością widzi w niej piękność. Chociaż gdyby się przyłożyła i zrobiła porządny makijaż, może się stać bardzo ładna, nawet piękna, bo figurę ma naprawdę świetną, tak że w czarnej sukience za sześćset dolarów...

– Asia – rozległ się zza drzwi głos Loszy – telefonuje Gordiejew. Będziesz rozmawiać czy powiedzieć, że oddzwonisz później?

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew był szefem Nasti i jego telefon w sobotę nie wróżył nic dobrego. Błysnęła jej tchórzliwa myśl, że jest pilnie potrzebna w pracy, co pomoże jej kolejny raz wykręcić się od znieawidzonej imprezy, jaką wydawał się nie tylko nadchodzący bankiet, ale i w ogóle wszelkie towarzyskie spędy.

– Przynieś telefon tutaj! – krzyknęła.

Losza uchylił drzwi, wpuszczając do wypełnionej parą łazienki strumień chłodnego powietrza, i podał jej aparat.

– Nastazjo, chyba znowu zepsuję ci weekend – rozległ się w słuchawce głos Gordiejewa. – Słyszałaś już o wspólnym orzeczeniu kolegium MSW i Prokuratury Generalnej o słabej wykrywalności zabójstw?

– Oczywiście, nawet je czytałam.

Ulokowała się jak najwygodniej, żeby podstawić cmiący krzyż prosto pod strumień gorącej wody.

– No więc polecono nam pilnie przygotować raport analityczny na temat niewyjaśnionych zabójstw za ostatnie pięć lat. Zadanie jasne?

– Już jaśniej nie można – odparła z westchnieniem. – A termin?

– Jak to się mówi, na wczoraj. Ile potrzebujesz czasu?

– No – Nastia zawahała się – gdybym nie robiła nic innego, to jakiś tydzień.

– Też coś! – fuknął Gordiejew. – Akurat ci pozwolę nie robić nic innego przez cały tydzień. Zróbmy tak. Raport będziesz przygotowywać tak długo, jak długo trzeba, ale żeby to był towar, którego się nie powstydzimy. A przed „górami” ja sam będę się

tłumaczyć, jeśli zaczną nas popędzać. Tylko zbytnio nie przeciągaj, umowa stoi?

– Dziękuję, Wiktorze Aleksiejewiczu. Postaram się.

Otuliwszy się ciepłym szlafrokiem i zawinawszy mokre włosy w ręcznik, Nastia wyszła z łazienki. I od razu zobaczyła stojącego w korytarzu Loszę z zaniepokojoną miną i smutnym spojrzeniem.

– Znowu? – zapytał z rezygnacją.

Przytaknęła w milczeniu, wewnątrz rozdartą między współczuciem dla niego a rozpaczliwą niechęcią pójścia na bankiet. Współczucie w końcu zwyciężyło.

– Proponuję rozwiązanie kompromisowe – powiedziała. – Jedziemy na bankiet, w drodze powrotnej zajeżdżamy do ciebie do domu, zabieramy twój komputer i na razie instalujemy go tutaj. Na parę tygodni, nie więcej. Jeżeli będę miała komputer, zrobię raport o wiele szybciej, a bez musiałabym brać się do pracy natychmiast.

– Ale co ja zrobię bez komputera?... – stropił się Losza.

– Wybieraj: albo dwa tygodnie bez komputera, albo dzisiaj beze mnie na bankiecie.

– A mogę te dwa tygodnie pomieszkać tutaj i pracować na komputerze w ciągu dnia, kiedy ciebie nie będzie?

– Oczywiście, słoneczko. Przy okazji będziesz chodzić do sklepu i gotować mi obiady.

– Aśka, jesteś wręcz nieprzyzwoicie interesowna. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego do tej pory nie przestałem cię kochać.

– Dlatego, że jesteś leniwy. Zakochać się można w ciągu sekundy, łatwo i zwyczajnie, ale przestać kochać – to ponad ludzkie siły.

Dlaczego nieodwzajemniona miłość zamienia się w tragedię? Dlatego, że niektórych nie stać na taki wysiłek.

Ulokowała się w kuchni, włączyła suszarkę i zaczęła suszyć włosy.

– Pomyśl tylko, jaka to męka – zdawać sobie sprawę, że twoja miłość komuś przeszkadza, czyni go nieszczęśliwym, zaczynasz wtedy wyrywać ją z siebie na siłę, z mięsem, przez co z każdym dniem kochasz coraz mocniej i czujesz, że tracisz rozum...

Podniosła głos, policzki jej się zaróżowiły, oczy z bladoszarych stały się błękitne. Nastia zrozumiała, że za bardzo ją poniosło. Przypomniała sobie własny dawno zapomniany ból i zaczęła mówić o nim na głos, do tego jeszcze przy Loszy. „Nieczuła świnia” – złażała się w myślach. Ale było już za późno. Losza też sobie przypomniał i z pewnością było mu jeszcze bardziej przykro.

– Zaparzę kawę – powiedział sztucznie obojętnym tonem i sięgnął do szafy po młynek.

Nastia z przesadną dokładnością suszyła włosy, Losza również starannie, przestrzegając wszystkich subtelności procedury, odprawiał czary nad kawą. Rozmawiać nie mieli ochoty, wszystko i tak było jasne.

– Jak myślisz, jakie kolczyki lepiej założyć do twojej sukienki? – zapytała ostrożnie Nastia, gdy kawa została wypita, włosy wysuszone i był najwyższy czas powiedzieć choć cokolwiek, aby ostatecznie nie ugrzęznąć w niezręcznej sytuacji.

– Decyduj sama – powściągliwie odparł Losza, unikając jej wzroku.

No tak, przejął się – pomyślała Nastia. – Natura poskąpiła mi delikatności, to fakt. Jak mogłam się tak zachować! Najpierw nie

chciałam włożyć sukienki, teraz jeszcze ta idiotyczna rozmowa... I akurat tego dnia, gdy organizowane przez niego międzynarodowe sympozjum odniosło sukces, impreza, której poświęcił tyle sił i nerwów. Wszem wobec ogłoszono go twórcą nowej szkoły naukowej, którą dzisiaj reprezentują jego liczni uczniowie, przyznano mu kolejną nieprawdopodobnie prestiżową nagrodę, nadano tytuł członka jakiejś akademii... Boże, nawet nie pamiętam, co to za akademia. Zachowuję się niedopuszczalnie. Trzeba za wszelką cenę ratować sytuację.

Ratowanie sytuacji zajęło prawie godzinę, toteż ubierać się i doprowadzać do porządku Nastia musiała z rekordową szybkością. Spozrzegła się dopiero w przedpokoju, biorąc torebkę i rzucając do lustra ostatnie krytyczne spojrzenie.

– A oczy!

– Co – oczy? – Nie od razu zrozumiał Czistiakow, który po miłosnych igraszkach bywał zwykle trochę ogłupiały.

– Zapomniałam włożyć soczewki – wyjaśniła Nastia, pędem rzucając się do łazienki i wyjmując pojemnik z zielonymi szklami kontaktowymi. – Kolczyki są przecież ze szmaragdami, więc i oczy powinny być odpowiednie. Makijaż zrobiłam pod zielone oczy, a nie pod bezbarwne nie wiadomo co. Zaraz, Loszeńka, poczekaj jeszcze pół minutki.

Wyszła z łazienki, błyskając zielonymi kocimi oczami, wytworna i elegancka, z włosami upiętymi nad karkiem w wymyślny węzeł. Tak, Nastia Kamieńska była teraz bardzo ładna. Wiedziała, że za pół godziny zaczną piec i swędzieć pokryte cieniami powieki, za godzinę spuchną i nieznośnie rozbolą nogi, uwięzione w wąskich

modnych pantoflach, a za dwie godziny pojawi się i z każdą minutą zacznie rosnać wrażenie, że w oczy ktoś nasypał jej piasku, uprzednio nasączając go kwasem siarkowym albo jeszcze jakimś innym paskudztwem, ponieważ szmaragdowozielone soczewki prawie nie przepuszczają powietrza. Wieczór będzie męczący, ale Losza zasłużył na swoje święto, i będzie je miał.

2

Liza wyłączyła żelazko i z zadowoleniem obejrzała wyprasowane ubrania. Teraz na bluzkach nie było ani jednej fałdki.

– Mamo, jaką bluzkę włożysz? – krzyknęła.

Do kuchni weszła Elena w długim szlafroku i wybrzydząc, zaczęła przeglądać bluzki, starannie rozwieszane na oparciach krzeseł. Jej kształtna, dość pełna figura zupełnie nie harmonizowała z mizerną, pokrytą przedwczesnymi zmarszczkami twarzą i dziwnie znieruchomiałymi wyblakłymi oczami, należącymi, zdawałoby się, do na wpółobłąkanej staruchy. Wybrała złocistą bluzkę z grubej bawełny, z długimi rękawami i haftem na kołnierzyku.

– Resztę powieś do szafy – poleciła córce, wychodząc z kuchni.

Liza w milczeniu wruszyła ramionami, złożyła deskę do prasowania i ostrożnie zebrawszy bluzki, żeby ich nie pognieść, zaczęła je wieszać w szafie. Nie pochwałała wyboru matki. Bluzka z

haftem była szykowna, a to oznaczało, że Elena mimo wszystko nie uważa dzisiejszego dnia za zwykły sobotni dzień.

– Dzisiaj jest druga rocznica naszego pierwszego święta – uroczyście oznajmiła rano, otwierając puszkę czerwonego kawioru i smarując kanapki na śniadanie. – Mam nadzieję, że i następne święto nie da na siebie czekać.

Liza zauważyła, jak przy tych słowach ojciec drgnął i pobladł. W głębi duszy zgadzała się z matką, ale dla ojca takie rozmowy były zawsze nieprzyjemne, i dziewczyna szczerze mu współczuła. Oczywiście, matka ma rację we wszystkim, jej żądania są absolutnie słuszne, i ojciec ściśle je spełnia. Ale Elena powinna jednak być delikatniejsza i liczyć się z tym, że męża rani taka demonstracyjna poza. Teraz oto matka wybrała na wieczór strojną bluzkę, i jeżeli na śniadanie był kawior, to na kolację – niezawodnie coś świątecznego, żeby nikt w rodzinie nie zapomniał o tej „drugiej rocznicy”. Może mama nawet będzie się uśmiechać i ojciec położy się spać w jej pokoju, a nie w gabinecie, jak zwykle.

– Liza, wietrzyłaś dzisiaj pokój Andriuszy? – rozległ się głos Eleny.

– Tak, mammo.

– I kurz wytarłaś?

– Tak, wszystko zrobiłam, nie martw się.

– Wychodzę – oznajmiła Elena, zaglądając do kuchni, gdzie córka myła naczynia. – Wstąpię do chrzestnej, zapalę świeczkę z okazji święta. Niedługo wrócę.

– Ode mnie też zapal, dobrze?

Gdy za matką zatrzasnęły się drzwi, Liza odeszła od zlewu z niedomytymi naczyniami, nie zakręcając wody, pospiesznie wytarła mokre ręce ręcznikiem, otworzyła okno i wyjęła z kieszeni papierosy. Matka kategorycznie zabraniała palenia w mieszkaniu, ale ubierać się i wychodzić na schody Liza nie miała ochoty. Chociaż było już grubo po dwunastej, chodziła po domu w piżamie, nieumyta i nieuczesana. Mój Boże, w cóż się zamieniło jej życie! Ma już dwadzieścia pięć lat i ani ciekawej pracy, ani miłości, ani przyjaciół. W jej sercu jest tylko bezgraniczna nienawiść i nieukożone pragnienie zemsty. I gorzki żal z powodu niespełnionych marzeń, związanych z bratem. Ach, Andrusza, Andruszeńka...

Liza rzuciła do popielniczki niedopalony papieros i gorzko zaszlochała.

3

Igor Jerochin lubił moskiewskie metro. Ale jeszcze bardziej lubił je w godzinach szczytu, ponieważ nieprzerwany i chaotyczny strumień ludzi prawie wykluczał możliwość natknięcia się na kogoś znajomego, a gdyby nawet coś takiego się zdarzyło, to zgubienie się w tłumie i zniknięcie nie stanowiłoby najmniejszego problemu.

Zajął wyznaczone miejsce, z którego dobrze widoczna była ławka obok schodów prowadzących do przejścia na drugą stację. Przy tej

ławce powinno się właśnie odbyć spotkanie, które zajmie raptem kilka sekund i przyniesie pół miliona dolarów. Jego, Igora, udział wyniesie zaledwie dwadzieścia tysięcy z tego pół miliona, ale to sprawiedliwe i suma też nie mała, zwłaszcza że to bynajmniej nie pierwsze spotkanie i, jeśli Bóg pozwoli, nie ostatnie. Jak mówi przysłowie, lepiej czterdzieści razy po razie, niż ani razu czterdzieści razy.

Do spotkania pozostawało jeszcze kilka minut, i Igor jak zwykle rozejrzał się po zatłoczonym pasażerami peronie. Przy kolumnie naprzeciwko zobaczył chłopaka z rozmyślnie obojętnym wyrazem twarzy, jeszcze jeden przesuwiał się w tłumie wzdłuż peronu. Wszyscy na miejscu, skonstatował, zaraz pojawi się Artiom, a za chwilę Johnny. W ogóle to imię amerykańskiego kontrahenta było Igorowi nieznane, ale ponieważ na spotkanie za każdym razem przychodzili różni ludzie, w myślach nazywał ich wspólnym imieniem Johnny.

Pomimo tłumy Artioma zobaczył z daleka. Ubrany w nierzucający się w oczy jasnobrązowy płaszcz, jakie noszą tysiące moskwian, Artiom bez pośpiechu podszedł do ławki, postawił na niej neseser, otworzył go i zaczął czegoś szukać. Niezręczny ruch – i zawartość nesesera znalazła się na ziemi. Artiom schylił się niezgrabnie i zaczął zbierać rozsypane długopisy, jakieś dokumenty w cienkich plastikowych teczkach i inne śmieci. Miał poparzoną lewą rękę, więc nie wyjął jej z kieszeni, żeby nie zwracać uwagi brzydkim grubym opatrunkiem. Jakiś mężczyzna, przechodząc obok, schylił się i podał Artiomowi zapalniczkę, która potoczyła się w bok. Artiom uprzejmie się uśmiechnął i kiwnął głową. Koniec. Spotkanie się odbyło.

I w tym momencie nastąpiło coś nieoczekiwanego. Akurat w chwili kontaktu obok Artioma i Johnny'ego zatrzymała się jakaś dziewczyna i dosłownie wlepiła oczy w ich ręce, a potem powoli przesunęła wzrok na twarz Artioma. Igor sprężył się. Dziewczyna poszła dalej, ale Artiom zrobił ledwo dostrzegalny gest, i Jerochin zrozumiał, że dziewczynę zauważono. Powoli, jak gdyby mimochodem, oderwał się od murku, na którym opierał się łokciami, i podążył za nią.

Dziewczyna wjechała schodami i ruszyła przejściem na drugą stację. Igor szedł z tyłu, nie tracąc jej z pola widzenia. Kątem oka zobaczył z boku Surika, który w czasie spotkania przechadzał się wzdłuż peronu. To znaczy, że Artiom był poważnie zaniepokojony i na wszelki wypadek wysłał za dziewczyną drugiego człowieka. Dziewczyna szła szybko, ale spokojnie, nie oglądając się. Gdy zeszła z ruchomych schodów i skręciła na peron, akurat nadjechał pociąg, ale z jakiegoś powodu nie wsiadła do niego, tylko zatrzymała się i zaczęła grzebać w torebce. Pociąg odjechał, i Igor zauważył, że, oprócz dziewczyny, Surika i jego samego na pustym peronie stoi jeszcze jeden typ. Ten typ od razu się Jerochinowi nie spodobał. Błady, ciemnowłosy, z napiętą twarzą i z książką w rękach, stał dosyć daleko od dziewczyny i uważnie ją obserwował.

Peron błyskawicznie zapełnił się ludźmi i podejrzany typ zaczął się z wolna zbliżać do dziewczyny, starając się nie rzucić jej w oczy. Podjechał następny pociąg, i gdy dziewczyna razem z tłumem pasażerów wsiadła do wagonu, mężczyzna z książką przysunął się do niej z tyłu bardzo blisko. Dziewczyna obejrzała się i coś krótko mu powiedziała. Twarz przy tym miała zmienioną z wściekłości. Mężczyzna wszedł razem z nią do wagonu i jął się przeciskać w

prawo, w stronę drugich drzwi, a dziewczyna stanęła w kącie, wyjęła notatnik, długopis i zaczęła coś szybko zapisywać, od czasu do czasu rzucając złe spojrzenia na mężczyznę z książką. Igor obejrzał się i zobaczywszy współnika, skinął do niego dyskretnie. Podejrzany typ wysiadł na następnym przystanku i Surik udał się za nim, a Jerochin został w wagonie z dziewczyną.

Ciekawa historia, rozmyślał, przyglądając jej się z boku. Pracuje nie sama, ale razem z tym bibliofilem. Miłośnik książek naruszył najwidoczniej instrukcję, podszedł do niej za blisko, pewnie chciał coś powiedzieć, a ona wyjaśniła mu, że nie ma racji. Ostra sztuka, nie ma co mówić, wygląda na to, że on jej podlega. I co ona tam zapisuje? Dobra, zorientujemy się. Ciekawe, czy jest glina, czy nie. Jeżeli nie, oznacza to, że konkurencja nie próżnuje. Też chce wcisnąć swój towar amerykańskim Johnnym, ale znaleźć takich Johnnych niełatwo. Artiomowi to się udało, ale przecież od tego właśnie jest Artiom – łebski gość i obce języki zna jak własny. A konkurencja nie zna, nie ma szans poznać cwaniaków Johnnych, więc próbuje wymacać nasze kontakty. Niedoczekanie ich!

Dziewczyna wysiadła na stacji Tagańska-Radialna, zjechała schodami, podeszła do dyżurującego w metrze milicjanta. Powiedziała mu kilka słów i wręczyła skrawek papieru, który wyrwała z notesu jeszcze w wagonie. Igor zdrewniał. Czyżby jednak glina? Milicjant wsunął kartkę do kieszeni i kiwnął leniwie głową.

Jerochin wyszedł za dziewczyną na ulicę. Dziewczyna obejrzała się i pobiegła do stojącego przy chodniku samochodu. Igor zapamiętał numer, wrócił do metra i rzucił się do automatu.

– Odjechała samochodem, ale przedtem przekazała milicjantowi jakąś kartkę – zakomunikował. – Był z nią jeszcze jakiś facet,

kazałem Surikowi mieć go na oku.

– Kartkę zdobądź za wszelką cenę – usłyszał w odpowiedzi. – Rób co chcesz, ale zdobądź ją, póki nie poszła dalej.

Stojąc obok kasy, Igor obserwował milicjanta i zastanawiał się, jak zdobyć tę przeklętą kartkę. Milicjant stał spokojnie, wyglądało na to, że na razie nie zamierza gdzieś biec i przekazywać informacji. Pewno ktoś do niego przyjdzie po kartkę. Trzeba się pospieszyć, dopóki to się nie stało. Co robić? Może podejść do niego i udać atak serca? Oprzeć się o niego, unieruchomić i wyciągnąć kartkę z kieszeni? Nie, nie da rady. Do tego trzeba być profesjonalnym „doliniarzem”, kieszonkowcem, mieć wprawę. A Igor takiej wprawy nie miał. Co by tu jeszcze wymyślić? Podać się za adresata kartki? Ryzykowne. Może nie trafić „w ton”, i tylko pogorszy sprawę. A może prościej? Chłopak, sądząc z gębusi, jest całkiem zielony, niedoświadczony i niekumaty. Czyli biedny. Co może wykroić z mizernej pensji gliniarza? Proszę, jakie różowe policzki, pewnie golić się zaczął zaledwie przed wczoraj. Jakies pięćset dolarów Igor ze sobą ma, ten szczawik nie oprze się takiej sumie.

Igor szybko wyszedł na ulicę i rozejrzał się. Tuż przy metrze zaczynało się ogrodzenie jakiejś budowy. Brama, naturalnie, była zamknięta, ale bez trudu odnalazł oderwaną deskę – przejście na zamkniętą posesję. Wrócił do metra i pospiesznie podszedł do młodego milicjanta.

– Panie władzo – zaczął ze wzburzeniem – tam na budowie chyba kogoś mordują. A na ulicy ani jednego milicjanta. Proszę, niech pan ze mną idzie.

Milicjant uwierzył od razu, Igor nawet się nie spodziewał, że wszystko tak łatwo pójdzie, i był gotów długo go przekonywać.

– Gdzie? – zapytał milicjant, spoglądając na solidną kłódkę na żelaznej bramie.

– Tam jest deska oderwana, można się przedostać – Igor pokazał ręką na prawo i pociągnął go za rękaw.

Milicjant pierwszy przedostał się na teren budowy i gdy barczysty Jerochin, precyzyjnie się przez szczelinę, znalazł się obok niego, obejrzał się zaskoczony.

– Nikogo tutaj nie ma, pewno się panu wydawało.

– Pan posłucha. – Igor bez zbędnych słów wyjął z kieszeni portfel i wyciągnął z niego pięć studolarowych banknotów. – To dla pana.

– Za co? – osłupiał milicjant, ale jego wzrok nagle stał się czujny.

– Masz w kieszeni kartkę. Oddaj mi ją, i nigdy mnie nie widziałeś. Pasuje?

– Obywatelu! – Głos milicjanta momentalnie stał się donośny i ostry. – Proszę pokazać dokumenty.

– Coś ty, człowieku! To jest pięćset dolarów. Rozumiesz chociaż, co to takiego? Gdzie tyle zarobisz w ciągu pięciu minut? Nikt się nigdy nie dowie, a ty będziesz miał w kieszeni pół miliona rubli. Masz, trzymaj! Dawaj kartkę i po sprawie.

Igor już widział, że nic z tego nie będzie, ale ciągle jeszcze próbował ratować sytuację, przycisnąć chłopaka, nie dać mu oprzytomnieć, ogłuszyć niebywałą sumą, skusić lekkim zarobkiem. Nie mógł dopuścić myśli, że przez upór jakiegoś chłopaczka straci swoje pieniądze. Pieniądze jak dla niego ogromne, dwa razy w

miesiącu – po dwadzieścia tysięcy zielonych. Ale będzie jeszcze gorzej, jeśli nie wykona zadania, bo jego udział jest jednym z najmniejszych, i ci, którzy dwa razy w miesiącu otrzymują dziesięć razy więcej, błędu mu nie wybaczą.

– Chodźmy, obywatelu – powiedział milicjant surowo i w jego ręce nie wiadomo skąd znalazł się pistolet.

– Źle robisz! Jeszcze będziesz żałować – spokojnie odrzekł Jerochin, obracając się do niego plecami i wyciągając rękę w stronę kołuszającej się na gwoździach deski, żeby przedostać się na zewnątrz.

To był jeden ze słynnych numerów Jegora Jerochina. Moment – i pistolet sierżanta był już jego.

– Jeszcze raz proponuję, parszywa kartka za pięćset dolarów – powiedział groźnie, przycisnąwszy lufę do milicyjnego munduru tuż koło serca. Chłopak był przyparty do płotu, potężna ręka Igora trzymała go za gardło. Spróbował się wyrwać i w tej sekundzie tuż obok budowy zahuczał ciągnik.

Niech cię diabli – w rozpaczy pomyślał Jerochin i pociągnął za spust. Wystrzału nikt nie usłyszał.

Zręcznie przeszukał kieszenie leżącego na ziemi gliniarza i wyjął kartkę. Na złożonym na cztery arkusiku papieru w kratkę było napisane:

„Mężczyzna około 35–38 lat, wzrost mniej więcej 180 cm, jasnobrązowy płaszcz, lewą rękę trzyma w kieszeni”.

A więc dziewczyna namierzyła Artioma. Dobrze, że ta kartka nie poszła dalej.

Igor starannie wytarł pistolet chusteczką do nosa, wyjętą z kieszeni zabitego, i trzymając za lufę, wsunął mu do ręki.

4

Suren Udunian – przyjaciele nazywali go po prostu Surik – otworzył szeroko swoje niezwykle oczy, nadające jego twarzy wyraz dziecięcej naiwności.

– Przecież nie zamierzałem go zabijać – powiedział tonem skrzywdzonego dziecka. – Może on wcale nie umarł, tylko stracił przytomność.

– Sam powiedziałeś, że facet się przekręcił – zaprzeczył z niezadowolaniem Artiom Rieznikow, machinalnie gładząc bandaż na lewej ręce. Oparzona wrzątkiem dłoń ciągle jeszcze bolała, ale starał się nie zwracać uwagi na ból.

– No, tak mi się wydawało – obojętnie powiedział Surik, jeszcze szerzej otwierając migdałowe oczy o długich, gęstych rzęsach, niemal sięgających ładnie zarysowanych brwi. – Nie jestem lekarzem, mogłem się w końcu pomylić. Pulsu chyba nie było.

– Chyba, chyba – kpiąco powtórzył Artiom. – To jak, mocno mu przyłożyłeś?

– Nawet go nie biłem. Na co mi? Normalka: podszedłem z tyłu, schwyciłem za gardło jedną ręką, drugą włożyłem do kieszeni i

podciąłem mu nogi. Wszystko cicho i bez dźwięku, sprawdzony chwyt. A on jakoś dziwnie zaszlochał i wymiękł. Kto go tam wie, może nie umarł.

Surik powoli opuścił powieki, jakby zgasił bijące z oczu łagodne światło, dzięki któremu jego twarz wydawała się niewinna i dobra. Wargi się zacisnęły, wyraźniej zaznaczyły się zmarszczki w kącikach ust. Teraz przed Artiomm siedział cyniczny i bezlitosny zabójca.

– Zabrałeś mu coś?

– Na co mi? – nie podnosząc oczu, powtórzył Surik swój ulubiony zwrot. – Miejsce dobre, spokojne, dookoła ani żywego ducha, ciemno, późno. Dokumenty szybko sfotografowałem i odłożyłem na miejsce.

– Zostawiłeś jakieś ślady?

– Nie jestem dzieckiem. – Rzęsy znowu podskoczyły do góry, promienne jasne oczy popatrzyły z urazą.

– Dobra. Jest coś ciekawego w dokumentach?

– Berkowicz Stanisław Nikołajewicz, urodzony w 1957 roku, moskwianin, kawaler, kierownik laboratorium w jakimś cwany biurze konstrukcyjnym. Jakies metale kolorowe, za cholere nie zrozumiesz!

– Ty frajerze – ze złością wycodził Artiom. – Nie mogłeś zapamiętać?

– Na co mi? – Surik beznamietnie wzruszył ramionami. – Zdjęcia ci przyniosłem, sam przeczytasz.

– Dawaj – Artiom wyciągnął rękę.

– Czuj się!

– A czego chcesz?

– Przepraszam, Artiomsan – zaciągnął Surik wstrętnym, obłudnym głosem, celowo przesadzając z akcentem.

– Za co? – zdumiał się Artiom.

– Za frajera, Artiomsan, za frajera. Dostaję od ciebie pieniądze za pracę, a nie za wysłuchiwanie obelg. Za obelgi zapłata według oddzielnego cennika.

Rzęsy Surika opadły w dół i znowu Artiom miał przed sobą straszną, zimną twarz.

Siedzący na prawo od Surika Igor Jerochin w milczeniu jadł swój szaszłyk, z ciekawością obserwując rozmówców. Od razu widać, że Artiom to palant, w zonie nie był, kibla nie wachał, a koleśków też przez całe życie miał „czyściutkich”. Nie wolno się wyzywać od frajerów, to niebezpieczne, za frajera można słono zapłacić. Surik od razu zareagował, całe szczęście, że potrafi się opanować, siedzi spokojnie, uśmiecha się. Inny na jego miejscu już by się zerwał, stół przewrócił, wyciągnął nóż i ryknął: „Zapłacisz mi za frajera!”

Igor zrozumiał, że czas wkroczyć. Artiom najwidoczniej nie czai bazy, a Surik się nie wycofa: co prawda wie, że Artiom nie zna złodziejskiego kodeksu, ale honor uderzył mu do głowy. Jerochin gwałtownie podniósł rękę, przywołując kelnera.

– Proszę zamienić dwie porcje, już ostygły.

– Tak jest – odparł kelner. – Panu też przynieść?

– Szaszłyka nie chcę. Niech pan poda coś lekkiego, rybę albo jarzyny.

– Już niosę. – Kelner ruszył prawie biegiem, aby zrealizować zamówienie. Ci trzej byli stałymi klientami, spełniał ich wszystkie zachcianki, bo pozostawiane napiwki były ogromne.

Igor spojrzął na zegarek.

– Surik, sprawdź przy wejściu, powinien tam czekać jeden gość.

Udunian wstał bez słowa i poszedł przez całą salę do wyjścia. Rieznikow odprowadził go zamyślonym wzrokiem i odwrócił się do Igora.

– Co powiesz?

– Wypada przeprosić, Artiom. Frajerami w zonie nazywa się „zeszmaconych”.

– Kogo? – nie zrozumiał Rieznikow.

– Takich, których „zeszmacono”. Czyli zgwałcono. To bardzo poważna zniewaga. Surik teraz powinien albo przyznać, że to prawda, albo zmyć hańbę krwią. Trzeciego wyjścia nie ma. Przecież nie chcesz, żeby krwią udowadniał, że nie masz racji, prawda? Nawiasem mówiąc, twoją krwią – rzeczowo wyjaśnił Jerochin, kończąc szaszłyk i odsuwając talerz.

– Ale macie zwyczaj. – Artiom pokiwał głową, krzywiąc się lekko z bólu w poparzonej ręce. – Ale tutaj przecież nie zona...

– No właśnie – przytaknął Igor. – Dlatego Surik jest gotów zażegnać konflikt, jeśli tylko przeprosisz.

Wrócił Surik, bez słowa położył przed Igorem złożoną kartkę papieru i wciąż milcząc, zajął swoje miejsce, wyczekująco spoglądając na Rieznikowa swoimi jasnymi oczami.

– Wybacz, Surenie Szalikojewiczu – rzekł pojednawczo Artiom. – Powiedziałem to z głupoty, bez złej intencji, nie chciałem cię obrazić. Igor mi wyjaśnił, że okropnie cię znieważylem, więc wycofuję swoje słowa. Jeszcze raz proszę o wybaczenie.

Spoko gość – pomyślał z zadowoleniem Igor. Rieznikow coraz bardziej mu się podobał. Facet ma konkretny cel i zmierza do niego spokojnie i metodycznie, ściśle według harmonogramu, zachowując środki ostrożności, ale bez przesady, i na drodze do tego celu nie traci sił na to, żeby udowadniać komuś swoją rację i unosić się honorem. Spokojnie, uprzejmie i z godnością przeprosił zasmarkanego gnojka, chociaż Surik do pięt mu nie dorasta.

Wysłuchawszy przeprosin, Surik uśmiechnął się lekko, wyjął z kieszeni kopertę i położył na stole przed Artiomem. Ten szybko przejrzał zdjęcia, zachmurzył się, ale nic nie powiedział.

– A ty co masz? – odwrócił się do Igora, wskazując oczami przyniesioną przez Surika kartkę.

– Informacje o właścicielu samochodu, którym odjechała dziewczyna.

– Zobaczmy więc, co mamy. W chwili spotkania namierza nas jakaś kobieta, pracująca w parze z człowiekiem, który kieruje laboratorium w interesującej nas dziedzinie nauki i techniki. Kobieta notuje mój rysopis i przekazuje go milicjantowi, który z głupoty, niedbalstwa lub dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności nikomu kartki nie oddaje. Tego milicjanta już nie ma – rzucił szybkie spojrzenie na Jerochina. – Kierownik laboratorium Berkowicz – pod znakiem zapytania. Wyślę kogoś pod jego adres, niech wyjaśni, czy żyje. Pozostaje kobieta, o której niczego nie

wiemy, ale możemy spróbować znaleźć ją przez właściciela samochodu, którym odjechała. Sądząc ze wszystkiego, rzeczywiście pojawiła się konkurencja, to znaczy ludzie, którzy mają taki sam towar jak my. Chcą go dobrze ulokować, ale nie wiedzą, gdzie i jak znaleźć kupca, toteż próbują wyśledzić nas i naszych kontrahentów, żeby wydać nas glinom i zająć nasze miejsce. Ta kobieta pracuje albo dla nich, albo dla glin, albo dla jednych i drugich jednocześnie. Gliniarze też chcą jeść, niewykluczone, że działają ręka w rękę z naszą konkurencją. Nas usuną, a potem będą się dzielić zyskami ze sprzedaży. Logiczne?

Artiom mówił niespiesznie, starannie budując zdania i wypowiadając je do końca, nie urywając w środku, nie gubiąc, jak to często się zdarza, orzeczeń i używając właściwych przypadków. Igor i Surik słuchali go, nie przerywając; zawsze z ciekawością śledzili tok myśli Artioma, gdy na ich oczach oddzielne fakty układały się w precyzyjny i zrozumiały obraz. Chociaż Artiom nie jest z ferajny, głowę ma nie od parady.

– Uwzględniając to, że na naszym koncie jest teraz milicjant, a możliwe, że i Berkowicz, proponuję na jakiś czas się przyczaić. Mam nadzieję, że klienci odniosą się do naszych kłopotów ze zrozumieniem. Od dzisiaj całą uwagę należy skoncentrować na tej kobiecie z metra, żeby się dowiedzieć, kto jest naszym konkurentem. A potem zdecydujemy, co dalej.

ROZDZIAŁ 2

1

Nastia Kamieńska z ciekawością przyglądała się swemu gościowi. Coś podobnego, myślała, skoro przyrodni braciszek raczył się u niej pojawić, to na pewno tylko dlatego, że wdepnął w jakąś podejrzaną historię. Zdaje się, że kieruje spółką akcyjną, jest bodajże prezesem, więc to jeden z młodych biznesmenów. Pewnie uwikłał się w jakieś nieczyste sprawy typu niespłacony kredyt albo szantaż.

Rodzice Nasti rozwiedli się, gdy skończyła zaledwie rok. Nowego męża matki szczerze i gorąco pokochała, nazywała tatą, ze swoim rodzonym ojcem od czasu do czasu kontaktowała się telefonicznie, a spotykała tylko czasami. Gdy ojcu z drugiego małżeństwa urodził się syn Sasza, Nastia miała osiem lat, żadnego zainteresowania bratem nie wykazywała i nigdy go nie widziała, pytała o niego ojca wyłącznie z uprzejmości. I nagle dzisiaj zadzwonił i poprosił o spotkanie.

Wysoki, szczupły blondyn z nijaką, mało wyrazistą twarzą, jasnymi oczami i rudawymi wąsami, ubrany w drogi trzyczęściowy garnitur, wyglądał na pewnego siebie człowieka sukcesu. A przy tym bogatego. Nasti szkoda było dla niego czasu, już dwa tygodnie ślezczała nad analizą niewyjaśnionych zabójstw, robota szła

nierówno, coraz to utykając, i wizyta krewnego wydawała się jej nie w porę i z góry irytowała. Wiedziała jednak, że odmówić nie można: może naprawdę potrzebował pomocy. Mimo wszystko to brat, chociaż w połowie.

– Ależ jesteśmy do siebie podobni – rzekła z uśmiechem, starając się zatrzeć zakłopotanie pierwszych minut. – Pewnie oboje wdaliśmy się w ojca. Ty, co prawda, jesteś młodszy. Skończyłeś już dwadzieścia sześć lat?

– W ubiegłym miesiącu – przytaknął Aleksander.

– Żonaty?

– Tak, już wkrótce cztery lata.

– Masz dzieci?

– Dziewczynkę, Katię – powiedział tkliwie, i od razu stało się jasne, że bardzo kocha swoją Katieńkę.

– Sasza, wybacz, ale krucho u mnie z czasem, więc przejdźmy od razu do rzeczy, dobrze? – zaproponowała Nastia bez ogródek, uznając, że wystarczy już tych uprzejmości.

– Tak, oczywiście, oczywiście.

Sasza nagle zamilkł, najwidoczniej nie wiedząc, jak zacząć. Jego palce nerwowo przebiegły po krawacie, zatrzymały się na guzikach marynarki i znieruchomiały.

– A więc jakie masz problemy?

– Mam dziewczynę – wypalił nagle.

– I co?

– Wydaje mi się, że nie wszystko z nią porządku.

– W jakim sensie? – Nastia się zachmurzyła, przygotowana na wysłuchanie jakiegoś ckliwego głupstwa, niemającego żadnego związku z milicyjnymi sprawami.

– Lepiej zacznę od samego początku. Poznaliśmy się mniej więcej dwa miesiące temu. A w ostatnim czasie znajomi, u których razem bywaliśmy, zaczęli mieć nieprzyjemności. Boję się, że to przez nią.

– Nie, przyjacielu, od początku zacząć ci się nie udało – uśmiechnęła się Nastia. – Może ja spróbuję. Twoja dziewczyna ma jakieś imię?

– Dasza. Sundijewa – uściślił.

– Wiek?

– Dziewiętnaście lat. Wkrótce skończy dwadzieścia.

– Czym się zajmuje?

– Jest ekspedientką w sklepie „Orion”, w dziale konfekcji damskiej. I studiuje w Instytucie Humanistycznym. Chce zostać wizażystką.

– No proszę! – mruknęła Nastia. – Bardzo modna specjalność. Gdzie ją poznałeś?

– W sklepie. Kupowałem kostium dla żony...

– Banalne aż do bólu – skomentowała. – I co było dalej?

– Normalnie. Zaprosiłem ją na obiad, na drugi dzień – na kolację...

– No tak, a na trzeci dzień – wspólne przebudzenie i śniadanie. Od razu zacząłeś z nią odwiedzać swoich przyjaciół?

– Skądże, jakoś tak po dwóch, trzech tygodniach.

– A dlaczego nie od razu? – zainteresowała się Nastia, włączając czajnik i otwierając puszkę z kawą.

– Czekałem, chciałem mieć pewność, że za dzień, dwa to się nie skończy. Nie lubię, gdy moi przyjaciele mówią, że rzuciła mnie kolejna ślicznotka.

– A ona jest ślicznotką? – spytała Nastia, rozcinając paczkę z herbatnikami. Za ścianą, w pokoju, słychać było brzęczenie włączonej drukarki. Loszka zajął komputer, pracuje, a ona traci czas na jakieś bzdury. Proszę, proszę, nie lubi, kiedy go ładne dziewczyny rzucają! Nie trzeba się wdawać w amory, to nie zostanie się porzuconym.

– Dasza jest bardzo ładna – spokojnie odrzekł brat, nie zwracając uwagi na sarkastyczny ton Nasti.

– Spróbuj umiejscowić to w czasie – poprosiła. – Kiedy się poznaliście?

– Pod koniec sierpnia.

– A dokładniej?

– Żona ma urodziny dwudziestego trzeciego. Czyli dziewiętnastego albo dwudziestego.

– Kiedy po raz pierwszy poszliście odwiedzić twoich przyjaciół?

– No... Gdzieś w połowie września.

– „Gdzieś” mnie nie urządza. Postaraj się dokładniej. Dlaczego w ogóle postanowiłeś zabrać ją w odwiedziny?

– Gdy spotkaliśmy się tamtego dnia, okazało się, że mieszkanie, na które liczyłem, jest zajęte. Nie mieliśmy gdzie się podziać, więc zadzwoniłem do przyjaciela i wprosiłem się na kawę.

– Przyjaciół okazał się dyskretny?

– Oczywiście.

Sasza wcale się nie zmieszał. Zachowywał się jak podczas wizyty u lekarza, gdy w żadnym pytaniu nie widzi się niczego wstydlivego czy nieprzyzwoitego.

– Oglądaliście telewizję przy kawie?

– Tak, telewizor stoi u nich w kuchni.

– I co leciało?

– Nie pamiętam. Zdaje się, że jakiś film.

– Jaki film? – dopytywała się Nastia. Sama nie rozumiała, czemu jest taka drobiazgowa. Jak dotąd nie widziała żadnej sensacji, ale coś jej podpowiadało, że nawet takim głupstwem jak miłosne przeżycia brata trzeba zajmować się sumiennie.

– Nie pamiętam, jaki to był film. – Sasza wzruszył ramionami. – Przecież nie oglądaliśmy go od początku, i w ogóle nie oglądaliśmy, tylko rozmawialiśmy.

– Postaraj się coś sobie przypomnieć, aktora albo chociaż kwestię.

– Chyba grał tam Belmondo – niepewnie powiedział Sasza. – To jakaś komedia kryminalna.

– Jasne. Poczekaj, zaraz wrócę.

Nastia wyszła do przedpokoju, wyjęła z pawlacza stertę gazet i przyniosła je do kuchni.

– Przejrzyj to – rzuciła, opadając na taboret. – Szukaj programów telewizyjnych z września.

Po mniej więcej piętnastu minutach ustalili, że pierwsze wspólne wyjście Aleksandra Kamieńskiego i Daszy Sundijewej z wizytą miało

miejsce czternastego września.

– Tak, i co było dalej? – ze znużeniem spytała Nastia, która miała już dość wypełniania siostrzanego obowiązku.

– Potem jeszcze kilka razy odwiedzaliśmy moich znajomych. I ci zaczęli mieć nieprzyjemności.

– Jakiego rodzaju?

– Kradzieże – cicho odpowiedział Sasza, spoglądając gdzieś w bok.

– Konkretniej, proszę. – W Nastii w okamgnieniu obudził się instynkt myśliwski.

– Jeden po powrocie z pracy zastał wyłamane drzwi do mieszkania.

– Coś zginęło?

– Właściwie nic.

– Jak to? – Nastia poderwała się z miejsca. – Całkiem nic?

– Dokumenty, ale na drugi dzień je zwrócono. Podrzuciono do skrzynki pocztowej.

– Milicję wzywano?

– Nie, po co? Przecież nic cennego nie zginęło. Tylko drzwi zniszczono. A z milicją tylko same kłopoty. O, przepraszam – spostrzegł się.

– Daj spokój. – Nastia machnęła ręką. – Sama w ubiegłym roku przyszłam do domu, a tu drzwi otwarte. Też nie wzywałam milicji, i to z tych samych względów.

– Co ty powiesz?! Ciebie też okradziono?

– Nie, szantażowano. Nie zbaczaj z tematu, Sasza, opowiadaj dalej.

– No... Potem drugiego mojego znajomego obrabowano wprost w bramie.

– Coś mu zabrano?

– Tylko dokumenty. I też na drugi dzień zwrócono.

– Wspaniale! – Nastia z jakiegoś powodu poweselała. – Mów dalej.

– Potem okradziono jeszcze jednego, a czwartemu – znowu włamano się do mieszkania.

– I wszystkim zabierano dokumenty, a na drugi dzień podrzucano?

– Wszystkim. No i właśnie boję się, że Dasza to naganiaczka. Tylko pracuje nie dla złodziei, ale dla jakichś mafiosów, którzy potrzebują fałszywych dokumentów. Wypatrują ludzi z odpowiednimi danymi, bo dokumenty zwykłego ślusarza raczej nie przydadzą im się do przekrętów. A wśród moich znajomych większość to przedsiębiorcy, bankierzy, giełdjarze, krótko mówiąc, świat finansjery.

Ma rację – pomyślała Nastia. – Posługiwanie się kradzionymi dokumentami jest niebezpieczne, właściciele zgłaszają kradzież na milicji, wydaje im się nowe, a skradzione rejestruje. O wiele bezpieczniejsze jest zrobienie kopii. Dokumenty w wykazie poszukiwanych nie figurują, numery są prawdziwe, papier i pieczętki – mucha nie siada, teraz są tak świetni mistrzowie, że nawet mennicy się nie śniło. Nawet nazwisko w dowodzie jest prawdziwe, tylko zdjęcie inne. W razie kontroli – wszystko w

porządku, paszport czy prawo jazdy dokładnie z tą serią i z tym numerem wydane tam a tam, wtedy a wtedy, właśnie temu a temu obywatelowi. Wszystko jak w aptece. Niewykluczone, że piękna Dasza związana jest z grupą, która robi fałszywki na wielką skalę. Przestępczość stała się zajęciem, które wymaga coraz węższej specjalizacji.

– Ile razy składaliście razem wizyty? – zapytała, nalewając sobie drugą filiżankę kawy. Stojąca przed bratem filiżanka z herbatą pozostała nietknięta. Mimo pozornej pewności siebie i spokoju rozmowa przychodziła mu niełatwo.

– Sześć razy.

– Pamiętasz dokładnie?

– Nastia, przecież nie od razu pobiegłem do ciebie. Długo się zastanawiałem, odtwarzałem wszystko w pamięci, wahałem się. Wychodzi na to, że w jakieś dwa, trzy dni po naszej wizycie następowała kradzież albo rabunek.

– Byliście u sześciu różnych osób?

– Tak, w żadnym miejscu nie byliśmy dwa razy.

– A kradzieże zdarzyły się tylko u czterech?

– U czterech – potwierdził Sasza.

– A dlaczego? Jest jakieś wyjaśnienie?

– Sam nie rozumiem.

– Kiedy była pierwsza kradzież?

– Czwartego października, we wtorek. Przedtem w sobotę, pierwszego, byliśmy z wizytą, a we wtorek gospodarzy okradziono.

– A ci, u których byliście wcześniej, przed pierwszym październikiem, nie ucierpieli?

– Właśnie o to chodzi, że nie. We wrześniu byliśmy u dwóch moich przyjaciół, i tam nic się nie stało. Wszystko zaczęło się dopiero w październiku. Dlatego myślę, że na początku ona po prostu przyglądała się gronu moich znajomych, typując spośród nich potencjalne ofiary kradzieży.

– A ty sam w to wierzysz? Logika – dobrze, ale serce przecież coś ci podpowiada?

Sasza milczał przez długą chwilę, starannie mieszając cukier w filiżance z wystygłą herbatą.

– Trudno mi oceniać, Nastiu – zaczął ostrożnie. – Dasza... Dasza jest niezwykła. Tego nie da się wyrazić słowami. Język mi kołkiem staje, gdy próbuję powiedzieć jej o tych kradzieżach. To tak jakby kupić bukiet świeżych kwiatów i natychmiast wyrzucić do śmieci. Okrutnie i bez sensu. To jest to, co mówi serce. A rozum mówi coś innego.

– Co, na przykład?

– Na co jestem jej potrzebny? Bynajmniej nie jestem urodziwy i żaden ze mnie superman. Pod żadnym względem nie jestem nadzwyczajnym ko chankiem. Pieniądze mam, to prawda, i to spore, ale Daszka tych pieniędzy nie widzi i żadnego pożytku z nich nie ma. Jako ewentualnego małżonka rozpatrywać mnie nie może, bo nie zamierzam się rozwodzić i ona o tym doskonale wie. Więc do czego jestem jej potrzebny? Dlatego zmuszony jestem myśleć, że ona ma w tym jakiś interes.

– A miłość? – kpiąco zapytała Nastia. – Zapomniałeś o miłości?

– Miłość? – Popatrzył zaskoczony na siostrę i nagle wybuchnął śmiechem. – Czy mnie można w ogóle kochać? Też wymyśliłaś, siostrzyczko! W życiu nikt nigdy mnie nie kochał, od dzieciństwa przezywano mnie świńskim blondynem albo bladą twarzą, do tego przygłupem. Nie jestem piękny i mam wstrętny charakter. Zawsze kupowałem sobie kobiety, począwszy od pierwszej, która pozbawiła mnie niewinności. Żona też mnie nie kocha. Traktuje mnie wspaniale, jesteśmy przyjaciółmi, ale nie kocha mnie. Wychodziła za mąż za pieniądze i perspektywy, a nie za mnie.

– Po cóż więc się z nią ożeniłeś?

– Nie ożeniłem się. Kupiłem sobie matkę swojego przyszłego dziecka. I jestem wdzięczny losowi, że została nie tylko matką mojej córeczki, ale i moim przyjacielem. Nawet na to nie liczyłem.

– Poczekaj, ale przecież powiedziałeś, że nie wydawałeś pieniędzy na Daszę. To znaczy, że nie kupiłeś jej?

– Próbowałem, jak zwykle, robić jej prezenty, oczywiście drogie, ale odmawiała. I to akurat mnie niepokoi. Czego ona ode mnie oczekuje?

– To jakieś brednie – powiedziała z gniewem Nastia. – Pleciesz kompletne bzdury. Dlaczego nie można cię kochać? Wygadujesz niestworzone rzeczy.

– A kradzieże? – z przygnębieniem zapytał Sasza. Widać było, że sam niewyraźnie się czuje z powodu swoich podejrzeń.

– Tak, kradzieże – powiedziała w zamyśleniu Nastia. – O kradzieżach trzeba pomyśleć. Niech no sama obejrzę tę twoją piękność. Jutro pracuje?

– Na drugą zmianę, od trzeciej do ósmej. Wiesz, gdzie jest sklep?

– Wiem. Opowiadałeś jej o mnie?

– Nie.

– Dobra, jutro tam pójde.

Sasza uśmiechnęła się nieoczekiwanie i wyciągnęła portfel.

– A to na co? – zdziwiła się Nastia.

– Kupisz sobie coś dla niepoznaki. Tam wszystko jest bardzo drogie.

Słusznie – pomyślała Nastia. – Żeby przyjrzeć się tej Daszy, będę musiała przymierzyć co najmniej dziesięć sukienek. A jeśli po tych wszystkich męczarniach nic nie kupię, to może się okazać podejrzanym. Braciszek wcale nie jest taki głupi. Chociaż ma nierówno pod sufitem.

Zamknawszy za Saszą drzwi, Nastia weszła do pokoju, gdzie Losza w skupieniu pracował na komputerze.

– Wiesz, Loszyk, mam bardzo ciekawego krewniaka – powiedziała, podchodząc i obejmując go za ramiona. – Uważa, że nie można go kochać.

– Tak? – z roztargnieniem odezwał się Czistiakow, nie przerywając pracy. – I dlaczegoż to?

– Jest nieładny i ma zły charakter.

– Tylko tyle? Biedaczysko, gdyby wiedział, jaki charakter ma jego siostra! Ale przecież znalazł się idiota w mojej osobie, który ją kocha. Zwolnić ci miejsce? Już kończę.

– Dziękuję, Loszeńka. A co mamy na kolację?

– Wydaje mi się, że zostały jeszcze kotlety.

– Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, już je zjedliśmy – rzekła niepewnie Nastia.

– Skończyłem. – Losza zamknął program i wstał od biurka. – Siadaj, luminarzu walki z przestępczością. Wreszcie zrozumiałem, dlaczego za mnie nie wychodzisz.

– Dlaczego? – zaciekawiała się Nastia, odszukując w komputerze swój katalog. – Powiedz, to przynajmniej będę wiedzieć.

– Dlatego że jesteś leniwa i niegospodarna. Dopóki proszę o twoją rękę, a to już bez mała piętnaście lat, jestem poniekąd od ciebie zależny, i możesz mną pomiatać. Jeżeli się z tobą ożenię, to zyskam wolność i niezależność, ale kto będzie cię, paskudo, karmić?

– Jeżeli nie będziesz mnie karmić, to się z tobą rozwiodę – obiecała Nastia, rysując na ekranie tabelę.

– Dobrze sobie! Rozwiedzie się – burknął Czistiakow, zbierając ze stołu notatki. – Nie chce ci się nawet zrobić kanapki, a co tu mówić o rozwodzie.

2

Dmitrij Sotnikow spoglądał z uśmiechem na siódmkę dzieciaków, pochłoniętych rysowaniem martwej natury. Mimo niezwykłego talentu są nadal dziećmi, bezpośrednimi, żywymi, strasznie zabawnymi. Dmitrij lubił swoich uczniów, w ogóle lubił dzieci i za nic by się nie zgodził wziąć starszą grupę. W szkole

plastycznej, która otrzymała ostatnio górnołotną nazwę Akademii Sztuk Pięknych, pracował ponad dziesięć lat, i w ciągu wszystkich tych lat nie miał w grupie ani jednego ucznia ze starszej klasy.

Obcowanie z dziećmi sprawiało mu zawsze radość, ale dzisiaj pod koniec zajęć jego lekki, pogodny nastrój stopniowo zniknął, ustępując miejsca niewyraźnemu niezadowoleniu. Przez głowę przemknęła mu myśl, że dzisiaj jest przecież czwartek, a w czwartki przychodzi Liza. Znowu będą wspomnienia, rozmowy o Andrieju, łązy, potem rutynowe, niczym poranna kawa, uprawianie miłości. Wszystko to będzie przykre, ale na duchu podtrzymywała go myśl, że Liza odczuje niewielką ulgę. Niewielką, ale zawsze ulgę.

Po zakończeniu zajęć Sotnikow udał się do domu, wstępując po drodze po zakupy. Liza przyjdzie, jak zwykle, o ósmej, do tego czasu chciał zdążyć sprzątnąć mieszkanie i zjeść kolację. Liza nigdy nie siadała razem z nim do stołu, i jeżeli nie zdążył zjeść przed jej przyjściem, pozostawał głodny do końca spotkania.

Po powrocie Dmitrij obejrzał ze smutkiem swoje zaniedbane lokum. Życie kawalerskie artysty wycisnęło piętno na wyglądzie całego mieszkania, począwszy od nieumytych szyb, a skończywszy na garnkach z ułamanymi rączkami. Dmitrij bardzo się starał utrzymywać czystość, regularnie mył podłogi i ścierał kurz, ale nie miał zupełnie serca do mycia okien, a kupno nowych naczyń czy naprawa ciekącego kranu nawet nie przychodziły mu do głowy.

Liza przyszła wkrótce po tym, jak stary zegar na ścianie wybił ósmą. Przez ostatnie dziewięć lat nosiła się tylko na czarno, dzisiaj też ubrana była w czarne spodnie i w czarny luźny sweter. Dmitrij nie był zachwycony tą przedłużającą się żałobą, poza tym widział okiem artysty, domagającym się harmonii koloru i formy, że w

czarnym nie jest jej wcale do twarzy. Liza, postawna, dobrze zbudowana ciemna blondynka o szarych oczach i sportowej zadbanej sylwetce, mogłaby tryskać zdrowiem i humorem i najlepiej wyglądałaby w białych dżinsach i jaskrawej koszulce z wesołym nadrukiem. Ale zamiast tego uparcie nosiła żałobę, rzadko się uśmiechała i wydawało się, że wyraz niewysłowionego smutku przyłgął do jej twarzy na zawsze.

– Jak minął dzień? – zapytał Dmitrij, umieszczając kurtkę Lizy na wieszaku w przedpokoju.

– Normalnie. Byłam na cmentarzu, umyłam pomnik, położyłam kwiaty.

– Kiedy wracasz do pracy?

– Pewnie za jakiś tydzień. Zobaczymy. Jeszcze się nie zdecydowałam.

– Co mówi lekarz?

– A co ten konował może wiedzieć! – odparła Liza z lekceważeniem. – Powie to, co zechcę. Zobaczymy – powtórzyła – jeśli będę miała nastrój do pracy, zrezygnuję ze zwolnienia.

Po przeżytych dziewięć lat temu szoku, gdy na oczach Lizy czwórka chłopców zabiła jej młodszego brata, dziewczyna od czasu do czasu trafiała do szpitala z powodu rozstroju nerwowego, a potem kończyła kurację w domu.

– Wiesz – zaczęła z ożywieniem, moszcząc się w przytulnym głębokim fotelu, który razem ze starym zegarem ściennym Dima dostał od prababki. – Andriuszy podobały się niebieskie chryzantemy, które mu przyniosłam ostatnim razem. Zauważyłam już dawno, że jeśli kwiaty mu się podobają, długo nie więdną.

Dzisiaj znowu położyłam takie same. Jak myślisz, podobają mu się chryzantemy czy to, że są niebieskie?

No proszę, znowu się zaczęło – pomyślał znużony Sotnikow. – Nie ma sensu tłumaczyć jej, że Andriuszy już nic nie może się podobać albo nie podobać, bo już od dziewięciu lat nie ma go na tym świecie. Liza nie chce tego pojąć, nie próbuje się pogodzić ze śmiercią brata, ale ponieważ wobec faktu jego śmierci jest bezsilna, znalazła pociechę w religii i uwierzyła w nieśmiertelność duszy. Stąd te rozmowy, cotygodniowe, nierzadko jeszcze częstsze wizyty na cmentarzu, codzienne sprzątanie pokoju, w którym całe lata po jego śmierci utrzymywany jest porządek, jakby poszedł do szkoły i za dwie godziny miał wrócić. Że niby dusza Andriuszy jest tutaj, z nami, wszystko widzi i wszystko rozumie, a my powinniśmy zwracać się do niej, jakby on żył. Liza to jeszcze nic, ale jej matka całkiem zbzikowała, prawie codziennie chodzi do cerkwi, przyjęła nawet chrzest. Mieszkanie zamieniono w mauzoleum, wszystkie ściany zawieszono obrazami i zdjęciami chłopca, rodzina pielęgnuje swój smutek, żeby jeszcze bujniej rozkwitał. Już dziewięć lat, jak to wszystko wytrzymuję, bo okropnie żał mi Lizy. Jej brat był genialnym artystą, nigdy wcześniej nie miałem takiego uzdolnionego ucznia. Andriej był cudownym dzieckiem, nie tylko malarzem, ale i błyskotliwym poetą. A Liza była siostrą geniusza, przy czym Siostrą przez duże S, a przecież do tego też potrzebny jest talent. Umiała być cierpliwa, wiedziała, jak wyciągnąć go z kryzysu, gdy Andriej zaczynał rzucać na podłogę pędzle i krzyczeć, że jest nędznym pacykarzem i nie dotknie farb nigdy więcej. Całe jej życie i wszystkie nadzieje koncentrowały się na chłopcu, żyła jego życiem

i zaakceptowanie faktu, że już go nie ma, było dla niej równoznaczne ze śmiercią. Moja biedna, szalona dziewczynka.

– Nie, na pewno najważniejsze jest, mimo wszystko, to, że kwiaty są niebieskie – ciągnęła Liza, nie zauważając, że Sotnikow jej prawie nie słucha. – Pamiętasz, jak Andriusza namalował mój portret w kostiumie księżniczki? Jestem na nim w sukience w niebieskie kwiaty. Naprawdę kwiaty były różowe, ale on zrobił niebieskie, powiedział, że tak jest lepiej. Pamiętasz?

– Pamiętam – uśmiechnął się Dima. – Portret był wspaniały.

– No właśnie – podchwyciła Liza, potrząsając głową – na wystawie zobaczył go jakiś cudzoziemiec i chciał kupić, ale Andriuszeńka powiedział: „To jest portret mojej siostry, mojej księżniczki. Nie jest na sprzedaż, bo chcę, aby moja Liza zawsze była ze mną”.

Głos jej zadrżał, po policzkach popłynęły łzy. Wspomnienia o bracie były ciągle bolesne. Dymitr przysiadł obok na poręczu fotela, objął dziewczynę, przytulił jej głowę do swojej piersi. Wiedział, że uspokajanie i pocieszanie jej jest czystą stratą czasu, trzeba jej płacz po prostu przeczekać.

– A pamiętasz, jak razem, tak jak dzisiaj, siedzieliśmy w pracowni, głaskałeś mnie po głowie i mówiłeś, że Andriusza jest niezwykle utalentowany i jego obrazy pojedą na wystawę do Paryża, a my pojedziemy razem z nim i będziemy spacerować po bulwarze Croisette? – zaszlochała Liza.

– Oczywiście, że pamiętam – odrzekł cicho Sotnikow. Tak naprawdę kompletnie sobie tego nie przypominał, ale kłócić się z Lizą było niebezpiecznie.

– Miałam szesnaście lat i byłam w tobie po uszy zakochana, a ty nawet tego nie zauważałeś. Prawda?

– Zgadza się. Byłaś wtedy okropnie miłą dziewczynką, ale tylko dziewczynką, a ja byłem nauczycielem twego brata, starym i solidnym, skończyłem dwadzieścia siedem lat.

– No tak, a kiedy obejmowałeś mnie i mówiłeś o Paryżu, serce mi zamierało. To było jak w bajce. Dim, kiedy zrozumiałeś, że mnie kochasz?

Nigdy – odrzekł w myślach Dima, ale głośno powiedział coś zupełnie innego.

Jego stosunek do Lizy był złożony i zagmatwany. Istotnie do pewnego czasu była dla niego zaledwie miłą dziewczynką, siostrą jego ucznia. Jako doświadczony pedagog widział oczywiście, że jest w nim za kochana, ale który z mężczyzn będących nauczycielami z tym się nie zetknął? To było normalne, nikt nie przywiązywał do takich rzeczy większej wagi. Liza odprowadzała brata na zajęcia, siedziała cierpliwie w kąciку i czekała, póki nie skończy się lekcja, gawędząc po cichu z Sotnikowem o różnych głupstwach. Czasami Dmitrij prosił ją, aby pozowała w czasie zajęć, i chętnie się zgadzała.

Po śmierci jedenastoletniego brata Liza nadal przychodziła do malarza, jakby nic się nie zmieniło, rozmawiała z nim o Andrieju, o jego obrazach i wierszach. Te wizyty były regularne i jakby same przez się zrozumiałe. Początkowo Dima wierzył, że z czasem rany się zabliznią i przykre wizyty stopniowo ustaną, ale mijały miesiące, lata, a Liza, jak dawniej, jeżeli nie była w szpitalu, przychodziła do niego co czwartek do szkoły. Kiedy się zorientował, było już za

późno, aby coś zmienić. Ale co miał jej powiedzieć? Jak wytłumaczyć, że nie powinna do niego przychodzić? Coś takiego mówi się albo od razu, albo nigdy. To jedna z najczęstszych pułapek, zastawianych przez litość i współczucie. Pozostawało tylko czekać. Było mu Lizy szczerze żal, sam sobie wydawał się nieczuły i bezduszny, bo nie mógł się zmusić do przeżywania straty chłopca z równie potężną siłą.

Zostali kochankami, kiedy Liza skończyła dwadzieścia lat. Dmitrijowi nie sprawiło to żadnej radości, ale Liza jakby trochę ożyła, otrząsnęła się, wyjrzała, choć nie na długo, ze swojej żałobnej skorupy. I Dima Sotnikow postanowił wtedy, że jeżeli może cokolwiek dla niej uczynić, powinien to zrobić bez względu na wszystko, bez względu na inne kobiety, w których się zakochał i z którymi spał. Jeżeli istnieje iluzja pomagająca Lizie zmierzyć się z nieszczęściem, to on nie ma prawa tej iluzji niszczyć. Jeżeli miłość do niego może ją wesprzeć, nie powinien pozbawiać jej tego wsparcia. Ta decyzja została oczywiście podjęta w sytuacji, kiedy Dima po nieudanym krótkotrwałym związku małżeńskim doszedł do wniosku, że na najbliższe trzy, cztery lata da sobie z tym spokój. Co się stanie z Lizą, kiedy w jego życiu pojawi się kobieta, z którą zechce się ożenić, Sotnikow nie miał pojęcia, ale przypuszczał, że kiedy to nastąpi, będzie wiedział. Myśl, aby oświadczyć się Lizie, nie przyszła mu nigdy do głowy. Bardzo ją lubił i mógł nawet raz w tygodniu zademonstrować to w łóżku. Ale jej nie kochał.

3

Zbliżała się szósta i Nastia pomyślała, że jeżeli Lesnikow w ciągu dziesięciu minut się nie pojawi, nie pozostanie jej nic innego, jak samej tłuc się do sklepu „Orion”.

Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz wychodziła z pracy o szóstej, zwykle przesiadywała do późna, zastanawiając się nad faktami i wydarzeniami, kreśląc zawile schematy, budując najbardziej nieprawdopodobne wersje rozwiązań i obmyślając sprytnie i oryginalne sposoby ich sprawdzenia. Swego czasu, aby wyjaśnić serię zabójstw, musiała nawet przeczytać kilka thrillerów po francusku i włosku. Koledzy Nasti z początku wzruszali ramionami i uśmiechali się z niedowierzaniem, kiedy ich przełożony Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, zwany Pączkiem, oznajmił, że przyjął do wydziału osobę, która będzie się zajmować pracą analityczną. Nie widzieli specjalnego sensu w tej pracy i przypuszczali, że szef na prośbę jakiegoś ważniaka urządził po prostu czyjaś córeczkę, a ponieważ na robocie śledczej się nie znała i nie umiała nic robić, wymyślono jej tę mityczną pracę analityczną. Pomysł wydawał się prawdopodobny również i z tego względu, że ojczym Nasti Leonid Pietrowicz ćwierć wieku przepracował w wydziale kryminalnym i przyjaźnił się z Pączkiem.

Było to prawie dziesięć lat temu, i musiało upłynąć sporo czasu, aby złośliwe uśmiechy i zjadliwe uśmieszki stopniowo zniknęły z twarzy pracowników wydziału kryminalnego. Nastia pracowała na wszystkich, spełniając wszelkie prośby i polecenia. Można było do

niej przyjść i powiedzieć: „Nie wychodzi mi kombinacja, którą wymyśliłem. Nie udaje mi się, o tu i tu”. Kamieńska zamykała się w gabinecie, wyjmowała swoje słynne karteczki, kreśliła na nich niezrozumiałe strzałki i kółeczka, a po dwóch godzinach sporządzała wykaz przyczyn, z powodu których kombinacja zawodzi, i radziła, jak te przyczyny usunąć. Przyswoiwszy sobie precyzyjny tok myślenia matematyka, dla którego nie istnieje słowo „niemożliwy”, nie pomijała zwykle ani jednej hipotezy i ani jednego wyjaśnienia, jakkolwiek nieprawdopodobne się wydawały na pierwszy rzut oka, a fenomenalna pamięć pozwalała jej przechowywać w głowie masę informacji, które na pierwsze żądanie wyciągała na światło dzienne, porównywała, i po takich konfrontacjach ukazywały się z czasem w zupełnie innym świetle.

Dzisiaj Nastia zamierzała spełnić daną bratu obietnicę i przyjrzeć się dziwnej dziewczynie Daszy Sundijewej. Aby wywiązać się z zadania jak najlepiej, chciała podjechać pod sklep dobrym drogim samochodem. Dlatego właśnie czekała z niecierpliwością na swego kolegę Igora Lesnikowa, który był właścicielem lśniącego bmw. Jeszcze rano poprosiła go o pomoc i Lesnikow, zawsze surowy i poważny, skinął w milczeniu głową i popędził do swoich spraw. Nastia w sumie nie zrozumiała, czy zamierza spełnić jej prośbę, czy nie.

Gdy wskazówki zegara pokazały za dwie szóstą, Nastia zaczęła się ubierać. Dalsze czekanie nie miało sensu, jeżeli zamierza spędzić w sklepie minimum godzinę, a sklep jest otwarty do ósmej. Już zamykając drzwi gabinetu, zobaczyła na końcu korytarza nieśpiesznie kroczącego Lesnikowa.

– Dokąd to się wybierasz beze mnie? Co, zmieniłaś plany? – zapytał spokojnie.

– Nie, po prostu straciłam już nadzieję, że się pojawisz.

– Przecież ci obiecałem – odparł Lesnikow z niewzruszonym spokojem. – Jak mógłbym się nie zjawić? Jeśli coś by mi przeszkodziło, zadzwoniłbym do ciebie.

O obowiązkowości i punktualności Igora Lesnikowa po MUR-ze* krążyły legendy, przeradzające się z czasem w anegdoty. Z pewnością poważniejszego i spokojniejszego człowieka korytarze Pietrowki 38 nigdy wcześniej nie widziały. W dodatku był przystojny, i połowa żeńskiej ludności kraju, nazywanej „moskiewskim GUWD* □□ Moskwy", wzdychała do niego po kryjomu. Ale Lesnikow był przykładnym, kochającym mężem i szczęśliwym ojcem, i mimo najlepszych chęci nie można mu było absolutnie nic zarzucić: przez wiele lat żadnej z pracownic Pietrowki nie udało się wzbudzić jego zainteresowania.

Podjeżdżając do „Oriona", Nastia poprosiła:

– Zaparkuj tak, żeby samochód było dobrze widać ze sklepu. Wejdę, za jakieś dziesięć, piętnaście minut wyjdę, porozmawiam z tobą, i potem możesz odjechać.

– Dobrze – rzucił Igor, wjeżdżając ostrożnie na parking.

W moim życiu rozpoczął się okres znajomości z bogactwem – pomyślała ironicznie Nastia. – Najpierw Loszyk z sukienką za sześć setek, potem braciszek milioner, a teraz jeszcze sklep, gdzie ceny nawet w dolarach są fantastyczne.

Nastia zobaczyła Daszę Sundijewą od razu. W takim drogim sklepie klientów było niewiele, a dział konfekcji damskiej w ogóle

świecił pustkami.

Brat nie rozminął się z prawdą, Dasza była faktycznie piękna. Chociaż nie była piękna w pełnym tego słowa znaczeniu: patrząc uważnie, Nastia zauważyła, że dziewczyna ma niezbyt regularne rysy, nienajlepszą cerę, a jej nogi mogłyby być troszkę dłuższe. Za to miała wspaniałe gęste włosy złocistomiodowego koloru, spływające na ramiona obfitymi falami, szafirowe oczy, urocze rumieńce i dołeczki na policzkach. Ale największym jej atutem był wyraz twarzy, pogodny, otwarty i życzliwy, dzięki czemu buzia wydawałaby się piękna, nawet gdyby była zdecydowanie brzydka.

Nastia weszła do działu konfekcji i zatrzymała się, oglądając różne modele odzieży.

– Dobry wieczór. Czy mogę pani w czymś pomóc? – ekspedientka podeszła natychmiast z wyćwiczonym profesjonalnym uśmiechem na twarzy.

– Być może – zagadkowo odpowiedziała Nastia. – Mam dosyć skomplikowany problem.

Nastia oczekiwała, że Dasza na te słowa zubożeje, ale się pomyliła. Dziewczyna rozpromieniła się i ożywiła.

– Mam nadzieję, że razem rozwiążemy pani problem, nawet jeśli jest bardzo skomplikowany.

Jeden punkt dla ciebie – pomyślała Nastia. – Interesuje cię to, co robisz. Zaraz zobaczymy, czy jesteś profesjonalistką.

– Szukam kostiumu do pracy. Ale mam kilka warunków: po pierwsze, spódnica nie powinna być krótka, po drugie, kostium nie powinien krępować ruchów, po trzecie, powinien być taki, żeby można było wkładać do niego pantofle na niskim obcasie albo w

ogóle bez obcasów, po czwarte, nie powinien być jaskrawy czy strojny, po piąte, powinien być z niemnącego się materiału i nie wymagać codziennego prasowania. I, wreszcie, po szóste, powinno mi być w nim do twarzy. To chyba najtrudniejsze. No jak, da się coś zrobić?

Dasza uśmiechnęła się wesoło.

– Im trudniejsze zadanie, tym ciekawsze jest jego rozwiązywanie. Zgodzi się pani ze mną?

– No... W zasadzie tak – Nastia zmieszała się, bo były to jej własne słowa, które nieraz powtarzała. Ciekawa z tej Daszy dziewczyna. Bez najmniejszego wysiłku zarobiła drugi punkt.

– A więc zaczniemy od najważniejszego. Zdecydujemy, w jakich kostiumach jest pani do twarzy, a dopiero potem będziemy wybierać te, które by odpowiadały pani warunkom.

– Cały problem w tym, że w kostiumach w ogóle mi nie do twarzy, dlatego nie wiem, jaki będzie najlepszy. W pracy wymagany jest oficjalny ubiór, więc zostałam niejako zmuszona do zakupu kostiumu. Tak naprawdę wolę inne ubrania.

Dasza cofnęła się kilka kroków i zaczęła się przyglądać swojej klientce.

– Proszę się obrócić. Tak, dobrze. Proszę rozpiąć kurtkę, a najlepiej całkiem ją zdjąć. Biust czterdzieści osiem-pięćdziesiąt, talia czterdzieści sześć, biodra czterdzieści sześć, wzrost numer cztery. Nic dziwnego, że nie może pani nic sobie w sklepie wybrać.

– Dlaczego? – zdziwiła się Nastia. Jakoś nie zastanawiała się nad tym, bo nic sobie nie kupowała. Miała dosyć przyzwoitą garderobę, ponieważ matka, która często wyjeżdżała za granicę i przebywała

tam przez dłuższy czas, przysyłała jej drogie i modne ciuchy, których Nastia praktycznie nigdy nie wkładała, czując się znacznie lepiej w dżinsach i koszulkach latem, w swetrach zimą, i w wygodnych adidasach.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, rzeczy, które dobrze leżą w talii i biodrach, są ciasne w biuście, a rzeczy, które w biuście nie są ciasne, w talii wiszą albo nawet opadają. Ma pani rozmiar czterdziesty ósmy, ale przy pani wzroście jest pani zbyt szczupła. Nie jest pani chora?

– Nie. Po prostu nieprawidłowo się odżywiam, no i pracę mam nerwową – wyjaśniła Nastia, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że niewiele brakowało, a zaczęłyby się zwierzać nieznajomej, do tego jeszcze podejrzaney. Czyżby miała ona jakiś szczególny dar zjednywania sobie ludzi?

– Drugi problem polega na tym, że nie ma pani indywidualnego wizerunku. Z jakiejś przyczyny ukrywa go pani albo nie tworzy. Dlatego nic do pani nie pasuje.

– Nie rozumiem – zachmurzyła się Nastia. W rzeczywistości doskonale wiedziała, o co chodzi, i musiała przyznać, że dziewczyna trafiła w sedno. Mądra, szybko kojarzy, dobry zasób słów, pozwalający na precyzyjny, a zarazem staranny i taktowny sposób formułowania myśli. Wprawne oko profesjonalisty. Wrodzony wdzięk, przyciągający ludzi. Umiejętność nakłonienia do rozmowy i do zwierzeń. Ile punktów nabierałaś, Daszo? Sześć. Brawo. Nic dziwnego, że brat Aleksander zakochał się w tobie bez pamięci. Ale jeżeli w jego podejrzeniach jest choć ziarno prawdy, to jesteś piekielnie niebezpieczną przestępczynią, bo z twoimi możliwościami stać cię pewnie na wiele.

– Postaram się wyjaśnić – ciągnęła ekspedientka. – Co mamy na myśli, gdy mówimy, że w sukience jest albo nie jest kobiecie do twarzy? Po pierwsze, zestawienie kolorów: kolor włosów i oczu powinien korzystnie się uwydatniać lub być podkreślony za pomocą koloru ubrania. Po drugie, połączenie stylów: fason i styl ubrania powinien odpowiadać wizerunkowi, który kobieta tworzy poprzez fryzurę, makijaż, dodatki, prezencję, nawet sposób chodzenia i maniery, nie mówiąc już o sposobie wysławiania się. Rozumie mnie pani?

Nastia kiwnęła głową.

– Proszę mówić dalej. To bardzo ciekawe.

– Musi pani przyznać, że kiedy kobieta w wytartych dzinsach i koszuli w kratkę robi wieczorowy makijaż, wymyślną fryzurę i obwiesza się brylantami, jest to niedorzeczne. Dokładnie tak samo niedorzeczne, gdy ubrana w drogi kostium kobieta chodzi rozczochrana i z tandetnymi błyskotkami na szyi i w uszach. Albo dama w sukni wieczorowej nagle zaczyna mówić zachrypniętym głosem i kląć jak szewc. Obraz powinien być spójny, rozumie pani?

– Tak, oczywiście.

– Żeby dobrać kostium, w którym będzie pani do twarzy, trzeba dostrzec pani wizerunek. A pani go nie ma.

– To znaczy chce pani powiedzieć, że jestem nijaka?

– Pani sama sprawia, że jest nijaka – zaprzeczyła gorąco Dasza. – Z pani warunkami może pani stworzyć dowolny wizerunek, ale z jakiegoś powodu nie zależy pani na tym. Dlatego zdecydujemy, jaka pani chce być, a dopiero potem postanowimy, co dalej.

Siedem punktów – policzyła w myślach Nastia. – Ojczym pierwszy zwrócił mi uwagę na naturalne cechy mojej powierzchowności wiele lat temu, tłumacząc, że na mojej mało wyrazistej i nijakiej twarzy można namalować, co się żywnie podoba, od szpetoty po nieziemskie piękno. Można umiejętnie nakładać kosmetyki, zmieniać kolor włosów i oczu, fryzurę i sposób chodzenia, głos i sposób mówienia. Tego wszystkiego uczyłam się w młodości, a mama przysyłała mi z zagranicy różnokolorowe szkła kontaktowe i specjalne kosmetyki. A więc sztukę tworzenia wizerunku mam opanowaną nie gorzej niż ta wizażystka. Inna sprawa, że w życiu codziennym prawie nie korzystam z tych umiejętności, bo zupełnie mnie nie interesuje, jak wyglądam i czy się podobam mężczyznom. Interesuje mnie rozwiązywanie zadań.

Pospiesznie spojrzała na zegarek, potem rzuciła przez okno spojrzenie na ulicę. Olśniewający samochód Lesnikowa stał całkiem blisko i był dobrze widoczny.

– Czuję, że będzie trzeba zająć się moimi problemami na serio. Muszę zwolnić kierowcę na kolację. Zaraz wracam.

Podszedłszy do samochodu, Nastia otworzyła drzwiczki od strony pasażera.

– Dziękuję za pomoc, Igorze. Spójrz no, za moimi plecami, przez okno. Widzisz dziewczynę?

– Blondynkę? Widzę.

– Patrzy na nas?

– Nie, stoi do nas plecami.

– Wsiądź, proszę – poprosiła Nastia – nie mogę się schylać, bołą mnie plecy.

– Może lepiej wsiądziesz?

– Nie, chcę, żeby widziała mnie razem z tobą i samochodem. Tworzę obraz zamożnej ekscentrycznej damy.

Igor wysiadł z samochodu i stanął twarzą do wystawy.

– No i co tam? – spytała niecierpliwie Nastia. Chciała jak najszybciej wrócić do sklepu, do niezwykłej, a nawet podejrzanej dziewczyny Daszy i kontynuować swój eksperyment.

– Wyszła z działu. Aha, poszła do sąsiedniego, rozmawia z ekspedientką, podchodzi do manekinów – cicho komentował Lesnikow. – Zdejmuje z nich peruki. Jedna, dwie, trzy, cztery peruki, znowu podchodzi do ekspedientki, wraca do swojego działu. Rozkłada peruki na stole. Odwróciła się. Patrzy na nas.

– Naprawdę patrzy?

– Naprawdę. Uśmiecha się.

– Chyba do ciebie?

– Nie, do jakichś swoich myśli. Ma zamysłoną twarz.

– Ciągle jeszcze patrzy?

– Uhm. Wydaje mi się, że studiuje cię od stóp do głów.

– Dobra, wystarczy – uznała Nastia. – Zobaczyła piękny samochód z pięknym kierowcą, więc mogą wracać. Na razie, Igorku.

Wróciwszy do sklepu, Nastia od razu zauważyła, że na stojaku umieszczonym przy ladzie ekspedientki pojawiły się różne kostiumy. Pamiętała dokładnie, że kiedy rozmawiała z Daszą, ten akurat stojak był pusty.

– Wszystko w porządku? – ekspedientka uśmiechnęła się do niej życzliwie. – W takim razie kontynuujmy, jeśli się pani nie

rozmyśliła. Wybrałam dla pani kostiumy i peruki, żeby mogła pani z grubsza określić, jaki wizerunek będzie pani tworzyć. Proponuję do wyboru platynową blondynkę z oliwkowozieloną gamą kolorów albo ciemną blondynkę z szarymi i bladoliliowymi odcieniami.

– A na czym polega różnica? – zainteresowała się Nastia, czując się jak egzaminator. Doskonale wiedziała, na czym polega różnica, ale chciała usłyszeć odpowiedź, żeby Daszę sprawdzić.

– Platynowa blondynka w połączeniu z oliwkowozielonymi odcieniami da nam obraz kobiety z przeszłością, która cierpiała i kochała, jest opanowana, zimna na zewnątrz, ale całkiem możliwe, że namiętna z natury. Włosy ciemnoblond razem z szarymi i bladoliliowymi kolorami składają się na obraz łagodnej, ustępliwej, miłej kobiety domatorki, otwartej i czulej. Proszę wybierać.

Po godzinie Nastia wyszła ze sklepu „Orion” z kupionym za pieniądze brata kostiumem z oliwkowego jedwabiu i mglistym wrażeniem, że niebieskooka, złotowłosa Dasza Sundijewa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż może się wydać nawet najbardziej stronniczemu i skłonnemu do podejrzeń sędziemu. Mądrzy i przenikliwi ludzie rzadko bywają otwarci i życzliwi, bo mądrzy i przenikliwi ludzie przejrzą cię na wylot, dostrzegając nawet twoje „nietwarzowe” myśli. Po czym życzliwości gwałtownie im ubywa. Takich ludzi jak Dasza po prostu nie ma. Nastia była przekonana, że Dasza coś udaje. A ponieważ głupiec nie jest w stanie naśladować rozumu, profesjonalizmu i przenikliwości myślenia, pozostaje tylko sądzić, że życzliwość, dobroć i prostolinijność Daszy jest sztuczna. Bardzo możliwe, drogi braciszku, że się nie pomyliłeś. Coś jest z twoją dziewczyną stanowczo nie tak.

Ledwie Nastia otworzyła drzwi wejściowe, usłyszała dzwonek telefonu.

– Odbierz! – krzyknął do niej z głębi mieszkania Czistiakow. – To pewnie znowu twój brat, już chyba dziesięć razy dzwonił.

To był istotnie Aleksander Kamieński, z niepokojem oczekujący na wyrok Nastii.

– Nie mogę na razie powiedzieć nic określonego – uczciwie powiedziała Nastia. – Wygląda na to, że masz rację, ale nie jestem do końca pewna.

– To co mam robić?

– Spokojnie, bez paniki. Zachowuj się jak gdyby nigdy nic, spotykaj się z Daszą, tylko nie zabieraj jej do znajomych. A ja za parę dni powtórzę podejście. Może się coś wyjaśni.

– Dziękuję, siostrzyczko. Wybacz, że zabieram ci czas – podziękował Sasza.

4

Prowadząc białe żiguli po Szosie Leningradzkiej z lotniska Szeremietiewo do miasta, myślał, że benzyny musi wystarczyć, żeby dojechać do domu. Dzień był niespokojny, Igor Jerochin kręcił się po całej Moskwie, ale podczas gdy on przyjeżdżał gdzieś jednym samochodem, a wyjeżdżał drugim, deptający mu po piętach nie

zmieniał samochodu i pod koniec dnia problem paliwa stał się naprawdę poważny.

W ciągu całego okresu obserwacji, który ciągnął się już około trzech miesięcy, mężczyzna śledzący Jerochina był w Szeremietewie co najmniej dziesięć razy. Igor albo sam gdzieś podróżował, albo kogoś odprowadzał, albo odbierał z lotniska ludzi obładowanych mnóstwem waliz i toreb. Obserwacja prowadzona była niesystematycznie, od przypadku do przypadku, gdy mężczyzna ów dysponował wolnym czasem, toteż nie miał on na razie szczegółowych danych dotyczących przemieszczania się i sposobu życia Jerochina, ale takie dane nie były mu właściwie potrzebne. Mężczyzna w białym żiguli wiedział dokładnie, o jakie informacje mu chodzi, i cierpliwie, wykorzystując każdą wolną godzinę, śledził Igora, zapamiętując, gdzie i kiedy ten bywa, co robi, z kim się spotyka, jaką trasą wraca wieczorem do domu. Mężczyzna ów był cierpliwy, umiał się przycisnąć i czekać, nieprzewyciężona potrzeba działania była mu obca.

Ostatnio zauważył, że Igor śledzi jakąś młodą kobietę, przy czym robi to nie sam, ale na zmianę z dwoma kolegami. Zresztą kolegów mogło być więcej, przecież kierowca żiguli nie pilnował Jerochina bez przerwy. Wydało mu się to zabawne. Śledzenie śledzącego. Kobieta go nie interesowała i nie próbował sprawdzać, kim jest i dlaczego Igor i jego kolesie ją śledzą. Jego zadanie było zupełnie inne.

Mikrobus, w którym znajdował się Igor, wjechał na podwórze i zatrzymał się przed wejściem. Wsiadło z niego, oprócz Jerochina, jeszcze trzech mężczyzn i wszyscy zaczęli wyładowywać ogromne walizy i wielgachne torby. Mężczyzna w żiguli nie wjechał na

podwórze, widział te praktyki niejedną raz i wiedział, że torby i walizy są wypełnione po brzegi przywiezionymi przez „mrówki” z Turcji albo Grecji wyrobami skórzanymi i futrzarskimi, które jutro pojawią się na bazarze w Łużnikach albo w Końkowie. Nie było w tym nic ciekawego.

Wyładowawszy towar i zataszczywszy go do budynku, Igor wsiadł do mikrobusu i pojechał w stronę domu, gdzie przesiadł się do własnego audi i skierował do centrum, na Twerską. Wysiadł niedaleko pomnika Dołgorukiego, podszedł do młodego człowieka w typie kaukaskim, zamienił z nim kilka słów, po czym młody Kaukazczyk się pożegnał, a Jerochin wrócił do swojego audi, wsiadł, ale nigdzie nie pojechał. Mężczyzna w żiguli już wiedział, że teraz obiekt jego zainteresowania będzie czekać, dopóki nie pojawi się ta kobieta, potem będzie ją śledzić aż do jej powrotu do domu późnym wieczorem. I w tym też nie było nic ciekawego. Obserwując Igora w ubiegłym tygodniu, zobaczył, gdzie mieszka kobieta, i trasa, którą tamten miał potem wracać do siebie, nie odpowiadała mu.

Popatrzył na zegarek i licznik paliwa, zdecydowanie zawrócił i pojechał zatankować. Na dzisiaj obserwację zakończył.

ROZDZIAŁ 3

1

Przygotowując się do złożenia drugiej wizyty w sklepie „Orion”, Nastia planowała sobie mniej więcej, jak i co będzie robić, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Daszy Sundijewej. Sprawdziła ją i okazało się, że dziewczyna nie figuruje w żadnych rejestrach, nigdy też nie była zamieszana w sprawy kryminalne, a życiorys ma krystalicznie czysty. Potwierdziło się wszystko, co Dasza opowiadała o sobie Aleksandrowi Kamieńskiemu.

Jednocześnie charakter Daszy ciągle wydawał się Nasti zupełnie nieprawdopodobny. Skąd w końcu XX wieku w znużonej i udęczonej waśniami Rosji mógł się wziąć taki dziwny charakter, z jednej strony zadziwiające połączenie entuzjazmu zawodowego, niewątpliwej mądrości, przenikliwości, a z drugiej – wzruszającej naiwności, dobroci, chęci oddania przysługi. Może Daria nie urodziła się jednak tutaj i otrzymała inne wychowanie, chociaż dokumenty dowodzą, że jest rodowitą moskwianką. Albo jest wspaniałą aktorką, a wtedy rodzi się nieprzyjemne pytanie, czemu właściwie ma służyć całe to przedstawienie.

Ale Nasti nie udało się wykorzystać rezultatów swoich przemyśleń w rozmowie z zagadkową ekspedientką. Dasza powitała ją jak bliską

osobę, zaczęła wypytywać, jakie wrażenie kostium wywarł na współpracownikach Nasti, i wyraziła pełną gotowość do kontynuowania pracy nad wizerunkiem bogatej nieładnej klientki, żeby zamienić ją z Kopciuszka w księżniczkę. Nastia postanowiła zarzucić przynętę.

– Mam dosyć bogatą garderobę, znajomi przywożą mi ubrania z zagranicy, ale każda rzecz jest w innym stylu i nie umiem ich nosić – rzuciła niby to przypadkiem, zapinając suwak w zaproponowanych przez Daszę obcisłych spodniach i wkładając elegancką długą marynarkę.

– Jeżeli pani chce, przyjadę i zrobię przegląd garderoby – natychmiast zaproponowała ekspedientka, podchodząc do przymierzalni z kolejnym kostiumem w ręku. – Może uda nam się stworzyć taki wizerunek, do którego będzie pasować większość pani rzeczy. Szkoda, jeśli ładne rzeczy poniewierają się w szafie tylko dlatego, że nie jest w nich pani do twarzy.

– Chce się pani jechać na koniec miasta dla jakiejś przypadkowej klientki? – zdziwiła się Nastia, ściągając spodnie i wkładając wybraną przez Daszę spódnice.

– Oczywiście, to bardzo ciekawe! – zawołała z ożywieniem Dasza. – To przecież mój zawód.

Nasti nie spodobał się taki obrót sprawy. Powinna przecież być jakaś granica uczynności i życzliwości! Albo Daria prowadzi jakąś grę, albo w ogóle jest nie z tego świata. Może chce zdobyć dokumenty Nasti, wtedy gotowość przyjazdu do domu byłaby całkiem usprawiedliwiona. Bogata dama z dobrym samochodem i przystojnym młodym kierowcą – to może być kuszące. Trzeba rzucić

okiem, jak mieszka, i jeżeli mieszkanie odpowiada wymaganym standardom, a sama gospodyni okaże się przedstawicielką świata finansów i biznesu, można zrobić kopię jej dokumentów i wykorzystać je według własnego uznania. Nie, taki układ Nastii zdecydowanie się nie podobał. Zamierzała już zrobić następny krok w celu wyjaśnienia sytuacji, gdy nagle zauważyła, że Dasza zmieniała się na twarzy.

– Co pani jest? – Nastia zapytała z niepokojem. – Źle się pani czuje?

Dasza pokręciła głową, nie odrywając wystraszonych oczu od okna. Nastia podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła chłopaka w brązowej skórzanej kurtce. Chłopak stał przy kiosku z sandwiczami, jadł hamburgera i popijał czymś gorącym z plastikowego kubeczka, nad którym unosiła się lekka para.

– Zna pani tego chłopaka? – spytała Nastia.

Dasza znowu pokręciła głową, nie mogąc wykrztusić słowa.

– No to dlaczego tak się pani przestraszyła? Jest pani blada jak ściana, kochanie. Mam wrażenie, że jeszcze chwila i pani zemdleje.

– Boję się go – ledwo dosłyszalnie wymamrotała Dasza. Cudowny rumieniec, zdobiący jej twarzyczkę, momentalnie się rozpląnął, cera zrobiła się ziemistoszara, a usta zbladły.

– Dlaczego? Co w nim takiego szczególnego?

– Śledzi mnie.

O Boże! – jęknęła w duchu Nastia. – Jeszcze tylko manii prześladowczej mi brakowało. Ja tu sobie łamię głowę nad dziwactwami jej charakteru, a jej może po prostu brakować piątej klepki. To dopiero numer!

– Skąd pani to przyszło do głowy? – Nastia starannie udawała zdziwienie.

– Widziałam go już wcześniej i tu, i koło domu, i koło uczelni, gdy wracałam wieczorem z zajęć.

– Może się pani zdawało? Proszę spojrzeć, jak jest ubrany: typowa kurtka, spodnie, typowe uczesanie, zwyczajna twarz. A teraz niech pani popatrzy na innych przechodniów. Widzi pani, właśnie poszedł mężczyzna w podobnej kurtce, a tam jeszcze jeden, ma na sobie kurtkę dokładnie taką samą, pół Moskwy w takich chodzi. Ze spodniami to samo, proszę spojrzeć uważniej, to sama pani zobaczy. Jestem pewna, że po prostu wzięła pani różne osoby za jedną i tę samą.

Dasza odwróciła się od okna i uważnie popatrzyła na Nastię.

– Bierze mnie pani za wariatkę? – zapytała cicho i wyraźnie. – Ten mężczyzna ma znamię nad górną wargą z prawej strony, i jeszcze dwa – z lewej strony, na policzku przy samym uchu. A na kołnierzu kurtki przypięty mały, niebieskoczerwony znaczek. Górna kieszeń jest lekko naderwana. Widziałam tego faceta kilka razy, dlatego dobrze mu się przyjrzałam i zapamiętałam.

– No i co z tego? – Nastia próbowała zachować zimną krew. – Dlaczego pani uznała, że panią śledzi? Może po prostu często tutaj bywa, na przykład czeka na swoją dziewczynę, która pracuje gdzieś w pobliżu. Koło uczelni mogła go pani spotkać przypadkowo, nie ma w tym nic niezwykłego. A koło pani domu w ogóle nie był, pomyliła się pani ze strachu. No jak? Przekonałam panią?

– Nie. Mimo wszystko boję się go.

– Dawno panią śledzi?

– Jakieś dwa tygodnie.

Dasza skuliła się, odeszła od okna i oparła łokciem o stojak.

– Czym mu się pani tak naraziła?

– Nie mam pojęcia. Gdyby pani tylko wiedziała, jaka jestem przerażona.

– No, jeżeli tak się pani panicznie boi, dlaczego nie pójdzie pani na milicję? – poradziła Nastia, ciągle jeszcze nie biorąc dziewczyny na serio.

– Na milicję? – Daszy udało się wydusić z siebie mizerny uśmiech.

– To na nic! Wezmą mnie przecież za wariatkę. Pomyślą, że mam manię prześladowczą.

Zupełnie jakby umiała czytać w myślach – ze zdziwieniem powiedziała do siebie Nastia. – Nie zdążę nawet pomyśleć, a ona już mówi głośno. Co to za historia ze śledzeniem? Jeśli kłamie, to są dwie możliwości: albo tego chłopaka zna i boi się go z zupełnie innego powodu, ale wcale nie dlatego, że ją śledzi, albo go nie zna, ale historię ze śledzeniem mimo to zmyśliła, wtedy trzeba szybko ustalić, po co jej to może być potrzebne. A jeśli nie kłamie? Sprawa się komplikuje z godziny na godzinę. Trzeba na coś się zdecydować, bo inaczej tak się zapłaczę, że nigdy nie dojdę prawdy o dziewczynie.

– Chyba źle pani ocenia milicję – odezwała się spokojnie, zdejmując z wieszaka komplet, który jej się spodobał – czarne spodnie z ciemnozielonym luźnym zakietem. – Ile kosztuje ten komplet? Wezmę go.

Po uregulowaniu rachunku opuściła sklep i poszła w stronę metra. Po jakichś dwustu metrach nagle zawróciła i powoli ruszyła z

powrotem do „Oriona”. Gdy w polu widzenia znalazł się mężczyzna w skórzanej kurtce, zatrzymała się i obejrzała. O dwa kroki od niej stały prostopadle do siebie dwa kioski – z kwiatami i wyrobami tytoniowymi, jeden z nich był zwrócony frontem w kierunku Twerskiej, drugi – w stronę placu, a między nimi utworzył się przytulny zakątek. Nastia kupiła paczkę papierosów i chciała się tam schować, żeby zapalić. Jeśli ktoś ją nawet zobaczy, to nikomu do głowy nie przyjdzie, że się ukrywa przed czymś spojrzeniem albo kogoś śledzi. Po prostu kobieta zatrzymała się na papierosa. Co w tym dziwnego?

Zaczęła szperać w torebce w poszukiwaniu zapalniczki, ale reklamówka z nowym kostiumem przeszkadzała i krępowała ruchy, torebka coraz to wyślizgiwała się z rąk, a zapalniczka gdzieś się najwyraźniej zawieruszyła wśród mnóstwa drobnych przedmiotów, kartek i pism. Nastia obejrzała się bezradnie i napotkała wzrok wysokiego mężczyzny koło pięćdziesiątki, który palił papierosa, opierając się o kiosk z kwiatami, i obserwował ją z kpiącym uśmiechem. Mężczyzna od razu wyjął z kieszeni zapalniczkę i podał jej ogień.

– Dziękuję – wymamrotała Nastia, próbując poradzić sobie jednocześnie z nieposłusznym zamkiem w torebce i wypadającą z rąk reklamówką.

Dziesięć po ósmej ze sklepu wyszła Dasza Sundijewa razem z ekspedientką z działu upominków. Poszły w stronę przystanku trolejbusowego, a mężczyzna w skórzanej kurtce bez pośpiechu wsiadł do stojącego nieopodal audi i powoli pojechał wzdłuż chodnika. Nastia widziała, jak dziewczęta wsiadły do trolejbusu, a audi ulokowało mu się na ogonie.

Wszystko to bardzo się nie spodobało majorowi milicji Anastazji Kamińskiej.

2

Schował zapalniczkę do kieszeni i ponownie oparł się łokciem o kiosk. Znowu Jerochin nie odstępuje na krok tej blondyneczki ze sklepu. To oznacza, że dzisiaj wieczorem raczej nie ma co liczyć na sprzyjającą okazję. Igor powlecze się za dziewczyną na miejsce spotkania z jej kawalerem, będzie deptał im po piętach, podczas gdy oni będą szukać przytulnej knajpki, w której zjedzą kolację, potem kawaler odwiezie blondyneczkę do domu, a stamtąd Igor pojedzie jak zwykle do siebie. Nic ciekawego na tej trasie wydarzyć się nie może.

Spoglądając na Jerochina, jedzącego już trzeciego w ciągu ostatniej godziny hamburgera, mężczyzna z niedowierzaniem myślał o tym, że ten młody dwudziestotrzyletni chłopak, który jeszcze tak mało przeżył, zdążył już pozbawić życia dwie osoby, a trzem innym całkiem je złamać. A przecież z boku wygląda zupełnie zwyczajnie, niczym nie zwraca na siebie uwagi i wydaje się w miarę sympatyczny. Ciekawe, czy sam Igor chociaż rozumie, ile zła wyrządził w ciągu swego krótkiego życia? Nie, pewnie nawet się nad tym nie zastanawia.

Mężczyzna rzucił spojrzenie na młodą kobietę w dzinsach i granatowej wiatrówce, której pomógł przypalić papierosa. Kobieta stała nieruchomo w kącie między dwoma kioskami, najwidoczniej na kogoś czekała. Na jej twarzy malowała się bezgraniczna cierpliwość, kobieta gotowa była tkwić tutaj tak długo, jak długo będzie trzeba, nie wykazywała najmniejszych oznak niezadowolenia czy rozdrażnienia. Mężczyzna się uśmiechnął. To oczywiste, że taka nieładna, niepozorna myszka nie ośmieli się zbuntować, będzie potulnie czekać na swego gacha choćby do samego rana i nie powie mu ani słowa wymówki za spóźnienie. Sądząc z postawy, jaką przybrała i z wyrazu twarzy, jest przyzwyczajona do czekania. No cóż, niech czeka.

Mężczyzna zawrócił i poszedł do swojego białego ziguli. Wcześniej czy później Igor przestanie przeznaczać cały swój wolny czas na blondyneczkę ekspedientkę, wtedy znowu zacznie wieczorami odwiedzać swoją przyjaciółkę, która mieszka w bardzo dogodnym miejscu. Niedaleko jej domu znajduje się zaniedbany i odludny teren. Jerochin trzęsie się nad swoim audi i nigdy nie zostawia go na noc bez dozoru, wszędzie szuka strzeżonych parkingów, płaci stróżom niezłą kasę, żeby mu tylko pozwolili zaparkować samochód do rana. Od domu przyjaciółki Jerochina jest do takiego parkingu dość daleko; droga na skróty prowadzi przez to właśnie odludzie, a to nie jest przyjemne... Będzie musiał wykorzystać chwilę, kiedy Igor wcześniej rano pobiegnie do swojego ukochanego audi przez nieprzyjemne pustkowie. Poranek to czas najbardziej sprzyjający z punktu widzenia bezpieczeństwa. Ludzie są senni, słabo kojarzą. A kto się zdążył obudzić i zaczął kojarzyć,

ten się spieszy, boi się spóźnić. To się odnosi zarówno do świadków, jak i do milicji.

Kierowca białego żiguli chciał zabić Igora Jerochina.

3

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew zwany Pączkiem kończył poranną odprawę.

– Jeśli nie ma więcej pytań, wszyscy są wolni. Anastazjo, zostań.

Pracownicy pospiesznie opuścili gabinet szefa, żeby rozejść się do swoich pilnych spraw. Nastia pozostała na miejscu w odległym kącie.

– Czego się chowasz? – burknął Pączek. – Usiądź bliżej.

– Po co? – uśmiechnęła się. – Zamierza mnie pan zbić?

– Gardło mnie boli – poskarżył się Gordiejew – nie mogę głośno rozmawiać. Ledwo dałem radę przeprowadzić odprawę, jakby mi ktoś papieru ściernego napchał do gardła. Może mam anginę?

– Na to wygląda – przyznała Nastia. – Niech pan płucze gardło roztworem jodu z solą, dobrze dezynfekuje, szczególnie jeśli to ropne zapalenie.

– A te... jak je tam... No, co w telewizji reklamują? Może spróbować?

– Ma pan na myśli coldrex i panadol?

– O właśnie.

– Nie wiem, nie znam się na tym. W ogóle to boję się nowych lekarstw, bo mam alergię.

– Dobra, wystarczy mi medycyna ludowa – westchnął Pączek.

Wyglądało na to, że naprawdę zaczyna go rozbierać choroba. Duża łysina była pokryta kropelkami potu mimo chłodnego październikowego dnia, nos poczerwieniał, oczy łzawiły, głos wysiadł i z każdym słowem stawał się coraz bardziej zachrypnięty.

– Co z raportem analitycznym? – zapytał. – Kiedy będzie gotowy?

– Praktycznie już jest gotowy, potrzebuję teraz pana rady. Nie, dwóch rad – poprawiła się Nastia.

– Wal. – Wiktor Aleksiejewicz machnął ręką. – Kiedy jestem chory, spada mi odporność i robię się wyrozumiąły. Możesz dzisiaj wykorzystać moją słabość.

– Wykryłam kilka grup zabójstw, można nawet nazwać je seriami; badano je pojedynczo, nawet nie próbując powiązać. Jestem pewna na jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent, że są to jednak serie, z których każdą łączy albo sprawca, albo jakaś inna cecha. Mogę po prostu napisać o tym w raporcie, mogę też dać rozbudowaną analizę z wyjaśnieniami, ale wtedy zaczną się pojawiać nazwiska osób, które to przeoczyły, przegapiły, odwaliły byle jak. Jest też trzecia możliwość: w raporcie dla sztabu tylko o tym wspomnę, a szczegółową analizę tych serii zrobię oddzielnie. Krótko mówiąc, jak pan postanowi, tak będzie.

– Jak postanowię, jak postanowię – zrzędlawie burknął pułkownik Gordiejew, owijając gardło szarym mundurowym szalikiem. Jestem chory. To twój raport, jak napiszesz, tak będzie dobrze.

– No, Wiktorze Aleksiejewiczu – zaczęła błagać Nastia – może nie warto chłopców wystawiać? Może bym napisała bez nazwisk? W końcu raport nie jest po to, żeby wyciągać sankcje służbowe, ale po to, żeby uwzględniać błędy i typowe niedopatrzzenia. Czyż nie?

– Słusznie – przytaknął Pączek, przechodząc na ochrypy szept. – Skoro sama wszystko wiesz, to po co pytasz?

– Na wszelki wypadek, przecież jest pan szefem.

– Masz do tego niewłaściwe podejście, Anastazjo. Jesteś już dużą dziewczynką, przestań się chować za moimi plecami, sama się ucz podejmować decyzje. Nie dziś, to jutro odejdę na emeryturę, i co wtedy zrobisz?

– Zginę bez pana – odrzekła twardo.

– Co za bzdury! – Pułkownik zmarszczył się niezadowolony. – Stawaj szybciej na nogi, nabieraj odwagi, żebym mógł odejść ze spokojnym sumieniem. Uznajmy, że jedną radę ci dałem. Jaki masz jeszcze problem?

– No, w świetle tego, co pan mi przed chwilą powiedział, wychodzi na to, że pańska druga rada nie jest mi potrzebna. Dlatego nie zasięgam rady i nie pytam o pozwolenie, ale po prostu pana informuję.

– O czym?

– O tym, że muszę koniecznie sprawdzić operacyjnie pewną rzecz i zamierzam wykorzystać do tego możliwości własne.

– Ciekawe, jakie ty możesz mieć możliwości własne? – ze zdziwienia Pączek na chwilę odzyskał głos. – Dziesięć lat siedzisz w analityce, nie masz ani jednego agenta, ani płatnego, ani żadnego

innego. O ile wiem, innych źródeł informacji też nie masz. Coś ty wymyśliła, he? Szybko, przyznawaj się.

– Za nic – zaśmiała się Nastia. – Przecież sam mi pan kazał nabrać odwagi i podejmować decyzje samodzielnie.

– Odwaga nie polega na tym, żeby robić na przekór kierownictwu i zatajać przed nim informacje.

– I na tym też – z uporem zaprzeczyła Nastia. – Ale nie będę robić tajemnicy. Chcę poprosić o pomoc Denisowa.

– Kogo?! – zakrztusił się Gordiejew.

– Eduarda Pietrowicza Denisowa – powtórzyła spokojnie Nastia. – Po pierwsze, ma pan całkowitą rację, że nie posiadam własnych źródeł informacji. Po drugie, Eduard Pietrowicz jest mi winien przysługę, a więc mogę spokojnie skorzystać z jego pomocy. I bardzo pana proszę, Wiktorze Aleksiejewiczu, niech mi pan nie zabrania robić tego, co zaplanowałam, bo i tak to zrobię, tylko będę zmuszona pana okłamywać, a tego nie chcę.

– Na co ci to wszystko? – wychrypiął przygnębiony Gordiejew, trzymając się za gardło. – Co chcesz sprawdzić?

– Na razie nie powiem. I niech pan na mnie nie naciska, Wiktorze Aleksiejewiczu, przepisy znam.

– Dobrze, rób, jak postanowiłaś – nieoczekiwanie ugodowo powiedział Pączek. Jesteś mądrą dziewczynką, mam nadzieję, że nic beznadziejnie głupiego nie przyjdzie ci do głowy. Tylko bądź ostrożna z Denisowem, ten stary wyga zje cię żywcem.

4

Eduard Pietrowicz Denisow był wszechwładnym gospodarzem Miasta liczącego pół miliona mieszkańców. Rok temu odkrył, że na podległym mu terytorium jakaś bandycka szajka urządziła nielegalne polowanie. Eduard Pietrowicz zużył niemało sił i środków, żeby stworzyć w swoim Mieście jednolitą, zwartą mafię, pilnie strzegł swego gospodarstwa przed konkurencją, i aroganckie zachowanie obcych oburzyło go do głębi duszy. W dodatku w miejskim sanatorium popełniono zabójstwo, w którym owa szajka wyraźnie maczała palce. Kupiona przez Denisowa milicja nie potrafiła nic sensownego zrobić. I wtedy przyszedł mu do głowy pomysł, aby wykorzystać do wyjaśnienia zabójstwa niejaką Kamieńską, która akurat w tym samym czasie odpoczywała w sanatorium, lecząc chory kręgosłup, i nawet znała zabitego.

Dla Nastii sytuacja była zdecydowanie trudna. Bardzo długo się wahała, czy może pójść na współpracę z mafią w sprawie dotyczącej zdemaskowania grupy niebezpiecznych zabójców i zapobieżenia nowym krwawym zbrodniom. Poza tym okropnie się bała Denisowa i kierowanej przez niego kryminalnej struktury, bo nikogo w Mieście nie znała i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że w przypadku komplikacji albo nieprzyjemności nie będzie miała do kogo biec po pomoc i obronę: z racji istnienia jednolitej i zwartej mafii rodzima milicja nie przyjdzie z odsieczą, jest do cna skorumpowana.

W końcu udało jej się przezwyciężyć strach i znaleźć moralne usprawiedliwienie dla swoich działań. Wykryła zabójców, a stosunki z Denisowem ułożyły się ciepło i niemal przyjaźnie. Za swoją pracę nie przyjęła od Eduarda Pietrowicza nic, prócz biletu na pociąg do Moskwy; przy pożegnaniu powiedział jej:

– Jestem już po sześćdziesiątce, Anastazjo, w każdej chwili mogę umrzeć. A nie chciałbym umierać, mając niespłacone długi. Niech mnie pani dobrze zrozumie. Proszę dać słowo, że zadzwoni pani do mnie, jeśli w pani życiu pojawią się choćby najmniejsze kłopoty. Zdążyła pani nieźle mnie poznać i na pewno się zorientowała, że nie ma takiej rzeczy, której bym nie potrafił załatwić. A dla pani zrobię nawet to, co w zasadzie jest niemożliwe.

Minął rok, i teraz pomoc Denisowa byłaby jak najbardziej wskazana. Nikt więcej nie mógł Nasti pomóc.

Wystukała dziesięciocyfrowy numer telefonu. A nuż Denisow zapomniał i o niej, i o swoich obietnicach? Może umarł? Albo go zamknęli? Rozum podpowiadał, że zamknąć Eduarda Pietrowicza niepodobna – nie ma za co i nie ma kto. Przywództwo ideologiczne – to jeszcze nie powód do śledztwa i sądu, nie mówiąc już o tym, że w Mieście po prostu nie ma śledczych i sędziów, którzy daliby radę obalić taką machinę. Gdy w słuchawce rozległ się znajomy głos, Nastia odetchnęła z ulgą.

– Dzień dobry, Eduardzie Pietrowiczu – zaczęła ostrożnie, gotowa przypomnieć mu delikatnie o sobie i złożonych przez niego rok temu obietnicach.

– Anastazja – odezwał się uradowany. – Mój Boże, dziecko, gdyby pani wiedziała, jak się cieszę, że panią słyszę!

- A ja się cieszę, że mnie pan nie zapomniał – odparła Nastia.
- Chyba pani zwariowała! – oburzył się szczerze Denisow. – Można mi wiele zarzucić, tylko nie krótką pamięć czy niewdzięczność. A zresztą, Anastazjo, nie tak łatwo panią zapomnieć.
- Najwyraźniej schlebia mi pan, Eduardzie Pietrowiczu – odpowiedziała ze śmiechem.
- Ani trochę. Po prostu nie docenia pani siebie. Z racji młodego wieku zwraca pani uwagę na takie głupstwa jak piękna powierzchowność. A ja jestem już stary i umiem oceniać ludzi na podstawie ich faktycznej wartości. A więc co mogę dla pani zrobić?
- Eduardzie Pietrowiczu, potrzebuję w Moskwie ludzi.
- Do czego?
- To ważne?
- Oczywiście. Mam na myśli charakter wykonywanej pracy. Potrzebuje pani specjalistów w jakiejś dziedzinie?
- Obserwacja zewnętrzna.
- Rozumiem. Ilu ludzi?
- A ilu mogę prosić?
- Anastazjo, niech mnie pani nie wyprowadza z równowagi – roześmiał się Denisow. – Dam tylu, ilu potrzeba. Trzydziestu? Pięćdziesięciu? Stu?
- Skądże znowu, jakichś pięciu, sześciu.
- Niech pani nie będzie taka skromna, dziecko. Dziesięciu wystarczy?
- To więcej, niż mogłabym sobie wymarzyć.

- Będzie pani potrzebny sprzęt?
- Oczywiście. Żeby wszystko było jak w najlepszych agencjach detektywistycznych.
- Kiedy pani chce zacząć?
- Im szybciej, tym lepiej. Może od jutra?
- Niech mi pani nie zadaje pytań, moja kochana. Proszę stawiać żądania, a resztę pozostawić mnie. O której godzinie jutro pani wstaje?
- Jutro jest sobota, więc trochę później, koło dziewiątej.
- O dziewiątej trzydzieści ktoś do pani zadzwoni. Nie zmieniła pani numeru telefonu?
- Nie, numer jest ten sam.
- Jutro o dziewiątej trzydzieści dziesięciu ludzi ze sprzętem będzie do pani dyspozycji.
- Eduardzie Pietrowiczu, uwielbiam pana! – z całego serca podziękowała Nastia.
- I ja panią, dziecko. – Denisow uśmiechnął się do słuchawki. – Proszę nie sądzić, że spłaciłem w ten sposób swój dług wobec pani. To, o co pani poprosiła – to taki drobiazg, że nawet nie ma o czym mówić. Wszystkie nasze umowy są nadal aktualne. Życzę powodzenia.

Odłożywszy słuchawkę, Nastia uśmiechnęła się zadowolona. Jutro zrobi z tą Daszą Sundijewą porządek. Może faktycznie dziewczyna ma czyste intencje... Ale skąd w takim razie wzięły się kradzieże i rabunki? Chłopak w brązowej kurtce z granatowo-czerwonym znacznikiem i naderwaną kieszenią też nie jest wytworem fantazji. W

końcu Nastia ma po prostu chęć spróbować rozwiązać jeszcze jedno zadanie, a jeżeli ktoś próbuje jej zarzucić, że zaspokaja własną ciekawość cudzym kosztem, z czystym sumieniem może odpowiedzieć, że jej intelektualne zabawy nie kosztują państwa ani kopiejki. Za wszystko płaci Denisow. Czyli że to już jej, Anastazji Kamieńskiej, osobista sprawa, z której nikomu nie musi się spowiadać.

5

Mężczyzna zamknął swoje białe żiguli i szybkim sprężystym krokiem wszedł do ładnego budynku w południowo-zachodniej dzielnicy Moskwy. Minął wartownika i lekko wbiegł po schodach na czwarte piętro, gdzie znajdował się jego gabinet. Zamknąwszy się od wewnątrz, przebrał się w mundur, a cywilne ubranie starannie powiesił w szafie. Następnie otworzył drzwi, uchylił lufcik, wyjął z sejfów teczkę z dokumentami i zabrał się do pracy.

Do gabinetu zajrzał major z działu kadr.

- Panie generale, o piętnastej trzydzieści szkolenie służbowe.
- Dobrze – odparł mężczyzna, nie odrywając wzroku od papierów.

To zupełnie oczywiste, że nie pójdzie na szkolenie. Musi wreszcie zamknąć masę spraw, które nagromadziły się w ciągu ostatnich

tygodni, żeby potem znowu mieć czas na Jerochina.

Jak to się stało, że on, generał Władimir Wakar, ugania się za dwudziestotrzyletnim chłopaczkiem, do którego nie czuje ani nienawiści, ani złości, w ogóle nic? Jak się dał zapędzić w tę pułapkę? Jako generał frontowy, uczestnik wielu operacji wojskowych, do wodzący dywizją powietrzno-desantową, zawsze dokładnie wiedział, czym jest dług i obowiązek. Może to właśnie go zgubiło?

Urodził się w ostatnim roku wojny, dwa miesiące po tym, jak zginął na froncie jego ojciec. Matka umarła, gdy Wołodia miał cztery lata, i wziął go do siebie stryjeczny dziadek, stryj ojca. W żyłach staruszka Wakara płynęła szlachecka krew, służbę wojskową uważał za zaszczytną i honorową, a ponieważ było mu ciężko wychowywać chłopca za groszową rentę, którą Wołodia otrzymywał po ojcu, oddał go do szkoły suworowskiej □.

Dzieciństwo i młodość Wołodi Wakara upłynęły w koszarach. Czym jest życie rodzinne, dowiadywał się tylko z książek, które pożyczał od dziadka i wręcz pochłaniał. Turgieniewowskie panny, czechowowskie herbatki rodzinne z samowarami, patriarchowie zasiadający u szczytu stołu w otoczeniu dzieci i wnuków – wszystko to ukształtowało jego wyobrażenie o życiu rodzinnym. Dorodna, zawsze uśmiechnięta żona, co najmniej trójka dzieci, zapach ciasta, bezwarunkowe oddanie i umiejętność podporządkowania własnego życia wojskowym wymogom pracy męża – oto ideał, do którego powinien zmierzać. I zmierzał.

Przyszłą żonę Władimir wypatrzył na balu noworocznym, gdy w odwiedziny do słuchaczy uczelni wojskowej przyszły studentki instytutu pedagogicznego. Elena była postawna i nosiła gruby długi

warkocz, czym korzystnie się wyróżniała wśród koleżanek z roku, które w połowie lat sześćdziesiątych oszalały na punkcie stylu „babette”, tapirowanych włosów i uczesania z grzywką. Rosły, barczysty Wakar o wydatnym podbródku, uśmiechu lśniącym bielą zębów i poważnych oczach zdobył swoją wybrankę bez najmniejszego trudu.

Rok po ślubie Elena zrobiła skrobankę. Wakar schudł ze zmartwienia, nie rozumiał, jak można nie chcieć dzieci. Uważał, że dzieci trzeba mieć dużo, im więcej, tym lepiej. Błagał żonę, aby dała mu słowo, że nigdy więcej tego nie zrobi. Starał się być przykładowym mężem i dogadzał Elenie we wszystkim, aby tylko urodziła pierwsze dziecko. I wybłagał, wyprosił od niej pierworodną, Lizkę. Elena zachowywała się tak, jakby wyświadczyła mu ogromną przysługę, i umknęła do pracy, jak tylko przestała karmić maleństwo piersią. Lizę oddano do żłobka.

Była prawdziwą córeczką tatusia, wdała się w Wakara zarówno z wyglądu, jak i z charakteru – wysoka, o sportowej sylwetce, długonoga, skora do uśmiechu i niekonfliktowa. Władimir dbał o jej rozwój fizyczny, wysyłał na lekcje pływania i szermierki, uczył czytania i rachunków, odprowadzając do pierwszej klasy, kupił błękitny tornister i ogromny bukiet mieczyków. Liza garnęła się do niego znacznie bardziej niż do matki, która była zajęta głównie sobą.

Syn Andriej urodził się dopiero pięć lat po Lizie. Wakar podejrzewał, że główną rolę odegrała tutaj ciężka szkarlatyna, którą Liza przeszła w wieku czterech lat. W pewnym momencie Elena naprawdę się przestraszyła, że Liza umrze. Straszna myśl o stracie dziecka w jednej chwili odmieniła jej duszę. Jeśli jeszcze wieczorem

postrzegając Lizę jako istotę, z powodu której nie może wieczorem pójść z mężem do teatru, to już dzisiaj, oddając się żarliwie Władimirowi, szeptała:

– Nic się nie bój, chcę, żebyśmy mieli jeszcze jedno dziecko.

Andriej nie garnał się do tatusia. Ale, co gorsza, nie garnał się też do mamusi. Był niezwykle, niezależny, pogrążony w sobie i absolutnie nie potrzebował ani rodziców, ani siostry, ani kogokolwiek innego. O tym, że ich syn jest cudownym dzieckiem, Wakarowie dowiedzieli się, gdy Andriej skończył trzy lata, a Liza osiem. Chłopiec okazał się nieprzeciętnie uzdolnionym malarzem i poetą. Od tej chwili w rodzinie wszystko się zmieniło.

Elena zaczęła traktować syna jak bóstwo. Nie potrafiła zrozumieć ani jego obrazów, ani wierszy, ale jednego była pewna: jej syn to geniusz, i ona to cudo wydała na świat. Jej obowiązkiem jest zatem służenie mu z oddaniem, znoszenie jego dziwactw i okrutnych wybryków, bowiem są to dziwactwa i wybryki geniusza, który ma do nich prawo.

Chłopca i jego dzieła pokazywano specjalistom – malarzom i literatom, i wszyscy wołali jednym głosem, że Andriej Wakar to cudowne dziecko, talent, niezwykle stworzenie. Elena bała się, że w jednej chwili wszystko się zawali, okaże nieprawdą, snem, przypadkiem, toteż długo strzegła syna przed rozgłosem, błagając rzeczonych malarzy i literatów, aby nie podawali faktu istnienia Andrieja do publicznej wiadomości. Nie zależało jej na sławie, czuła się niczym Bogarodzica, i to jej wystarczało. Chłopiec chodził nadal do zwykłego przedszkola, a potem rozpoczął naukę w zwykłej szkole, gdzie regularnie wzywanych rodziców proszono, aby wpłynęli na syna, który niegrzecznie odpowiadał nauczycielom,

okropnie się bił na przerwach, był arogancki i demonstracyjnie nie uważał na lekcjach. Pewnego pięknego dnia Elena nie wytrzymała:

– Nie wolno więcej męczyć dziecka – oznajmiła. – W szkole traktują go jak zwykłego chłopca, a on jest cudownym dzieckiem, potrzebuje specjalnego traktowania, troski i uwagi. Nie wolno go zmuszać do chodzenia na lekcje wychowania fizycznego, jeśli chce w tym czasie malować. Sztuka jest jego powołaniem, a on traci czas na różne głupstwa. W końcu nauczyciele powinni się liczyć z tym, że nie jest zwykłym dzieckiem. W przeciwnym razie zmarnują go.

Fakt niezwykłego talentu Andrieja Wakara został podany do publicznej wiadomości, gdy miał już osiem lat, gdy całe mieszkanie było zawieszane jego obrazami, a napisane przez niego wiersze i poematy zajmowały kilka grubych zeszytów. I do rodziny przyszła Sława.

Minęły kolejne trzy lata; pewnego razu Władimir Wakar stał przy oknie, patrzył na ulewny deszcz i czekał, kiedy w bramie pojawią się dwie figurki: córki i syna. Liza odprowadziła brata na zajęcia do szkoły plastycznej i miała przyprowadzić go z powrotem. Wakar zobaczył Lizę, która nie wiadomo dlaczego niosła brata na rękach. W pierwszej chwili Władimir nie zrozumiał, co się stało, zauważył tylko, że strugi deszczu, ściekające z niebieskiej kurteczki Andrieja, są różowe. Liza szła bardzo powoli. Doszedłszy do połowy podwórza, podniosła wzrok, zobaczyła w oświetlonym oknie ojca i runęła na ziemię.

Po dwóch dniach zmęczona tęga śledcza powiedziała Wakarowi:

– Co możemy z nimi zrobić? Żaden nie ma czternastu lat, nie podlegają odpowiedzialności karnej. Oczywiście, że skierujemy ich

do poprawczaka, ale nic więcej zrobić nie możemy.

– A co z moim synem? – zapytał Władimir, tracąc swój zwykły spokój. – Przecież nie żyje. Czy ktoś nie powinien za to odpowiedzieć?

Śledcza wzruszyła pulchnymi ramionami.

– A co z prawem? Według prawa dziecko, które nie ma czternastu lat, nie odpowiada za swoje czyny i nie wolno go karać.

– Ale mój chłopiec... – powtórzył zdruzgotany Wakar. – Moja córka postradała rozum z powodu przeżytego koszmaru, leży w szpitalu i może już nigdy nie dojdzie do siebie po wstrząsie. Za to też nikt nie odpowiada?

– Szczerze panu współczuję – powiedziała cicho śledcza. – Ale proszę mi wierzyć, prawo nie uznaje idei odwetu.

– To znaczy, że to jest złe prawo – twardo rzekł Wakar i wyszedł.

Następnego dnia Elena powiedziała doń ze zdziwieniem:

– Na co ty właściwie czekasz? Czyżbyś nie zamierzał pomścić naszego syna?

– Nie mogę mścić się na dzieciach – zaproponował Władimir, wstrząśnięty słowami żony.

– Oni zabili naszego chłopca – powtórzyła z uporem.

– Eleno, tak czy owak, to są dzieci. Nie chcę dłużej dyskutować na ten temat – uciął Wakar.

– Dobrze – zgodziła się niespodziewanie Elena. – Poczekam, aż dorosną. Ale mimo wszystko powinieneś to zrobić, w przeciwnym razie dusza Andriuszy nigdy nie zazna spokoju, a ty nigdy nie otrzymasz przebaczenia.

Od tego czasu minęło dziewięć lat. Z czwórki małoletnich zabójców pozostał przy życiu tylko Igor Jerochin. Wakar wiedział, że jego obowiązkiem jest obrona rodziny, zapewnienie spokoju żonie i córce. Niechby nawet po tysiącuroć nie miały racji, ale są jego rodziną, i on spełnia swój obowiązek mężczyzny, męża i ojca. Teraz, gdy lada moment stuknie mu pięćdziesiątka, zaczynał uświadamiać sobie z goryczą, że całe życie w niewłaściwy sposób pojmował dwa najważniejsze słowa: „obowiązek” i „rodzina”. Ale już za późno, jest już w pułapce, pozostawił za sobą trzy trupy. I wkrótce będzie czwarty.

ROZDZIAŁ 4

1

– Może mnie pani nazywać po prostu Bokr.

Nastia ze zdumieniem przyglądała się człowieczkowi, stojącemu na czele przysłanej przez Denisowa grupy. O takich mówi się zwykle: metr pięćdziesiąt w kapeluszu. Wprawdzie zamiast kapelusza miał na sobie wełnianą narciarską czapczkę nasuniętą nisko na czoło i przylegającą do wklęsłych skroni i wystających kości policzkowych. Małeńkie oczka schowane głęboko pod krzaczastymi brwiami, krzywy złamana ny nos z drgającym koniuszkiem, wąska wstążeczka bezkrwistych warg i potężny rozdwojony podbródek – wszystko to sprawiało, że przypominał egzotyczną i niebezpieczną jaszczurkę. Był chudy, ale wcale nie wyglądał na słabego, można było odnieść wrażenie, że składa się ze stalowych lin. Poza tym był nieprawdopodobnie ruchliwy, ani przez sekundę nie mógł ustać w jednym miejscu, ale nie było to wynikiem nerwowego usposobienia. Tryskał energią.

Tak jak obiecał Eduard Pietrowicz Denisow, punktualnie o dziewiątej trzydzieści zadzwonił telefon, a już po półgodzinie w mieszkaniu Nasti stał ten cudaczny gość w szarej czapczce z błękitnym paskiem i mówił wysokim tenorkiem:

– Może mnie pani nazywać po prostu Bokr.

Jakieś dziwne przezwisko – szybko pomyślała Nastia. – Bokr po węgiersku oznacza studnię. Dlaczego właśnie Bokr?

W jej pamięci odezwało się niewyraźne wspomnienie, coś związanego z dzieciństwem, z nauką języków obcych. Ale nie było teraz czasu, aby drażnić i analizować tę myśl.

Człowieczek o przezwisku Bokr rozsznurował starannie wysokie buty na grubej podeszwie, bez których stał się jeszcze niższy. O tym, aby zdjąć płaszcz, nawet nie pomyślał.

– Gdzie można wejść? – poinformował się, rezygnując z zaproponowanych przez gospodynię kapci. Nastia z trudem powstrzymała się od uśmiechu, patrząc na niego, takiego zabawnego w tej czapeczce, długim szarym płaszczu i rozbrajających błękitnych skarpetkach.

– Jadł pan już śniadanie? Może wypijemy razem kawę? – zagadnęła gościnnie.

Bokr odmówił kawy w taki sam uprzejmy sposób, jak i kapci.

– Dobrze, przejdźmy więc do sprawy.

Wyjęła zrobione polaroidem zdjęcie Daszy Sundijewej i Aleksandra. Stali objęci przy stacji metra Plac Rewolucji. Zdjęcie to zrobił Aleksander na prośbę siostry.

– Ta dziewczyna sądzi, że ktoś ją śledzi. Jestem skłonna w to uwierzyć, ale nie mam całkowitej pewności. Chcę, aby pańscy ludzie się jej przyjrzeni. Poza tym, jeżeli faktycznie jest śledzona, proszę się dowiedzieć, kto jest taki ciekawski. I jeszcze jedno: muszę wiedzieć, czy śledzona jest tylko dziewczyna, czy również jej

kawaler. Ich imiona, adresy i miejsca pracy są zapisane na odwrocie zdjęcia. Za trzy dni chciałabym mieć pierwsze wyniki.

– Będą. – Bokr z niewzruszonym spokojem kiwnął głową, nie odrywając od Nasti uważnego badawczego spojrzenia. – Coś jeszcze?

– Na razie tylko tyle. Dalsze działanie uzależnione będzie od pierwszych wyników.

– Druga iteracja – przytaknął ze zrozumieniem człowieczek.

No, no! Denisow podsunął mi bandziora intelektualistę. Ciekawe, czym się kierował, szacunkiem czy szyderstwem? A może wszyscy jego ludzie mają wyższe wykształcenie? Ciekawy z niego typ. Bokr, Bokr... Co mi to przypomina? Może go spytać? W końcu czemu nie. Korona mi z głowy nie spadnie.

– Proszę powiedzieć, skąd takie dziwne przezwisko?

Przechadzający się niespiesznie po pokoju Bokr zatrzymał się i zaczął kołysać, przenosząc ciężar ciała z pięt na czubki palców.

– Kiedyś wpadła mi w ręce książka Uspienskiego... – zaczął, i Nastia z miejsca sobie przypomniała.

– No oczywiście, „Słowo o słowach”. Słynna „głoka kuzdra”. Że też od razu nie skojarzyłam!

Człowieczek spojrzał na nią z nieukrywanym szacunkiem.

– Po raz pierwszy spotykam osobę, która wie o „kuzdrze”. Proszę przyjąć moje gratulacje. Wyszperałem tę książkę w bibliotece w czasie odsiadki za rozbój. Proszę sobie wyobrazić, że to zdanie po prostu mnie podbiło, oczarowało, urzekło. Głoka kuzdra szteko budłanęła bokra i kurdaczy bokrątko – zadeklamował w

natchnieniu, śpiewnie przeciągając słowa. – To przecież pieśń!
Poemat! Romans rosyjskiej morfologii!

Momentalnie wpadł w uniesienie, i jego guzowata twarz nagle stała się niemal pociągająca.

– To zdanie pomogło mi przetrwać więzienie. Sięgnąłem po podręczniki języka rosyjskiego, żeby przypomnieć sobie, co to takiego morfologia. Zajęcie okazało się wielce pożyteczne, jeśli wziąć pod uwagę, że w latach młodości traktowałem naukę w szkole z niewybaczalnym niedbalstwem. A poza tym głowę miałem zajętą wymyślaniem nowych słów i leżąc na pryczy, tworzyłem nawet całe opowiadania. Miałem ulubionego bohatera, właściwie bohaterkę, nazwałem ją „gurilna szabołda” i wymyślałem różne związane z nią historie. Wszystkie słowa były, rzecz jasna, sztuczne, ale tworzyłem je, ściśle przestrzegając reguł gramatycznych. Zabawa pochłonięła mnie na tyle, że potrafiłem przetrwać do końca wyroku, nie tracąc zdolności normalnego kojarzenia. W zakładzie z powodu mojej pasji dano mi ksywkę Kuzdra, ale na wolności zamieniłem ją na Bokra, chociaż Kuzdra z pewnością brzmi śmieszniej.

I wybuchnął wysokim dźwięcznym śmiechem, pochlipując i pojękując, jak rozzłoszczona papuga w ataku hysterii. Koniuszek jego nosa drgał przy tym jeszcze bardziej, a oczka gdzieś uciekły, i Nasti na jakąś chwilę wydało się nawet, że już nigdy nie powrócą na swoje miejsce. Wyglądał przy tym nie tyle śmiesznie, co kompletnie kretyńsko.

Śmiech urwał się tak samo nagle, jak zaczął.

– Muszę pani powiedzieć, Anastazjo Pawłowno, że nie mniej ciekawe jest wykorzystanie znanych już słów w nowym kontekście.

Na przykład, słowo „kompres”. Kojarzy je pani?

– Na przykład zimny na czoło? – sprecyzowała Nastia.

– Może być na czoło. Wykorzystam to słowo na określenie totalnej bzdury, którą ktoś wbił sobie do głowy. Proszę posłuchać, jak to brzmi: „Ma teraz nowy kompres – chce się żenić”. No i jak? To brzmi jak pieśń – dodał z zachwytem. – Poemat!

Teraz Nastia wybuchnęła śmiechem. Matka w dzieciństwie wdrażała ją do nauki języków obcych, Nastia umiała wczuć się w słowo, i lingwistyczne poszukiwania Bokra były dla niej zrozumiałe i bliskie. Bandzior lingwista. Zwariować można!

Odprowadziwszy gościa, przez jakiś czas snuła się bez celu po mieszkaniu. Losza jeszcze wczoraj poje chał do domu, do podmoskiewskiego Żukowskiego, dzisiaj ma się spotkać z asystentem. Raport analityczny dotyczący niewyjaśnionych zabójstw za ostatnie pięć lat jest już gotowy, ale przed nią jeszcze cała sobota i niedziela, może korzystać z komputera Loszy, dopóki go nie zabierze.

Co miesiąc Nastia przygotowywała dla Gordiejewa materiały analityczne na temat zabójstw i gwałtów w Moskwie, zarówno tych wyjaśnionych, jak i niewyjaśnionych. Dopóki dysponuje taką możliwością, musi zebrać te wielostronicowe raporty w jeden plik, na którym można będzie pracować. Podłączyła skaner i zaczęła „zrzucać” do komputera rezultaty dziesięcioletniej zmuśnionej pracy.

2

Stojąc w bramie naprzeciwko domu, gdzie mieszkał Dmitrij Sotnikow, Liza popatrzyła niecierpliwie na zegarek. No i gdzie on jest? Zajęcia w szkole plastycznej skończyły się dwie godziny temu, a Dima ciągle jeszcze nie wraca do domu. Co prawda dzisiaj nie jest czwartek, ale ona stoi tutaj i czeka, choć się domyśla, że on najprawdopodobniej wróci późno. Albo nie wróci sam. Albo w ogóle nie wróci. Postanowiła jednak zaczekać.

Wyciągnęła z torebki plastikowe pudełeczko, wyjęła dwie tabletki i wsunęła do ust. Schowawszy pudełeczko, wyciągnęła płaską butelkę, odkręciła zakrętkę i pociągnęła duży łyk. Alkohol już nie palił w gardle, prawie nie czuła jego smaku. Za kilka minut przyjdzie „odjazd”, bez którego nie może się obejść.

Liza już dawno przestała zadowalać się lekarstwami, które w nadmiarze przepisywali jej lekarze. Początkowo po prostu zwiększała liczbę zażywanych tabletek, zwracając się do różnych lekarzy i od każdego otrzymując regularnie recepty na preparaty psychotropowe. Potem gdzieś usłyszała, że dobry efekt daje połączenie tabletek z alkoholem. Efekt okazał się istotnie dobry, choć lekarze mogliby się z tym nie zgodzić. Bardzo szybko zamieniła się w ospałą bezwonną narkomankę, owładniętą ideą zemsty za zrujnowane szczęście i nieinteresującą się niczym więcej. „W każdej chwili mogę rzucić picie i tabletki – mówiła sobie – i zrobię to, gdy wszystko się skończy, gdy cała czwórka zostanie zlikwidowana. Trzech już nie ma. Wkrótce nie będzie czwartego, i

wtedy rzucę". Oszukiwała samą siebie i święcie wierzyła w swoje własne oszustwo.

Dawno już nie kochała Dimy Sotnikowa, namiętne i gwałtowne uczucie najpierw nieco przygasło, a potem umarło, przeżarte rdzą środków uspokajających. Ale Dimka był częścią t a m t e g o życia i nie mogła zrezygnować z cotygodniowych wizyt u niego. Nie mogła, i koniec. Liza rozumiała, że nie powinna do niego przychodzić, ale mimo wszystko przychodziła co czwartek, oddawała mu się znudzona, czekając niecierpliwie na chwilę, kiedy będzie mogła porozmawiać o Andriuszy, przypomnieć jego słowa, uczynki, jego wiersze. Ojciec nie podtrzymywał rozmów o synu, zbyt ciężko przychodziła mu zemsta na zabójcach. Matka całkiem oszalała i mówiła tylko o duszy Andrieja, która unosi się nad nimi i nie zagna spokoju, dopóki „te potwory” chodzą po ziemi. I tylko Dmitrij rozmawiał z Lizą o bracie tak, jak chciała ona sama, z szacunkiem odnosząc się do jej wspomnień.

Lizę przytłaczał ogromny ciężar. Tym ciężarem była świadomość, że przez całe dziewięć lat nie opłakiwała brata, ale tamto wspaniałe barwne życie, które nie doszło do skutku z powodu śmierci Andrieja.

...Miała czternaście lat, kiedy pewnego pięknego poranka, idąc do szkoły, usłyszała za plecami głosy:

- Patrz, patrz, to przecież siostra Wakara!
- Tego Wakara?
- No tak, geniusza.

Obejrzała się i zobaczyła dwie starsze uczennice. Modnie ubrane, znane szkolne piękności spoglądały na Lizę z nieukrywanym zaciekawieniem. A do tego – z zazdrością. Kto by pomyślał, te pannie były zazdrosne! Zazdrościły jej, Lizie Wakar! Skromnej, niczym się niewyróżniającej, przeciętnej ósmoklasistce. Bo jeśli chodzi o sukcesy Lizy w szkole, to znalazłoby się parę ocen celujących z wufu, ale z pozostałych przedmiotów musiała nieźle się napracować, żeby marne trójki poprawić na czwórki z minusem.

Po raz pierwszy musnął ją promień sławy Andriuszy, i dziewczyna poczuła jego urzekające, ale zdradzieckie ciepło.

Wkrótce zaczęła zauważać zarówno pełne zainteresowania szepty kolegów z klasy, jak i zmieniający się na lepsze stosunek nauczycieli. Bycie siostrą Andrieja Wakara okazało się bardzo przyjemne. Odprowadzając brata do szkoły plastycznej, gdzie wszyscy go znali, Liza w upojeniu łowiła na sobie spojrzenia sympatycznych chłopców ze szkicownikami, a także wystrojonych w futra i skórę rodziców, czekających w lśniących samochodach na swoje pociechy. Chodziła z dumnie podniesioną głową, mocno trzymając braciszka za rękę, jakby całym swoim wyglądem mówiąc: „Może i macie wszystko, czego ja nie mam, ale ja z czasem to zdobędę. A takiego genialnego Andriuszy nigdy nie będziecie mieli”.

Nie wątpiła ani przez chwilę, że Andriusza zasłynie na cały świat, i ona będzie razem z nim jeździć na jego zagraniczne wernisaże, i będzie sława i szacunek, a to oznacza dostatek. Pieniądze, samochody. Futra i brylanty. I mężczyźni, którzy będą się nią interesować. Może nawet wyjdzie za mąż i zamieszka za granicą we własnym domu z basenem i służbą.

Marzenia zaczęły się powoli spełniać... Rodzinę Wakarów zaproszono na przyjęcie do ambasady belgijskiej, prace Andriuszy wybrano na przygotowywaną w Brukseli wystawę prac dzieci utalentowanych i sam attaché kulturalny pogratulował jej brata artysty i pocałował w rękę, a jakiś Anglik zwrócił się do niej per „milady”. Na wieczorze w Domu Literatów, gdzie brat czytał swoje wiersze, podchodzili do nich najlepsi, najbardziej znani poeci i pisarze, i jeden z nich, ten sam, na którego punkcie szalały jej koleżanki z klasy, powiedział Lizie: „Jedną z zalet pani brata polega na tym, że ma taką czarującą siostrę. Gdybym był młodszy, wiedziałbym, komu się oświadczyć”.

Czasopismo „Ogoniok” poświęciło chłopcu całą rozkładówkę i kolorową wkładkę, zamieszczając nie tylko reprodukcje jego obrazów, ale i fotografię rodziny. Liza wyszła na zdjęciu bardzo dobrze: zamyślona, z twarzą o wyrazistych oczach i delikatnym rysunku ust.

Starła się stale przebywać obok Andrieja. Żeby poczuł, że ona jest nie do zastąpienia i przyzwyczał się do tego, że zawsze jest z nią. Żeby dla wszystkich stała się nieodłączną częścią Andrieja Wakara. Żeby grzać się w promieniach jego sławy. Nieoczekiwanie Liza odkryła w bracie nieszablonową, niezrozumiałą, ale pociągającą osobowość. Poza tym był jeszcze dzieckiem. Jej braciszkiem. Jego skóra delikatnie pachniała dzieciństwem, miał troszkę skrzywiony przedni ząb i alergię na pomarańcze, lubił spać bez poduszki i nie znosił miętowej pasty do zębów, podobały mu się rozpuszczone włosy Lizy, w których zanurza twarz, i wpadał we wściekłość, jeżeli ktoś mu przesunął choć jedną rzecz w jego pokoju.

W wieku czternastu lat Liza po raz pierwszy poznała, czym jest czułość i rozrzewnienie.

Od tej chwili poświęciła się bratu bez reszty. W nim widziała swoją przyszłość. Swoje szczęście, dostatnie, uporządkowane życie, którego nigdy nie potrafią jej zapewnić nudna ograniczona matka i prymitywny ojciec służbista. Dzięki chłopcu wyrwie się do ogromnego, wspaniałego świata.

Był też Dmitrij, nauczyciel Andriuszy, jej pierwsza miłość, która wówczas wydawała się tą jedyną i ostatnią.

I było zaproszenie do Paryża na wystawę, indywidualną wystawę Andrieja Wakara. Mój Boże, jak ona marzyła o tym wyjeździe!

I był chorobliwie duszny letni dzień, który pod wieczór rozsłochał się ulewnym deszczem. Liza odprowadzała brata po zajęciach z rysunku do domu. Szli pod jednym parasolem, ciasno przytuleni do siebie, i było im razem tak dobrze. Do dzisiaj nie mogła pojąć, skąd się wzięła ta banda wyrostków.

Jeden z nich popchnął ją tak mocno, że upadła, upuszczając parasol. Zaraz podskoczył drugi i kilka razy kopnął ją w brzuch. Na chwilę pociemniało jej z bólu w oczach, i nie zobaczyła, jak jeszcze dwóch napadło na Andriuszę z ogromnymi nożami.

Liza nie krzyczała. Z przerażenia wszystko w jej wnętrzu jakby obumarło. Poruszając się jak automat, wyrośnięta i silna szesnastoletnia dziewczyna wzięła na ręce szczuplutkiego chłopca i zaniósła go do domu. Nie wołała o pomoc, nie próbowała wzywać pogotowia, jej umysł na głucho zatrzasnął wszystkie drzwi, żeby nie dopuścić do świadomości strasznej myśli, że z bratem stało się coś

nieodwracalnego. To nie może być prawda. To nie powinno mieć miejsca. To po prostu nie ma prawa się zdarzyć.

Liza powoli niosła brata w ulewnym deszczu, nie czując prawie jego ciężaru. Dopiero pod domem podniosła wzrok, spojrzała w okna mieszkania, i zobaczywszy ojca, runęła na mokry asfalt i straciła przytomność.

Od tej pory codziennie brała lekarstwa, najpierw po dwie, trzy tabletki, a potem garściami. Niedojrzała psychika nie poradziła sobie z utratą nadziei na tamto życie, które sobie wymarzyła i które już prawie stało się rzeczywiste.

Ale było coś jeszcze. Nieustanne, niegasnące i ciągle tak samo ostre poczucie winy.

Wtedy, wiele lat temu, matka często miała do ojca żal, że zupełnie nie poświęca synowi uwagi.

– Nie możesz nawet przyjść wcześniej ze swojej głupiej pracy, żeby zaprowadzić dziecko wieczorem na lekcje – wyrzucała ojcu. – Kto to widział, żeby dzieci wracały same o zmroku.

Przy tych słowach Lizie robiło się zimno. Za nic w świecie nie zrezygnowałyby z wypraw z bratem do szkoły plastycznej. Przecież dla Andrieja to była zaledwie lekcja rysunku, a dla niej – spotkanie z Dmitrijem. Nie, za nic nie odstąpi prawa do widzenia się ze swoim bożyszczem, do siedzenia obok niego, patrzenia na niego, rozmawiania z nim. Czasem Dima prosił Lizę, aby pozowała, usadzał ją, nadawał odpowiednią pozę, lekkimi ruchami rąk odwracał twarz do światła, malowniczo rozrzucał włosy. Jego dotknięcia sprawiały, że dziewczyna zamierała ze szczęścia. Czy mogła z tego zrezygnować?

– No coś ty, tato – mówiła miękko do ojca – nie zwracaj uwagi na to, co mówi mama. Jestem już dostatecznie dorosła, żeby przyprowadzać wieczorem Andriuszę. Wiem doskonale, jak ciężko pracujesz, jaki jesteś zmęczony, a ja i tak nie mam co robić.

Po śmierci syna Elena bez końca powtarzała mężowi:

– Gdybyś był z dzieckiem, toby się nie zdarzyło. Dla ciebie zawsze twoja głupia praca była ważniejsza od rodziny i dzieci.

Ojciec bladł i zagryzał wargi, a Liza myślała z rozpaczą: „Gdybym znalazła w sobie siły, aby zrezygnować ze spotkań z Dimą, gdybym się ich nie czepiała jak idiotka, Andriusza by żył. To ja jestem wszystkiemu winna. To przeze mnie zawaliło się całe moje życie. Ojciec cierpi, czuje się winny, a przecież on nie ma z tym nic wspólnego, to ja nie pozwalałam mu wieczorem chodzić z Andriuszą. To ja zniszczyłam wszystko własnymi rękami”.

Myśl o własnej winie była nie do wytrzymania, i Liza zagłuszała ją nienawiścią do nieletnich zabójców. Nie, to nie ona jest winna, tylko oni, oni, oni! Ojciec powinien się zemścić. Niech umrą...

...Stojąc w słabo oświetlonej bramie, Liza wpatrywała się w drzwi domu naprzeciwko. Zapadł już zmierzch, ale była pewna, że Dmitrija potrafi rozpoznać nawet w egipskich ciemnościach. Dlaczego tak długo nie wraca? Dobrze by było, gdyby nie przyszedł sam. Może chociaż tym razem Lizie uda się to, co próbuje zrobić już dawno, ale na co nie starcza jej ani sił, ani odwagi.

Tylko ogromnym wysiłkiem Liza potrafiła się zmusić do czekania na kolejny czwartek, żeby razem z Dmitrijem pograć się we wspomnieniach o TAMTYM życiu. Gdyby mogła, przychodziłaby częściej. Ale za pierwszym razem, gdy postanowiła naruszyć

ustalony porządek i pojawiła się u Dimy w nieumówionym czasie, zobaczyła, że razem z nim z samochodu wysiadła kobieta i weszli we dwoje do mieszkania. Wtedy właśnie Liza po raz pierwszy doznała zamiast zazdrości uczucia beznadziei i bezgranicznego zmęczenia.

Innym razem specjalnie czatowała na Dmitrija, wybrawszy na stanowisko obserwacyjne bramę domu naprzeciwko, z nadzieją, że znowu przyjdzie z kobietą, i może tym razem uda jej się poczuć coś, co pomoże jej przestać przychodzić do niego we czwartki. Lekarstwa całkowicie pozbawiły Lizę woli, ale intuicja jej nie zawodziła. Dima jej nie kocha. Ma inne kobiety. Liza Wakar mu się znudziła, ciężarem stały się jej wizyty, rozmowy, rutynowe chodzenie do łóżka. Po prostu żal mu jej. Tak więc Liza musi zrobić coś, co pomoże jej zerwać z Dmitrijem, uwolnić go, zostawić w końcu w spokoju. Liza bardzo liczyła na zazdrość i dlatego co pewien czas przychodziła pod tę znaną jej jak własna bramę i czekała na Dmitrija. Czasem długo. Czasem na próżno. Czasem widziała go z kobietą. Ku swojemu przerażeniu, nic przy tym nie czuła. Za każdym razem, patrząc na plecy wchodzących do domu Dmitrija i jego towarzyszkę, mówiła sobie: „Zaraz przyjdą, pójdą do łóżka i będą się pieprzyć. Potem Dimka przyniesie jej kawę. Potem razem pójdą pod prysznic. Potem znowu będą się pieprzyć. Potem zasną objęci i obudzą się objęci. Mój Boże, dlaczego nie uciekam na oślep z tego przeklętego miejsca, zanosząc się od płaczu? Dlaczego nic nie czuję? I znowu przyjdę tu we czwartek, bo nie potrafię sobie tego odmówić. Biedny, biedny Dimka, jestem dla niego kamieniem u szyi!”

Liza znowu popatrzyła na zegarek. Już dwunasta, dłużej stać tutaj nie ma sensu. Dima nocuje gdzie indziej. Trzeba wracać do domu.

W domu po cichu otworzyła drzwi, próbując prześliznąć się do swego pokoju, ale z kuchni wyszedł ojciec. Który to już raz Liza pomyślała, że nawet w dzinsach i koszulce wygląda jak prawdziwy wojskowy: słusznego wzrostu, zadbany, muskularny, o wojskowej postawie, krótko, „regulaminowo” ostrzyżony i z jakimś szczególnym wyrazem twarzy. Nigdy nie udawało jej się opisać tego wyrazu, po prostu czuła, że jest on szczególny, „generalski”.

– Wszystko w porządku? – zapytał ojciec krótko, obrzucając córkę uważnym spojrzeniem. Nigdy nie kładł się spać przed jej powrotem, nawet jeżeli musiał czekać grubo po północy. Bardzo kochał Lizę.

– Jestem cała i zdrowa. – Zmusiła się do uśmiechu.

– Głodna?

– Nie, jadłam.

– Jakież kłopoty?

Generał Wakar przywykł posługiwać się w domu lakonicznymi zdaniem. Po co tracić czas na słowa, jeśli twoje słowa nikogo nie interesują? Elena po śmierci syna oddawała się żałobie z niewyobrażalną zachłannością, zarzucając całkowicie sprawy domowe, a córka... Cóż, trzeba umieć się z tym pogodzić, że rodzice nigdy nie są interesujący dla swoich dzieci.

– Żadnych kłopotów, tato. Jestem zmęczona. Zaraz wezmę prysznic i kładę się spać.

– Dobrze. A więc do jutra.

Wakar już się odwrócił, żeby pójść do siebie, gdy Liza dotknęła jego ręki.

– Tato – zaczęła ostrożnie.

– Tak?

– Tato... czy ty... wkrótce?

– Jak tylko będzie to możliwe – odrzekł szorstko Wakar. Robił, co powinien był robić, ale nie życzył sobie tego omawiać w żadnych okolicznościach.

– Tato, proszę – Liza nagle zaczęła płakać cicho i bezradnie – zrób to jak najszybciej. Dłużej nie mogę. Nie mam więcej sił czekać.

– Przestań – przerwał jej chłodno Wakar, chociaż serce pękało mu z bólu na widok płaczącej córki. – Zrobię wszystko, co będę mógł. Nic więcej nie mogę obiecać.

Poszedł spać, a Liza osunęła się na podłogę w przedpokoju i długo jeszcze cicho płakała, wtuliwszy głowę w kolana. Żeby wszystko jak najprędzej się skończyło. Może wtedy matka się opamięta i znowu będzie taka jak dawniej. I może jej, Lizy, nie będzie tak spalać żądza zemsty, z którą nie może sobie poradzić nawet za pomocą lekarstw. I może przestanie wtedy brać tabletki i wreszcie będzie mogła przestać dręczyć Dimę. Może, może...

Gdy dziwaczny Bokr pojawił się u Nasti po raz drugi, w mieszkaniu był Losza, który z przerażeniem spoglądał na człowieczka w długim płaszczu i wełnianej czapce nasuniętej aż do brwi, przechadzającego się po pokoju w samych skarpetkach. Tym razem skarpetki były wręcz nieprawdopodobnie żółte.

Losza przywitał się uprzejmie i szybko wycofał do kuchni, gdzie zabrał się do przygotowywania kolacji, jednocześnie przysłuchując się ze zdziwieniem wybuchom dziwnego dźwięcznego śmiechu przeplatane go piskami i szlochami. Asia już rano uprzedziła go, że wieczorem odwiedzi ją mężczyzna, któremu zleciła ważne zadanie, i Loszka był pewien, że tym mężczyzną będzie oczywiście funkcjonariusz milicji. Czyż mogło być inaczej? Nawet w najśmielszych wyobrażeniach Aleksiej Czistiakow by nie przypuścił, że pracownicy milicji mogą być t a c y.

Uważnie przysłuchując się relacji Bokra, Nastia ulokowała się z nogami na kanapie i rozłożyła przed sobą zdjęcia.

– Trzech gości nie odstępuję pani dziewczyny. O ten – Suren Udunian, dwukrotnie karany, pierwszy wyrok w zawiasach, drugi odsiedział. Przebiegły, zły, w ogóle paskudny. Kompletnie mi się nie spodobał.

– Oczy ma sympatyczne – zauważyła Nastia, oglądając zdjęcia, które przedstawiały Ormianina o miłym wyglądzie i ogromnych błyszczących oczach.

– To tylko złudzenie – oświadczył autorytatywnie Bokr. – Drugi to Igor Jerochin, niekarany, mieszka sam, nieżonaty. Matka ma własne mieszkanie. Zdolności średnie, ale fizycznie dobrze rozwinięty.

Jeździ jaskrawoczerwonym audi. Trzeci jest najzabawniejszy. Wiktor Kostyria.

– A czym tak pana rozśmieszył? – zainteresowała się Nastia, biorąc do ręki fotografię niczym niewyróżniającego się chłopaka lat około dwudziestu siedmiu z wielkimi zakolami i długimi zwisającymi wąsami.

– Ma ciekawe słownictwo. Podśluchałem masę zabawnych wyrażeń. Na przykład Jerochin na niego krzyknął, a on mu na to ze stoickim spokojem: „Nie drzyj się, bo ci wszystkie plomby powypadają”. Niezłe, co?

I Bokr wybuchnął swoim zaskakującym papuzim śmiechem.

– Krótko mówiąc, pokręciliśmy się koło nich i oto czego się dowiedzieliśmy. Wszyscy są mrówkami. Stale jeżdżą po ciuchy do Turcji i Grecji. Mają swoich handlarzy, którym oddają towar hurtem. Sami nie zajmują się sprzedażą. Ich robota polega na wyjazdach. No i oczywiście kontrolują, żeby ich handlarze nie oszukiwali. Na przykład, handlarz wciska im, że futra z nutrii źle schodzą, można je opchnąć maksymalnie za tysiąc dolarów, jeśli będą droższe – to ludzie nie wezmą, dlatego handlarze skupują te futra od mrówek po siedemset. Potem mrówka przychodzi na bazar, widzi na futrze kartkę z ceną, a na niej czarno na białym widnieje kwota półtora tysiąca dolarów, i ludzie futro kupują. To oznacza, że w interesach zrobił im się bałagan.

– Czym jeszcze się zajmują?

– Badają koniunkturę. Co się cieszy popytem, jakie kolory, rozmiary, fasony, po ile można sprzedać, żeby nie być zależnym

tylko od tego, co im nabajają handlarze. W ogóle cała ich działalność kręci się wokół handlu.

– Daszę śledzi tylko ta trójka?

– W ciągu trzech dni widzieliśmy tylko ich.

– A jej kawalera ktoś pilnuje?

– Nie, kawaler jest czysty jak łąza. Nawiasem mówiąc, nie obserwują dziewczyny bez przerwy. Na przykład odprowadzą ją rano do pracy i odjeżdżają, a potem pojawiają się po jakichś dwóch, trzech godzinach, jeszcze jakiś czas postoją koło sklepu, potem znowu odjeżdżają. Ale pod koniec dnia – meldują się jak w zegarku, i śledzą ją już do samego końca, dopóki nie pójdzie spać. Taka to właśnie epidersja, Anastazjo Pawłowno.

Epidersja – to coś w rodzaju niezrozumiałej historii – szybko przetłumaczyła sobie Nastia.

– Proszę opisać zakres kontaktów tych mrówek – poprosiła.

– Zakres jest wielce szeroki, wielce – z jakiegoś powodu mruknął pod nosem Bokr, nadal miarowo spacerując po pokoju od okna do drzwi. – Ale wciąż jeden i ten sam. Towarzystwo mrówek i handlarzy, agencje turystyczne, gdzie kupują bilety na samolot, lotnisko Szeremietiewo, bazary Końkowo, PietrowskoRazumowski, Łuźniki, obiekty sportowe, restauracje. Wszyscy trzej kontaktowali się podczas obserwacji z jakąś setką ludzi. Ale nikt nie rzucił nam się w oczy, nikt nie sprawił wrażenia człowieka spoza tego towarzystwa.

– To źle – spochmurniała Nastia. – Nie ma się zupełnie na czym oprzeć. Zostawi mi pan fotografie?

– Oczywiście. Przywiozłem jeszcze kasety wideo, żeby sama pani obejrzała. Mogliśmy przecież coś przeoczyć.

– Nie mam odtwarzacza – westchnęła.

– Nie ma pani odtwarzacza?! – Bokr na chwilę aż stracił oddech ze zdumienia. – To przecież kompletny arcymonokl! Jak więc sobie pani radzi?

Arcymonokl – słowo oznaczające silne emocje. Muszę zapamiętać. Faktycznie, jak sobie radzę? Jakoś radzę, z milicyjnej pensji nie stać mnie na kupno wielu rzeczy. Ciekawe, co by powiedział na to, że komputera swojego też nie mam, bo ten jest Loszki.

– Przywiozę pani odtwarzacz, nie ma problemu. Jakie będą następne zadania?

– Muszę się dowiedzieć o tej trójce jak najwięcej. Czekam codziennie na informacje od pana. Dużo macie sprzętu?

– Wystarczy. – Bokr uśmiechnął się delikatnie.

– A co konkretnie macie?

– Właściwie wszystko – odpowiedział spokojnie. – Niech się pani tym nie martwi. W naszym zasięgu jest dowolny sprzęt, którego będziemy potrzebować, żeby zdobyć tę informację, na którą pani czeka. Ale jest pewien szczegół.

– Jaki? – zachmurzyła się Nastia.

– Wujek Tola uprzedził nas, że jest pani bardzo wrażliwa na punkcie przestrzegania prawa.

– Wujek Tola? A któż to taki?

– Anatolij Władimirowicz Starkow. Pamięta go pani?

Starkow był szefem wywiadu u Eduarda Pietrowicza Denisowa. Rok temu, w czasie pobytu w Mieście, Nastia dobrze go poznała. Starkow wydał się jej sympatyczny. Wtedy też, rok temu, dowiedziała się, że zaufani nazywają Eduarda Pietrowicza Edem Burgundzkim, jednak o tym, że Starkowa nazywają wujkiem Tolą, słyszała po raz pierwszy.

– I co Starkow panu powiedział?

– Że powinniśmy koniecznie otrzymywać od pani zgodę na te czy inne działania, bo jeżeli zrobimy coś, co się pani nie spodoba, może się pani bardzo rozgniewać. Wujek Tola powiedział, że w gniewie potrafi pani być straszna.

Odrzuciwszy do tyłu głowę, Bokr ponownie wybuchnął śmiechem, wywracając oczy i pojękując. Nastia zaczęła się śmiać razem z nim.

– Anatolij Władimirowicz to wielki żartowniś – zauważyła, wycierając łzy, które się polały ze śmiechu. – Ale w zasadzie ma rację. Chcę, żebyście rozumieli, co robicie. Prowadzę prywatne śledztwo w sprawie, której sama jeszcze dobrze nie rozumiem. Mój brat Aleksander zwrócił się do mnie z prośbą o sprawdzenie jego dziewczyny, której zachowanie wydaje mu się podejrzane. Jako pracownikowi operacyjnemu milicji dziewczyna nieszczególnie mi się spodobała, ale ona sama twierdzi, że jest śledzona. Próbuję ustalić, co się naprawdę dzieje. Oficjalne organy nie mają z moim śledztwem nic wspólnego, bo na razie nie widać w tym wszystkim żadnej afery kryminalnej. Mój szef orientuje się, że korzystam z waszej pomocy, więc niczego niezgodnego z prawem nie robię. To po pierwsze. Wykonując moje zadania, możecie posłużyć się dowolnymi chwytami, które uznacie za stosowne, z wyjątkiem tych,

które mogą wyrządzić szkodę zdrowiu czy życiu. Mówiąc krótko, nie wolno bić, posługiwać się bronią i środkami chemicznymi. To po drugie.

– A można kłamać? – poważnie zapytał Bokr.

– Można. Bez ograniczeń. Wtopcie się w otoczenie, wytyczajcie kierunki dochodzenia, wykorzystajcie sprzęt, ale dajcie mi pełny obraz życia i powiązań tej trójki.

Bokr śmiesznie poruszył koniuszkiem nosa.

– Wydaje mi się, że pani kucharz za długo trzymał sos na ogniu. Nic pani nie czuje?

– Nie – wyznała Nastia, która w czasie rozmowy z Bokrem w ogóle zapomniała o Loszy i o kolacji.

– Najpierw zapach był właściwy, chciałem już wyrazić swój zachwyt, obecnie mało kto robi specjalnie sosy do mięsa i ryby. Teraz jednak czuję, że zapach lekko się zmienił. Tak bywa, gdy sos za długo się trzyma na ogniu. Jadę, Anastazjo Pawłowno, i zaraz wracam z odtwarzaczem.

Zamknąwszy za Bokrem drzwi, Nastia zajrzała do kuchni.

– Loszyk, a co ty robisz? – zapytała, z poczuciem winy zaglądając mu w oczy. Do czego to naprawdę podobne: trzyma faceta głodnego w kuchni, a sama gadu gadu z jakimś bandziorem erudytą.

– Mięso z suszonymi morelami – rzeczowo odparł Czistiakow, przelewając coś pachnącego bardzo aromatycznie z patelni do żaroodpornego naczynia. – Jesteś wolna?

– Aha. Jedzmy prędzej, bo ślinka mi cieknie.

– Gdzie twój gość?

– Pojechał po odtwarzacz – zakomunikowała Nastia, wyjmując talerze i sztucce.

– Po co? – nie zrozumiał Losza.

– Po odtwarzacz. Sfilmowali interesujących mnie ludzi kamerą wideo, chcę to obejrzeć.

– Jest jakiś dziwny – zauważył Losza, nakładając na talerze dymiące ziemniaki i mięso o niebiańskim zapachu.

– Dlaczego dziwny?

– No – zawahał się – w ogóle nie przypomina milicjanta. I śmieje się jakoś głupkowato.

– Wcale nie jest milicjantem.

Nastia spokojnie zabrała się do jedzenia.

– To kim jest? – dopytywał się skrupulatny profesor Czistiakow.

– To bandzior – odrzekła krótko, nabijając na widelec kawałeczek marynowanego ogórka i kierując go do ust.

– Kto?! – Losza zakrztusił się i zaczął kaszleć.

– Bandzior – powtórzyła niewzruszenie. – Kryminalista. Przestępca, jednym słowem.

– I ty z nim wesoło się śmiałaś? – spytał z przerażeniem Czistiakow.

– A niby co powinnam z nim robić? Płakać? Spać? Loszeńka, kochanie, daj sobie spokój z tymi książkowymi mądrościami. Życie urządzone jest tak, a nie inaczej, oznaką zdrowej psychiki i rozwiniętego intelektu jest umiejętność przystosowania się do tego życia, umiejętność adaptacji. Rozumiesz? A życie urządzone jest wcale nie tak, jak piszą w książkach i pokazują w kinie. Nie ma

absolutnie złych ludzi, tak jak nie ma absolutnie dobrych, bo zło absolutne nie istnieje, dobro absolutne też nie. Nie istnieją, i nic na to nie poradzisz. Musisz mieć tego świadomość.

– Ale jaki to ma związek z tym, że zapraszasz do domu kryminalistę i bawisz się w jego towarzystwie? Przecież to kryminalista, przestępca. Jak możesz?

– A dlaczego nie? – Wzruszyła ramionami. – Jest takim samym człowiekiem, jak cała reszta. Jak do tej pory nie popełnił niczego niezgodnego z prawem, o czym bym nie wiedziała. Za wszystko, co przeskrobał, odpokutował. Zrozum, Losza, jeśli człowiek popełnia przestępstwo, powinien zostać zdemaskowany i ukarany, ale to wcale nie oznacza, że z tego powodu nie wolno się z nim kontaktować, pośmiać się z opowiedzianego przez niego żartu, zaproponować mu wspólnej kawy albo nawet zaprosić do stołu. Można mu oddać przysługę. Można też skorzystać z jego pomocy. Istnieją normalne stosunki ludzkie, które nie powinny być uzależnione od oficjalnych relacji przestępca–wymiar sprawiedliwości. Sędzia może mu powiedzieć, że jest winny i zasługuje na karę, ale konwojent nie ma prawa nazywać go sukinsynem i kanalią. Rozumiesz? Bo osobiście konwojentowi on nic złego nie uczynił. Wyrządził szkodę konkretnym ludziom, tych ludzi broni państwo i wstawia się za nimi, również w swoim imieniu. A konwojent nie ma tutaj nic do rzeczy. Jego zadanie polega na ochranianiu, a nie sądzeniu i wydawaniu ocen moralnych.

Losza odstawił pusty talerz i uważnie popatrzył na Nastię.

– Aśka, a nie wydaje ci się, że to, co mówisz, jest głęboko niemoralne?

– Możliwe. Ale dobrze wiem, że jeszcze bardziej niemoralne jest dzielenie wszystkich ludzi na złych i dobrych, na przestępców i sprawiedliwych. Takie stanowisko zawsze doprowadza do tragedii.

Po zainstalowaniu odtwarzacza przywiezionego przez Bokra Nastia usadowiła się w fotelu i zaczęła się przypatrywać twarzom, ruchom, zachowaniu Surena Uduniana, Igora Jerochina i Wiktora Kostyri. Tutaj są na lotnisku, pomagają dźwigać gigantyczny bagaż, ładują go do mikrobusu. Teraz są w restauracji, w towarzystwie trzech takich samych mrówek, kobiet z nimi nie ma. Oto Udunian na Twerskiej, zamienia się z Jerochinem. Jerochin kończy kanapkę, pociąga pospiesznie łyk z plastikowego kubeczka, wyrzuca go do kosza i wsiada do jaskrawoczerwonego samochodu. Udunian zajmuje stanowisko i cierpliwie czeka, kiedy Dasza Sundijewa wyjdzie po zakończeniu zmiany ze sklepu.

Wiktor Kostyria. Idzie za Daszą późnym wieczorem, gdy dziewczyna wraca z instytutu. Dasza wchodzi do siebie, Kostyria siada na ławeczce, podnosi głowę i patrzy w okna mieszkania Daszy. Licznik w dolnym rogu pokazuje dwudziestą trzecią zero sześć. Na następnym kadrze widnieje godzina dwudziesta trzecia pięćdziesiąt cztery. Kostyria ciągle patrzy w okna. W oknie Daszy gaśnie światło, Wiktor wstaje i idzie do automatu telefonicznego. Gdzieś dzwoni, ale rozmawia bardzo krótko. Najwidoczniej prosi, żeby ktoś po niego przyjechał, bo na następnych kadrach, na których licznik pokazuje już trzydzieści jeden minut po północy, Kostyria wsiada do audi Jerochina.

Igor Jerochin. Ten sam, którego Nastia widziała na Twerskiej, którego tak się przestraszyła Dasza. Wielki żarłok. Pałaszuje gorące zapiekanki przy każdej okazji. Właśnie kieruje się ze stacji metra

Końkowo w stronę bazaru. Tłum ludzi dookoła ciągnie nieprzerwanym strumieniem. I coś w tym strumieniu Nasti się nie podoba.

Postanowiła obejrzeć dalszy ciąg filmu w nadziei, że zdoła uściślić swoje pierwsze wrażenie, ale się myliła. Obejrzała do końca dwie kasety, ale niepokojące uczucie chłodu w żołądku więcej się nie pojawiło. Wtedy przewinęła kasety, znalazła epizod w Końkowie i zaczęła przeglądać go kadr za kadrem, zatrzymując taśmę i uważnie wpatrując się w obraz na ekranie. Nie, nic z tego.

Nastia przyniosła sobie kawę, znowu zasiadła przed telewizorem, zapaliła papierosa i rozpoczęła całą procedurę od początku. W pewnej chwili wydało się jej, że oto teraz... To już... Już... Ale nie, uczucie niepokoję nie ustępowało, ale jego przyczyna wymykała się świadomości.

Postanowiła się oderwać na jakiś czas, żeby potem znowu wrócić do filmu. Podeszła do Loszy pracującego w skupieniu przy komputerze.

– Loszyk, pomóc ci w czymś?

– Boże! – Odchylił się w fotelu i słodko przeciągnął. – Grozi nam katastrofa ekologiczna.

– A to niby czemu?

– Bo proponujesz pomoc. Widocznie jutro zdechną wszystkie niedźwiedzie, a pojutrze nastąpi tropikalny upał. Naprawdę chcesz mi pomóc?

– Słowo honoru. Muszę zająć czymś innym moje szare komórki na jakieś dwadzieścia minut, bo chyba się zapętliłam.

– W takim razie wprowadź do tabeli te dane. A ja w tym czasie napiszę program do ich opracowania.

Nastia sumiennie zabrała się do pracy. Terapia okazała się skuteczna, bo wymagała maksymalnej uwagi i skupienia, żeby nie popełnić błędu. Po półgodzinie Nastia skończyła tabelę i znowu przesiadła się do telewizora. Ponownie przed oczami miała bazar w Końkowie i Igora Jerochina w tej samej brązowej kurtce ze skóry z lekko naderwaną kieszenią na piersi, z malutkim czerwono-granatowym znaczkiem na kołnierzyku. Udało jej się nawet dojrzeć znamiona, o których mówiła Dasza – jedno nad wargą i dwa koło ucha. Uczucie niepokoju jeszcze się nasiliło, przez ułamek chwili wydało się jej, że drzwi prowadzące do piwnic podświadomości i magazynu pamięci zaczęły wolno się uchylać, otwierać szerzej, coraz szerzej, zaraz do ciemnego pomieszczenia wpadnie strumień światła i oczom Nasti ukaże się...

Rozległ się dzwonek telefonu. Nastia prawie fizycznie poczuła, jak drzwi zatrzęsnęły się z ogłuszającym hukiem. Znowu się nie udało.

Telefonował brat Aleksander. Z niecierpliwością czekał na wiadomości o Daszy.

– Musisz przywieźć do mnie swoją ślicznotkę – powiedziała Nastia. – Tylko nie chcę, żeby mi później zginęła legitymacja milicyjna. Dlatego porozmawiaj z nią, wytłumacz, co i jak, a jutro zadzwoń do mnie do pracy. Powiem ci, co trzeba zrobić.

– Dowiedziałaś się czegoś... złego? – spytał ostrożnie.

– Skąd – uspokoiła go Nastia – dlatego chcę właśnie porozmawiać z nią otwarcie, a nie udając klientkę. Wygląda na to, że wplątała się w nieprzyjemną historię i sama o tym nie wie.

– A co z kradzieżą dokumentów?

– O tym z nią rozmawiać nie zamierzam. To temat na inną rozmowę. Istotnie jest śledzona, i chcę wiedzieć, dlaczego. Idź spać, Sanieczka, i o nic się nie martw.

– Dziękuję ci – powiedział.

– Nie ma za co – z uśmiechem odparła Nastia, a w duchu dodała: Dziękuj nie mnie, ale głównemu mafioso Miasta. To on opłaca zbieranie informacji o twojej pięknej Daszeńce. Ciekawe, jak byś, braciszku, zareagował, gdybyś się o tym dowiedział? Może byś i nie zemdlał z wrażenia, ale mój wizerunek w twoich oczach z pewnością zostałby nadszarpnięty. Nieustanna styczność z przestępcami i ofiarami sprawia, że świat przestaje się dzielić na czarne i białe.

ROZDZIAŁ 5

1

Od rana siąpił ohydny drobny zimny deszcz i pod koniec dnia całe ubranie Wiktora nasiąkło wilgocią jak gąbka. Ale bez sprzeciwu znosił uciążliwości i niewygody, związane z ciągłym tkwieniem na ulicy i z obserwacją złotowłosej niebieskookiej dziewczyny. Wiktorowi dziewczyna się podobała. Miał stuprocentową pewność, że Artiom coś poplątał albo po prostu się asekuruje, że dziewczyna nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Ale Wiktor Kostyria był człowiekiem sumiennym i obowiązkowym: skoro kazano mu śledzić niebieskooką, wykona zadanie bez szemrania. Chociaż to się na nic nie zda, bo dziewczyna jest, jak to się mówi, „z innej bajki”...

Wiktor przespacerował się wzdłuż wystawy „Oriona”, odwrócił lekko głowę, spojrzął z ukosa i zobaczył Daszę, która jak zwykle stała przy swoim stole i przeglądała żurnal. W jej dziale przeważnie było pusto – ceny damskich ciuchów są bardzo wysokie. Za czterdzieści minut dziewczyna skończy pracę i pobiegnie albo na uczelnię, albo na spotkanie ze swoim świńskim blondynem, albo pojedzie do domu. Przez trzy tygodnie Wiktor Kostyria, Igor Jerochin i Surik Udunian nauczyli się rozkładu jej zajęć na pamięć. O ile w ciągu pierwszych dwóch tygodni dziewczyna od czasu do

czasu odwiedzała ze swoim gachem znajomych, to teraz wizyty się urwały. Ciekawe, czego Artiom od niej chce? Całkiem zwyczajna dziewczyna, naiwna twarzyczka, promienny uśmiech, pracuje, uczy się, chodzi na randki z żonatym facetem. Nie, mimo najszczerzych chęci Wiktor nie dostrzegał w niej nic takiego, co by usprawiedliwiało te uciążliwe wielogodzinne spacery po mieście.

Pod sklep podjechał gach niebieskookiej, zamknął samochód i wszedł do środka. Wiktor widział przez okno, jak się pocałowali, potem Dasza zaczęła się zbierać, pakować do torebki różne drobiazgi, włożyła kozaczki i płaszcz. Wiktor nieco się oddalił, żeby się na nich nie nadziać, gdy będą wychodzić, i żeby mieć w polu widzenia samochód blondyna.

Po chwili niebieskooka i świński blondyn wyszli, podeszli bez pośpiechu do samochodu, ale nie wsiedli. Blondyn wyjął z samochodu dużą torbę na zakupy i znowu zamknął drzwiczki. Wolnym krokiem poszli ulicą Twerską, wstępując do wszystkich napotkanych po drodze delikatesów, torba stopniowo napełniała się różnymi drogimi i na pewno smacznymi artykułami. W kiosku na ulicy kupili martini bianco, ale tak się długo naradzali, że Wiktorowi udało się zmniejszyć dystans i podejść do nich zupełnie blisko.

– Pamiętam doskonale, że nie „rose” i nie „rosso” – mówiła niebieskooka – nie różowe i nie czerwone. On sto razy mówił, że ma alergię na czerwone wino. A jeśli mamy wybierać pomiędzy „bianco” a „super dry”, to nie mam zielonego pojęcia.

– Ja tym bardziej – odparł rozsądnie świński blondyn. – To w końcu twój szef, lepiej powinnaś znać jego gusta.

– Dobrze, zaryzykujemy – zdecydowała się dziewczyna. – Weźmy białe. Wytrawnego sama nie lubię.

Weszli do kolejnego sklepu i Kostyria znowu został na ulicy. Wchodzić z nimi do środka nie było sensu. To nawet niebezpieczne, w dużym zatłoczonym sklepie mógł ich łatwo zgubić. Ma się dowiedzieć, dla kogo pracuje prześliczna niebieskooka, i odpowiedzi na to pytanie raczej nie znajdzie w sklepie, w kolejce po wędlinę czy banany.

Wiktor zorientował się, że coś jest nie tak, gdy tłumy w sklepie zaczęły rzednąć, a do drzwi wejściowych podeszła kobieta w białym fartuchu i zaczęła z ważną miną wypuszczać ostatnich klientów. Przechadzając się nerwowo przed sklepem, uważnie zaglądał przez okno do pustoszejącego wnętrza. Daszy i świńskiego blondyna nigdzie nie było. Niech to diabli, gdzie oni się zawieruszyli?

Kostyria szybko pobiegł za róg w poszukiwaniu służbowego wejścia. Jest, ale znajduje się tak blisko tego miejsca, gdzie stał Wiktor, że nie mógłby ich nie zauważyć, gdyby tędy wychodzili. Musiałby ich zobaczyć. Gdzież się więc zapodziali, do diaska?

W sklepie pozostało tylko kilka osób, i Wiktora nagle olśniło: a może dziewczyna albo świński blondyn źle się poczuli i poszli do toalety? On, głupi, denerwuje się, odchodzi od zmysłów, a oni wkrótce wyjdą ze sklepu jak gdyby nigdy nic, może nawet po jakimś czasie od zamknięcia. Obudziła się w nim nadzieja, słaba, ale zawsze nadzieja...

Już po dziesięciu minutach pożegnał się z nadzieją. Nie ma się co oszukiwać, niebieskooka z gachem dali nogę. Zrobili to po mistrzowsku! Znaleźli sposób, aby przemknąć tuż przed jego nosem.

Czyli że rację miał Artiom, nasza niebieskooka nie jest wcale głupią gąską.

Wracając pieszo do samochodu, Wiktor Kostyria myślał, jaki Artiom Rieznikow jest jednak mądry, jak od razu wyczuł niebezpieczeństwo w złotowłosej dziewczynie. A on, Wiktor, nie dostrzegął go przez trzy tygodnie. No i teraz dziewczyna zrobiła z niego kompletnego palanta. Zaraz pojedzie do Artioma, wszystko mu opowie, i Artiom znowu się rozkrzyczy i zacznie go obrzucać ordynarnymi przekleństwami za to, że nie upilnował dziewczyny. Nic nie szkodzi, to go nie wzrusza, nie takie rzeczy można znieść dla pieniędzy.

2

– Oj, Anastazjo Pawłowno, kiedy Sasza opowiedział mi o pani, o mało nie zwariowałam. Nie do wiary, jaka z pani świetna aktorka! Dwa razy kupowała pani u mnie kostiumy, a mnie do głowy nie przyszło, że jest pani siostrą Saszy i pracuje w milicji. Oj, Anastazjo Pawłowno, tak mi wstyd za to, co wtedy powiedziałam.

– Co masz na myśli?

– No, kiedy pani zapytała, dlaczego bym nie miała pójść na milicję, odpowiedziałam, że w milicji wezmą mnie za wariatkę. Nie gniewa się pani na mnie?

Dasza trajkotała już pół godziny, podekscytowana tajemniczymi wydarzeniami. Wczoraj późnym wieczorem zadzwonił Sasza i powiedział, że musi dzisiaj rano odbyć z nią poważną rozmowę. Opowiedział jej o swojej siostrze, która pracuje w wydziale kryminalnym i chętnie pomoże sprawdzić, kto i po co śledzi Daszę. Potem nagle się okazało, że siostra Saszy jest tą samą klientką, która niedawno dwa razy kupowała w dziale Daszy bardzo drogie rzeczy i której ta opowiadała, że jest śledzona. Zaledwie Dasza zdążyła oprzytomnieć po niespodziance, kiedy Sasza oznajmił, że skoro jest śledzona, nie mogą wpaść do jego siostry jak gdyby nigdy nic, i dlatego wieczorem po pracy mają iść do sklepu, który znajduje się obok hotelu, i tam im pomogą.

Było tego trochę za dużo dla Daszy, która do tej pory prowadziła uporządkowane i spokojne życie, i dziewczyna ciągle nie mogła się uspokoić. Nastia zaczęła tracić powoli cierpliwość, chciała przejść do rzeczy, ale w tym celu Dasza musiała się uspokoić i skoncentrować.

– Oj, Anastazjo Pawłowno, nie boi się pani pracować w wydziale kryminalnym? To z pewnością bardzo niebezpieczne.

Nastia grzecznie się uśmiechała i krótko wyjaśniała, że każda praca jest niebezpieczna, nawet jeśli człowiek pracuje jako dozorca, może mu spaść na głowę cegła, sopel lodu albo może go przejechać samochód.

– Anastazjo Pawłowno, a broń pani ma? A strzelać się pani zdarzało? A...

– Dosyć – przerwała jej twardo Nastia. – Czasu mamy niewiele, więc zabierajmy się do pracy.

Pełen zachwytu uśmiech momentalnie rozpląnął się na sympatycznej buzi, która nabrała wyrazu skupienia i spokoju.

– Przepraszam – powiedziała poważnie. – Nie przyszło mi na myśl, że panią zatrzymuję. Oczywiście, przecież pani pracuje, a ja tu głowę zawracam swoimi ochami i achami. Przepraszam, Anastazjo Pawłowno.

To dla ciebie lekcja, moja kochana – powiedziała w duchu Nastia, zła na siebie. – Przecież widziałas ją dwa razy, zwróciłaś uwagę na jej intuicję, przenikliwość, przyznałaś jej tyle punktów, ile przedtem nie dałaś prawie nikomu. Dlaczego teraz potraktowałaś ją jak lekkomyślną trzpiotkę? Można było od razu, na samym początku, powiedzieć jej, że na zachwyty i zdziwienia nie ma czasu, i wszystko by było inaczej. Oj, Nastazjo, kiedy wreszcie przestaniesz wszystkich obrażać.

Rozłożyła na stole kolorowe fotografie, które wczoraj przyniósł jej Bokr.

– Popatrz uważnie na te zdjęcia. Poznajesz kogoś?

Dasza nachyliła się nad stołem.

– O, tego – wskazała na fotkę Jerochina. – To ten sam, którego pokazywałam pani koło „Oriona”, pamięta pani?

– Kto jeszcze?

Dziewczyna dalej bacznie wpatrywała się w zdjęcia, potem niepewnie wzięła do ręki fotografię Uduniana.

– Tego też widziałam. Tylko gdzieś w innym miejscu, nie mogę sobie przypomnieć gdzie... Świetnie pamiętam, że zwróciłam na niego uwagę, brunet z jasnymi oczami – połączenie dosyć niezwykle, a on ma oczy takie duże i błyszczące... Ale gdzie to było?

– Ale on cię nie śledzi? – uściśliła Nastia.

– Nie widziałam – stanowczo odparła Dasza. – Mam wrażenie, że go widziałam i zapamiętałam nie w związku z tym, że jestem śledzona.

– Ciekawe, jak do tego doszłaś? – zainteresowała się Nastia. – Pamiętasz, że widziałas, ale nie pamiętasz gdzie, za to dokładnie wiesz, gdzie go n i e w i d z i a ł a ś? Dobrze zrozumiałam?

– Proszę mi wierzyć, Anastazjo Pawłowno, patrzę na jego twarz i nie boję się go. A kiedy widzę tego – dotknęła palcem fotografii Jerochina – robi mi się niedobrze ze strachu, bo kojarzy mi się ze śledzeniem. A jak patrzę na tego o dużych oczach – nie czuję strachu, a to znaczy, że mój umysł łączy go z jakąś neutralną sytuacją.

– To logiczne – zgodziła się Nastia, którą już całą dobę męczyła kwestia sfilmowanego kamerą wideo epizodu w Końkowie. Nadal nie mogła znaleźć klucza do odpowiedzi na pytanie, co ją tak zaniepokoiło w tym fragmencie.

– A znowu tego – Dasza wskazała na zdjęcie, gdzie Wiktor Kostyria pił piwo z puszki – ani razu nie widziałam. Jego twarz nic mi nie mówi.

– Mimo to depcze ci po piętach – westchnęła Nastia. – Możesz się przekonać.

Włączyła wideo i na ekranie ponownie ukazała się Dasza, a następnie idący za nią krok w krok Wiktor Kostyria. Wiktor siedzi na ławeczce koło jej domu, patrzy w okna. Światło gaśnie, Wiktor wzywa samochód i odjeżdża.

Dasza siedziała przed telewizorem blada jak ściana.

– Wie pani – powiedziała nieśmiało – nie chciałam wierzyć, że to prawda! Oczywiście, że się bałam, okropnie się bałam, ale zawsze gdzieś w głębi duszy kryła się zbawcza myśl, że się mylę, że nic takiego nie ma miejsca, że mi się przywidziało. Teraz już nie będę mogła się tym pocieszać.

Nastia zrobiło się żal tej wystraszonej dziewczuszki, która, sama o tym nie wiedząc, nagle stała się dla kogoś niebezpieczna. A kradzieże dokumentów? – osadziła się w myślach. – Nie zapominaj o kradzieży dokumentów, gdy zaczniesz się litować nad Darią.

Przewinęła kasetę i poprosiła Daszę, żeby obejrzała całe nagranie od początku do końca.

– Patrz uważnie, może zobaczysz jeszcze jakieś znajome twarze.

Dasza potraktowała zadanie więcej niż sumiennie. Często zatrzymywała film i długo wpatrywała się w twarze na ekranie, kilka razy przewijała taśmę i wracała do już obejrzanych fragmentów. Nastia siedziała na kanapie, odchyliwszy głowę na oparcie i zamknąwszy oczy, miała ochotę się rozluźnić i zasnąć, a zamiast tego musiała czekać, aż ta dziwna dziewczyna obejrzy dwie półtoragodzinne kasety. Loszka w kuchni zabawia braciszka Aleksandra światową rozmową, zrobiła się już dziesiąta, i położyć się spać uda się nie wcześniej niż o pierwszej w nocy, a jutro znowu pobudka o siódmej...

– Widziałam tego gościa – rozległ się pewny siebie głos. – Doskonale pamiętam, to było w metrze dokładnie tego dnia, gdy przyczepił się do mnie jakiś świr.

Senność jak ręką odjął. Nastia zerwała się z kanapy jak oparzona i przypadła do ekranu.

– Który?

– O ten.

Dasza zatrzymała taśmę i wskazała tęgiego łysawego mężczyznę w brązowym płaszczu, który razem z Jerochinem i Kostyrią wchodził do restauracji.

– Jesteś pewna?

– Anastazjo Pawłowno, pamięć mam profesjonalną. Chwileczkę – zawahała się, potem nagle poróżowiła – tak, naturalnie, i tego z dużymi oczami też widziałam tego dnia. I też w metrze.

Nasti w mgnieniu oka zrobiło się gorąco. Zrozumiała, że ma wreszcie w ręku nitkę, po której będzie można dojść do kłębka. Żeby tylko się udało!

– Dario, uspokój się i opowiadaj. Powoli, po kolei, staraj się nie przeskakiwać z tematu na temat. I spróbuj być maksymalnie dokładna, niczego nie pomini, ale nie koloryzuj.

Jaka ty jesteś głupia – z miejsca spostrzegła się Nastia. – Przecież dopiero co się przekonałaś, że nie jest lekkomyślną panienką. Po co ją dalej obrażasz?

Na szczęście Daria ani myślała się obrażać.

...Tego dnia wracała od przyjaciółki na stację Tagańska, gdzie umówiła się na randkę z Saszą. Przyjaciółka ma małe dziecko i strasznie zabawnego psa, którzy, w czasie gdy mama i jej gość piły herbatę w kuchni, urządzili wesołą zabawę z torebką Daszy. Kiedy zaniepokojone podejrzaną ciszą panie wyszły do przedpokoju, zobaczyły, że malec w skupieniu próbuje językiem wszystkich przedmiotów, które zdołał wyciągnąć z torebki i zacisnąć w piastce, a spaniel Gosza z nie mniejszym zaangażowaniem upycha po kątach

i szparach to, co udało mu się wywalczyć: notes, klucze, paczkę chusteczek, rękawiczki. Ponieważ Dasza nie chciała się spóźnić na spotkanie, a czasu zostało jak na lekarstwo, pospiesznie zebrała swój rozrzucony dobytek, wepchnęła z powrotem do torebki i pobiegła do metra.

Zjeżdżając schodami, nagle się przestraszyła, że Gosza mógł porwać i schować coś potrzebnego, bez czego nie będzie mogła się obejść. Natychmiast otworzyła torebkę i po omacku zaczęła sprawdzać jej zawartość, szukając głównie kluczy. Klucze od mieszkania znalazły się od razu, ale odniosła wrażenie, że nie ma nigdzie klucza od sejfu znajdującego się w pracy. Kierownik sklepu uprzedzał pracownice wiele razy, że z sejfem i kluczami powinny się obchodzić szczególnie ostrożnie.

Zeszła ze schodów, zwolniła kroku i zatrzymała się, postanawiając wyjaśnić do końca sytuację z kluczem: w razie potrzeby mogła wrócić do przyjaciółki i poszukać go, co prawda musiałaby biec, ale i tak to było o niebo lepsze rozwiązanie niż wysłuchiwanie wymówek kierownika.

Dostała się do płynącego w przeciwnym kierunku wartkiego strumienia podróżnych, którzy wysiedli z pociągu i rzucili się w stronę ruchomych schodów, musiała więc przesunąć się jeszcze trochę do przodu, gdzie było spokojniej. Tuż przed nią facet w brązowym płaszczu otwierał neseser, niezręcznie się odwrócił i cała zawartość znalazła się na ziemi. Dasza stała tuż przy nim i dalej uparcie grzebała w swojej torebce. Facet w płaszczu zabrał się do zbierania porzucanych rzeczy, poruszał się niezgrabnie, jakby go coś bolało. W tej samej chwili młody mężczyzna, przechodzący obok, nachylił się i podał mu zapalniczkę, która potoczyła się w

bok. Mężczyzna ów miał na ręce niezwykle pierścień, i Dasza dosłownie wlepiła w niego oczy. Pierścień zrobiony był z metalowej siatki o szerokości mniej więcej półtora centymetra, a umieszczone w jej oczkach niewielkie czarne kamienie tworzyły wymyślny symbol.

Po chwili, kiedy mężczyzna z pierścieniem podał niezręcznemu grubasowi zapalniczkę, Dasza zdała sobie sprawę, że zachowuje się po prostu nieprzyzwoicie. Stoi i gapi się na zupełnie nieznanego mężczyznę. Nieśmiało podniosła oczy na grubasa, zamierzając się ładnie uśmiechnąć, ale napotkała takie zimne i złe spojrzenie, że pośpiesznie się wycofała.

Przeszedłszy na równoległą stację, znowu podjęła próbę znalezienia nieszczęsnego klucza i nawet przepuściła nadjeżdżający pociąg. Na szczęście klucz się znalazł.

Kiedy nadjechał kolejny pociąg, Dasza razem z tłumem pasażerów wsiadła do środka i w tym momencie poczuła czyjaś rękę między nogami. Wrażenie było nieprzyjemne, ale dobrze znane z dzieciństwa, gdy w zatłoczonych środkach transportu zaczepiali ją seksualni zboczeńcy. Gwałtownie się odwróciła i zobaczyła szalone ciemne oczy na bladej szczupłej twarzy o zapadłych policzkach.

– Spadaj – powiedziała cicho, ale bardzo wyraźnie i dobitnie. Była tak wściekła, że twarz jej stężała.

Mężczyzna zaczął się przedzierać w stronę drugich drzwi, a ona wyjęła z torebki notes i szybko zapisała rysopis zboczeńca, rozbijającego się po moskiewskim metrze w godzinach szczytu. Dasza nie wahała się ani przez chwilę, uznając, że trzeba poinformować o nim milicję, ale nie chciała się spóźnić na

spotkanie z Saszą. Dlatego wybrała, jak się jej zdawało, najprostsze i najlepsze rozwiązanie: kartkę z rysopisem wręczy milicjantowi, dyżurującemu w metrze, który przekaze informację, gdzie trzeba.

Zapisując rysopis, raz po raz rzucała złe, pełne oburzenia spojrzenia na zboczeńca i zwróciła uwagę, że jedną rękę trzyma w kieszeni. No oczywiście, pomyślała, jedną rękę wsuwa pod spódnice, a drugą się onanizuje, śmierdzący gnojek. Właśnie wtedy zobaczyła jasnookiego Kaukazczyka, który stał niedaleko onanisty. W pewnej chwili Dasza napotkała jego wzrok i nawet chciała uprzejmie się uśmiechnąć, ale Kaukazczyk się odwrócił.

Dojechawszy do stacji Tagańska, Dasza wjechała na górę, podeszła do milicjanta, młodziutkiego, z zaróżowionymi i pucołowatymi jak u dziecka policzkami.

– Na linii obwodowej jeździ zboczeniec – oświadczyła, podając mu kartkę. – Proszę, zapisałam jego rysopis, niech pan zawiadomi kogo trzeba.

Milicjant nie zdążył nawet otworzyć ust, bo Dasza pobiegła natychmiast do wyjścia. Na ulicy czekał na nią Sasza, wsiedli razem do samochodu i odjechali. I to wszystko...

– Którego to było? – spytała Nastia.

– Na pewno we czwartek – szybko odparła dziewczyna – we wtorki i czwartki mam wolne wieczory, bo nie ma zajęć. Chyba ostatni czwartek września. Tak, jestem pewna, że tak.

– Nie mylisz się? Nie wtorek, ale właśnie czwartek?

– Nie myślę się – stanowczo odparła Dasza. – To nie mógł być wtorek, bo akurat we wtorek były urodziny przyjaciółki, składałam

jej życzenia telefonicznie i umówiliśmy się, że wpadnę do niej we czwartek.

Nastia popatrzyła na kalendarz, ostatni czwartek września wypadał dwudziestego dziewiątego. Ręce zaczęły jej się trząść. Dwudziestego dziewiątego września, stacja metra Tagańska, zabójstwo sierżanta Małuszkin z sekcji ochrony porządku w metrze.

3

Artiom Rieznikow z trudem przekręcił się na drugi bok i przyłożył gumowy worek z lodem do brzucha z prawej strony. W jego wieku zdrowie powinno raczej dopisywać, a jemu szwankuje: jak nie tu, to tam zakłuje, wciąż musi zażywać jakieś leki, a to żółciopędne, a to antyhistaminowe. W ostatnich latach zaczął tyć, mimo że stara się przestrzegać diety, tłustych i słodkich potraw prawie nie je, widocznie szwankuje przemiana materii, i dieta tu teraz nie pomoże, trzeba się leczyć albo pogodzić z dolegliwościami.

– No, jak się masz, misiu? – Do pokoju zajrzała żona, szczupła i całkiem siwa, ostrzyżona krótko, po chłopięcemu.

Była osiem lat starsza od Artioma, wyszła za niego nie z miłości, ale z wyrachowania, które jednak okazało się niepotrzebne. Młodziutki Rieznikow kochał się w niej długo i namiętnie, a ona,

jego sąsiadka, mieszkająca dwa piętra wyżej, prowadziła styl życia zupełnie nieprzystający ani do małżeństwa, ani do śmiesznego okularnika Artioma. Miała wielu mężczyzn, pieniędzy, była piękna i pełna wdzięku, stawiała wysokie wymagania, a Artiom pieniędzy miał mało, piękna i czaru – za grosz, ale nie można mu było za to odmówić ambicji i zdolności do nauk ścisłych. Piękna Irina okazywała życzliwość śmiesznemu okularnikowi, ponieważ pamiętała, że los potrafi płatać figle... Tak też się stało.

Kiedy Irina pozostała bez obiecanego wsparcia, była w siódmym miesiącu, i na usunięcie ciąży było już za późno. Nie chciała tego dziecka, urodzić je zamierzała tylko po to, aby zatrzymać przy sobie mężczyznę, który wydawał jej się księciem z bajki. Miał wszystko, co tylko było Irinie potrzebne do szczęścia, więc postawiła na tę kartę więcej, niż mogła sobie pozwolić. Zrezygnowała z innych mężczyzn, zrywając z nimi raz na zawsze. Zamieniła mieszkanie, gdyż o jej przygodach wiadano w domu zbyt dobrze, i w ową zmianę wpakowała wszystkie swoje oszczędności i kosztowności, żeby mieszkanie było nie tylko w centrum (i j e m u byłoby wygodniej jeździć do pracy), ale i o podwyższonym standardzie, dwupoziomowe. Tylko drobna rzecz stała na przeszkodzie: on miał załatwić rozwód, a potem czekało ją już nowe życie, pełne miłości, przyjemności, podróży i wszelkich uciech.

Niestety, w tym samym czasie obiekt skrzętnych zabiegów Iriny rozpoczął przygotowania do wyjazdu za granicę, naturalnie razem z prawowitą małżonką, która, o dziwo, też właśnie była w ciąży, i w odróżnieniu od Iriny, nie po raz pierwszy. Kwestia tego, na czyją korzyść podjąć decyzję, męczyła jej kochanka dokładnie dwie i pół minuty, po czym Irina została sama, ale ze wspaniałym

mieszkaniem i sporym brzuchem, bez wykształcenia i zawodu, bez pewnego źródła dochodów, za to ze świetlaną perspektywą pieluch, bezsennych nocy, dziecięcych chorób i braku pieniędzy.

Wówczas właśnie pomyślała o śmiesznym i niezgrabnym Artiomczyku, który okazywał jej wzruszające przywiązanie od niepamiętnych czasów. Od chwili, gdy skończył dziewiętnaście, a ona dwadzieścia siedem lat, obdarzała go nieraz swoim stworzonym do miłości ciałem, było to jak resztki z pańskiego stołu, ale Rieznikow i za to był jej wdzięczny. Teraz nie musiała go nawet namawiać, wszystko zrozumiał w pół słowa.

– Dobrze, Iro, pobierzemy się i dziecko będzie oficjalnie moje. Postaram się stworzyć mu dobre warunki. Tobie też, oczywiście.

Od tej chwili minęło czternaście lat. I ani razu Ira nie pożałowała swojej decyzji. Teraz, gdy ma czterdzieści pięć lat i jej czternastoletni syn uczy się w zamkniętym college'u w Anglii, a mąż obraca ogromnymi pieniędzmi, z wdzięcznością myśli o tamtym mężczyźnie, który ją porzucił. Jeśli chodzi o pieniądze, życie z nim byłoby tak samo dostatnie, z wyjątkiem jednego: nie kochałby jej z takim oddaniem i czułością jak Artiomczyk. Irina odpowiadała na uczucia męża prawie zupełną wzajemnością, ze wzruszającą troską pielęgnowała go, gdy źle się czuł, zdobywała wszystkie możliwe i niemożliwe do zdobycia lekarstwa, woziła do sławnych profesorów, przynosiła śniadania do łóżka i zmieniała lód w gumowych workach...

- Jak się masz, misiaczku? – zapytała męża z czułością.
- Nieźle – posepnie mruknął Artiom.
- Przynieść ci coś?

– Nie trzeba, sam wstanę. Zaraz przyjdzie Kostyl z Igorem, a potem przyjedzie Surik.

– Coś się stało? – spytała zaniepokojona Irina. W nielegalnych interesach męża była dość dobrze zorientowana. – Chce im się tłuc po nocy?

– Kostyl zgubił dziewczynę – krzywiąc się z bólu, wycedził Rieznikow. – Pęta cholerny. Niezła z niej cwaniara, przez trzy tygodnie udawała niewiniątko, a oni się cackali, stracili czuja, no i proszę. Dobra, zaraz coś wymyślimy.

Gdy pojawili się goście, Irina szybko nakryła do stołu. W domu obowiązywała żelazna zasada: lodówka powinna być pełna, każdy gość zapraszany jest do stołu.

– No, mów, jak dałeś ciała – spokojnie zażądał Ar tiom. – Nie dopilnowałeś? Czy to ona ciebie namierzyła?

– Wszystko robiłem zgodnie z zasadami – odgryzł się Kostyria. – Nie podchodziłem blisko, bo gębę mam charakterystyczną. Jak tylko gdzieś wchodziła, od razu sprawdzałem tylne wyjście.

W tym miejscu Wiktor trochę skłamał. Oczywiście, że zapominał o tylnych drzwiach, ale w tym konkretnym przypadku wejście służbowe znajdowało się rzeczywiście tuż pod jego nosem, i mógłby przysiąc, że niebieskooka i świński blondyn wtedy nie wychodzili.

– To co, wyparowała?

– Nie wiem – Kostyria wzruszył ramionami. – Sprawdziłem cały budynek, innych wyjść nie było.

I znowu skłamał, ale i to łgarstwo wydało mu się zupełnie nieszkodliwe. W końcu jaka to różnica, jak się dziewczyna ulotniła. Może tam jest jeszcze dziesięć zapasowych wyjść, teraz to i tak nie

ma znaczenia. A kłamstwo pozwoli mu uchronić się przynajmniej od części zarzutów i drwin.

– Rozpłynęła się w porannej mgle – kpiąco zaciągnął Surik, trzepocąc swoimi niezwykłymi rzesami.

– Zamknij gębę, bo się muchy zlatują – ostro przerwał mu Kostyria.

– Chłopcy, komu polać kurczaka sosem czosnkowym – ręka do góry – żartobliwie włączyła się do rozmowy Irina, starając się rozładować napięcie. Bardzo nie lubiła sporów w swoim domu.

– Ja poproszę – od razu odezwał się Surik.

– I ja – podniósł rękę Igor.

– Ja dziękuję – powiedział Artiom, przyciskając łokciem do boku worek z lodem.

– A ty, Kostylczyk? – Irina serdecznie zwróciła się do Wiktora. – Tobie też polać kurczaka sosem?

– Nawet proszę nie próbować, Irino Wsiewołodowno – znowu odezwał się Surik. – Czosnek osłabia węch, a Kostyl tak się dzisiaj zbłąźnił, że, niczym pies myśliwski, nie może ryzykować całkowitej utraty węchu.

– Zaraz zapomnisz, jak się nazywasz – posepnie obiecał Kostyria – a gębę ci tak przemaluję, że rodzona matka cię nie pozna.

– Dosyć, kończcie popisy – rzekł gniewnie Artiom. – Kostyl, masz coś jeszcze do powiedzenia?

Wiktor już otworzył usta, żeby opowiedzieć o podsłuchanej przez niego rozmowie o jakimś szefie, ale w porę się ugryzł w język. Dziewczyna zniknęła nie sama, ale razem ze świńskim blondynem.

Może w ogóle chodzi tutaj o niego, a nie o nią. Może to on jest ważny. Ale najgorsze jest to, że pierwsze ustalenia dotyczące świńskiego blondyna Aleksandra Kamieńskiego poczynił właśnie on, Wiktor Kostyria. I to jemu polecono nie odstępować go ani na krok. I to właśnie on, Kostyl, zreferował szczegółowo wyniki swoich obserwacji Aleksandra i twardo obstawał, że Kamieński nie jest tą osobą, która ich interesuje. W jego zachowaniu i kontaktach nie ma niczego podejrzanego. Wtedy Artiom dał wiarę jego słowom, jego opinii, i cała uwaga została później skierowana na niebieskooką i jej kontakty. A teraz wygląda na to, że Wiktor Kostyria popełnił błąd i całkiem możliwe, że chodzi jednak o blondyna. Co będzie, jeśli się okaże, że to faktycznie prawda! Artiom rozwrzeszczy się na całe gardło i zacznie obrzucać go błotem, jechał go pies, ale może go pozbawić kolejnego udziału, dzieląc dolę Wiktora między pozostałych. Za karę za gapiostwo i zarozumialstwo.

A zatem lepiej przemilczeć to, że dziewczyna była z Kamieńskim. A skoro tak, to i o rozmowie koło kiosku trzeba milczeć. Przecież śliczna niebieskooka nie mogła rozmawiać głośno sama ze sobą?

I dlatego na pytanie Artioma: „Kostyl, masz coś jeszcze do powiedzenia?” – Wiktor odpowiedział krótko i zwięźle:

– Więcej nic.

– No cóż – Artiom z rozdrażnieniem odrzucił na bok lód, usadowił się wygodniej i złożył przed sobą ręce. Śladów po oparzeniu prawie nie było widać, i ręka już nie bolała. – Podsumujmy. Dziewczyna okazała się twardym orzechem do zgryzienia. Trzy tygodnie nas zwodziła, prowadziła nienaganny tryb życia, ani razu się nie „potknęła” i nie dała poznać po sobie, że wie o tym, że się nią interesujemy. Ani razu nie nawiązała takiego kontaktu, który by

mógł rzucić światło na to, kto ją na nas nasłał. Innymi słowy, ani razu się nie „odkryła”. Wyjątek stanowi tamten dzień, od którego wszystko się zaczęło. Nawiązała kontakt z Berkowiczem, który najwyraźniej należy do grupy naszych konkurentów. Jednak na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności Berkowicz umiera akurat w tym momencie, kiedy podchodzi do niego na ulicy nasz drogi ormiański przyjaciel Suren Szalikojewicz. Gdyby nie ten tragiczny wypadek, moglibyśmy zmusić Berkowicza, żeby opowiedział nam wszystko, co nas interesuje. Niestety, Suren Szalikojewicz nie okazał się należycie przewidujący i rozmawiał z Berkowiczem tak brutalnie, że mimowolnie przyczynił się do natychmiastowego zejścia tego ostatniego.

– Kończ gadkę – ze złością wymamrotał Surik, opuszczając powieki i odsłaniając zimną twarz zabójcy. – Przecież zrobiłem to nienaumyślnie. Nie chciałem go zabić, sto razy ci wyjaśniałem.

– A ja nie potrzebuję twoich wyjaśnień. – Artiom wziął ze stołu widelec i zaczął miarowo postukiwać trzonkiem po lnianej serwetce, troskliwie podłożonej pod talerz. – Na cholere mi one? Chcę, żebyś w odpowiednich chwilach podejmował właściwe decyzje i postępował rozsądnie. A ty zachowujesz się jak zwycięzca w konkursie kretynów i myślisz, że będę się lepiej czuł, słysząc twoje kretyńskie odpowiedzi. Zabiłeś Berkowicza i przez ciebie straciliśmy cenne źródło informacji. Dziewczyna, jeśli pracuje dla konkurencji, może w ogóle nie wiedzieć, kto i po co ją wynajął. Zapłacono jej, i pracuje dla nich. A Berkowicz, zawodowo związany ze środowiskiem, z którego pochodzą nasi konkurenci, pracujący na tym polu, nie mógł nie wiedzieć tego, co nas interesuje. Jedyne, co nam teraz pozostaje, to czekać, póki dziewczyna nie nawiąże

kontakty z kimś, kto zaprowadzi nas do tych zafajdanych konkurentów. Straciliśmy już trzy tygodnie, i nie wiadomo jeszcze, ile stracimy, a czas ucieka. Jeden kontakt już przegapiliśmy. Czyli że jeden przelew ominie nasze konta. Jutro miałem lecieć do Aten, żeby się umówić na następny kontakt, ale nie mogę tego zrobić, bo do tej pory niczego się nie dowiedzieliśmy, a podejmować ryzyka na razie nie możemy. To znaczy, że kolejna gotówka przeleci nam koło nosa. Jednak, niezależnie od naszych finansowych potrzeb, są jeszcze potrzeby naszych klientów. Oni nie będą długo czekać. Jeśli okazemy się niewiarygodni, zerwą z nami umowę i znajdą inne źródło towaru, niewykluczone, że wybiorą naszą znakomitą konkurencję. Dlatego trzeba rozwiązać problem jak najszybciej. Dziewczynę przycisnąć, dniem i nocą oczu z niej nie spuszczać. Wnioskując ze wszystkiego, jest doświadczona i opanowana, dlatego nie myślcie, że sprawa jest załatwiona, gdy pójdzie do pracy, na uczelnię czy położy się spać. Dzisiaj zademonstrowała wam swoje prawdziwe oblicze, nie zapominajcie o tym.

Po wyjściu całej trójki Artiom zrzucił szlafrok i położył się, żeby odpocząć. Irina przysiadła obok na skraju łóżka, troskliwie przykryła męża kołdrą, położyła mu rękę na czole.

– Wydaje mi się, że masz lekką temperaturę – powiedziała zaniepokojona.

– Nieważne, do rana przejdzie. – Rieznikow machnął ociężale ręką.

– Coś cienko śpiewają nasze chłopaczki, prawda? – ostrożnie zaczęła Irina. – Zobacz, jak spartolili robotę.

– No tak, nie ma co mówić, to zwyczajne cieniasy – zgodził się Artiom.

– Może warto ich wymienić? Znajdźmy kogoś bardziej łąbskiego.

– Za późno, kotku, na zmianę koni, jesteźmy akurat w śródku przeprawy. A co z tymi zrobimy? Z takich pieniędzy przy minimum roboty największy ćwok dobrowolnie nie zrezygnuje. Wszystkich przecieź nie zabijemy. Wszak jest ich pięciu. Nie takie to proste. Oczywiście, że możemy wziąć lepszych chłopaków, ale kosztować teź będą więcej. A więc twój i mój udział będzie mniejszy.

– No i dobrze – łatwo pogodziła się z taką perspektywą Irina. – I bez tego mamy dosyć, no to będzie trochę mniej, teź mi coś. Boję się, że z takimi nieudacznikami w ogóle nic więcej nie zarobimy. Więc lepiej mniej niż wcale.

Rieznikow wyciągnął ręce spod kołdry, objął żonę i przewrócił na łóźko, mocno do siebie przycisnąwszy.

– Wiesz, Irka, za co cię kocham? – zapytał, dotykając wargami jej podbródką i szyi.

– Za to, że jestem śliczna i mądra – roześmiała się Irina.

– Nie, kotku, za to, że nie jesteś chciwa. No i za to, że nie robisz rabanu i umiesz czekać, nie popędzasz mnie, nie ponaglasz.

– A gdzie się mamy spieszyć? – zamruczała Irina, układając głowę na ramieniu męża. – Witalik ma jeszcze sześć lat nauki w college'u. Do czasu, jak otrzyma dyplom, będziemy musieli już gdzieś osiąść, zadomowić się, stanąć na nogi. Zajmie to jakieś dwa lata, maksimum trzy. Czyli że trzy lata mamy w zapasie, i nic strasznego się nie stanie, jeśli spędzimy te trzy lata tutaj. Jest nam tutaj razem zupełnie nie najgorzej.

– Nie najgorzej – zgodnie powtórzył Rieznikow, rozpinając zamek w spodniach Iriny. – Zupełnie nie najgorzej.

ROZDZIAŁ 6

1

Nastia Kamieńska w zamyśleniu oglądała fotografię młodziutkiego Kosti Małuszkin, zabitego dwudziestego dziewiątego września koło dziewiętnastej na terenie budowy przy stacji metra Tagańska. Kostię odkryli bezdomni, którzy zakradli się tam w nadziei urządzenia sobie noclegu. Nieobecność Małuszkin na posterunku została zauważona prawie natychmiast, ale żeby szukać go na ogrodzonym placu budowy, nikomu jakoś do głowy nie przyszło.

Na trzydziestym siódmym komisariacie milicji, któremu przydzielono zabójstwo milicjanta, rozmawiał z Nastią sympatyczny funkcjonariusz dochodzeńki, prawie tak samo młodziutki jak zabity Małuszkin, i pewnie dlatego pałający pragnieniem wyjaśnienia przestępstwa i znalezienia zabójcy. Nie pogodził się jeszcze z myślą o tym, że nie wszystkie przestępstwa są wykrywane, przy czym nie z powodu głupoty czy niedbalstwa wywiadowców i śledczych, ale dlatego że takie jest życie, i myślał, że właśnie on, pełen sił, energii, najnowszej wiedzy i nieprzepartej chęci do pracy, pokaże wszystkim tym zaskorupiałym leniom i pijakom, jak trzeba szukać przestępców.

Czytał notatkę służbową, którą sporządzono dla niego na Pietrowce, w MUR-ze:

„Za pomocą środków operacyjno-dochodzeniowych ustalono, że dwudziestego dziewiątego września bieżącego roku około godziny osiemnastej trzydzieści do milicjanta Małuszki, pełniącego służbę w holu stacji metra Tagańska-Radialna, podeszła dziewczyna i przekazała mu kartkę następującej treści: «Mężczyzna w jasnobrązowym płaszczu, wiek około 35–38 lat, wzrost mniej więcej 180 cm, lewą rękę trzyma w kieszeni». Niniejsza informacja otrzymana została w wyniku kontaktu operacyjnego z osobą, która napisała kartkę. Wspomniana osoba odmówiła udziału w czynnościach jawnych, ale uzyskano zgodę co do jej wykorzystania w czynnościach operacyjno-dochodzeniowych.

Informację udostępnia się do wykorzystania operacyjnego, wszystkie czynności w zakresie sprawdzenia i uściślenia niniejszej informacji proszę uzgadniać z nami.

Naczelnik sekcji MUR GUWD Moskwy pułkownik milicji W. A. Gordiejew"

– Ale żadnej kartki przy nim nie znaleziono – z zakłopotaniem powiedział dochodzeniowiec.

Naturalnie, że nie – odparła w duchu Nastia. – Tylko tego by brakowało. Dałabym się wtedy wysłać na emeryturę bez odprawy.

– Może przekazał ją dyżurnemu? – wysunęła przypuszczenie. – Bądź co bądź to nieprzyjemne, gdy metrem rozbija się zbrojeniec,

musi pan przyznać.

– Nie mam takich informacji. W każdym razie, nikt z pracowników milicji na stacji Tagańska o tym nie wspominał, a przecież było to mniej więcej pół godziny przed zabójstwem, więc nie mogli sobie tego nie przypomnieć albo przemilczeć.

– Miejmy nadzieję, że ma pan rację. Jeśli Małuszkińska zabito z powodu tej dziwnej kartki, to pojawia się jakiś nikłe światło.

– Anastazjo Pawłowno, a dlaczego pani dziewczyna nie chce złożyć zeznań?

Dlatego że ja sama tego nie chcę. Jak tylko moja dziewczyna znajdzie się na komisariacie albo w prokuraturze, skutki mogą być nieprzewidywalne. Te mrówki padły ofiarą własnego biznesu. Jeżdżą do Turcji i Grecji i przywożą stamtąd tani towar, to znaczy, typowy, jednakowych kolorów i fasonów. Cała Moskwa chodzi w greckich futrach, tureckich skórzanych kurtkach, tureckich płaszczach. I wszystkie są czarne albo brązowe. Dasza napisała kartkę o człowieku w brązowym płaszczu, który zaczepiał kobiety w metrze, a okazało się, że opis ów pasuje do całkiem innego człowieka podobnego wzrostu i wieku, który też nosi brązowy płaszcz. Tylko ten człowiek nie jest szczupły, jak tamten, który zaczepiał Daszę, ale tęgi. W tym cała różnica. I jeszcze ręka w kieszeni. Z ręką jest coś nie tak. Trzeba to przemyśleć. Ale tak czy inaczej, po napisaniu tej karki Dasza momentalnie stała się niebezpieczna. Widocznie zajmują się jakimiś ciemnymi sprawkami, i bardzo nie chcieli, żeby ktoś zapamiętał ich obecność w metrze. Boże, biedna dziewczyna, trzy tygodnie deptają jej po piętach, sprawdzają w bardzo szczególny sposób jej kontakty, kradnąc ludziom dokumenty, i na coś czekają. Jakie to szczęście, że do tej

pory nie wyrządzili jej żadnej krzywdy. Ale jeśli Daszka tylko podejdzie pod budynek milicji, pozbędą się jej.

– Przyjmijmy, że nie zadawał mi pan żadnych pytań – sucho powiedziała Nastia do młodego gorliwego dochodzeniowca. – I nie istnieje żadna „moja dziewczyna”, która czegoś chce czy nie chce. Za to istnieje informacja operacyjna, którą, jako starsza koleżanka po fachu, podzieliłam się z panem. Mam swoje sprawy, i całkiem możliwe, że pracując nad nimi, wyjaśnię zabójstwo Małuszki wcześniej niż pan. Ale ja z panem nie rywalizuję, toteż jeśli dowiem się czegoś nowego, na pewno pana poinformuję. Pod jednym warunkiem: nigdy więcej nie będzie pan mi zadawał idiotycznych pytań.

– Dlaczego idiotycznych? – obraził się milicjant.

– Dlatego że kiedy będzie pan miał własnych informatorów, zrozumie pan, ile pracy, cierpliwości, talentu, czasu trzeba włożyć, żeby zwerbować jako tako cennego agenta, który może niekiedy być panu w czymś pomocny. Dobry agent kosztuje więcej niż platyna, i prędzej da sobie pan rękę uciąć, niż pozwoli komuś go rozszyfrować tylko dlatego, że ten ktoś chce uzyskać od niego zeznania. Niech pan sam kombinuje, notatka zawiera wszystko, co niezbędne.

Po wyjściu z komisariatu Nastia powlokła się do pracy. W dyżurce wzięła książkę wydarzeń i zaczęła robić z niej wypisy. Jeśli Dasza była dla nich tak niebezpieczna, że poszli na zabójstwo milicjanta, żeby zabrać napisaną przez nią kartkę, to czy nie znalazł się w polu ich widzenia ów zboczeniec, który podszedł do niej i któremu powiedziała kilka słów?

Wypisawszy dane o wszystkich zwłokach wykrytych w okresie od dwudziestego dziewiątego września do dnia dzisiejszego, Nastia zaczęła się głowić, jak by tu najszybciej i bez zbędnego gadania zebrać fotografie zamordowanych. Wreszcie doszła do wniosku, że musi się udać do kierownictwa.

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew anginę „przechodził” jak zwykle na nogach, wskutek czego stracił głos i porozumiewał się z podwładnymi na migi oraz za pomocą długopisu i papieru. Do prowadzenia rozmów telefonicznych posadził w swoim gabinecie dziewczynę z sekretariatu.

Nastię Pączek przywitał przyjaznym gestem i pytającym spojrzeniem. Potem przesunął wzrok na pannę od telefonów. Nastia kiwnęła lekko głową. Pułkownik od razu nakreślił coś na kartce i podsunął ją dziewczynie pod nos. Ta przeczytała i radośnie poderwała się z miejsca.

– Jeśli będę potrzebna, proszę zadzwonić – zaświergotała i umknęła.

– Wiktorze Aleksiejewiczu, znalazłam możliwe rozwiązanie zabójstwa milicjanta, które miało miejsce w końcu września na Tagance. Konstantin Małuszkin. Pamięta pan?

Pączek skinął okrągłą łysą głową.

– Jednocześnie w sprawie, do której zaangażowałam ludzi Denisowa, na razie nic się nie dzieje.

Pączek zrobił przejrzysty gest, oznaczający: „To znaczy, że mimo wszystko wykorzystujesz ludzi Denisowa? Uparta, nieposłuszna dziewczyna!”

– Mam poważne podstawy do przypuszczeń, że jednocześnie z zabójstwem milicjanta lub, być może, trochę później, po kilku dniach, został zamordowany jeszcze jeden człowiek. I to przez tych samych ludzi, którzy zabili Małuszkiną. Nie wiem, kim jest ten człowiek, jak się nazywa, gdzie mieszka, nie wiem o nim zupełnie nic, prócz bardzo ogólnego rysopisu. Ale jest dziewczyna, która może go rozpoznać. Widziała go tylko raz, ale ma profesjonalną pamięć do twarzy i znaków szczególnych.

Pączek znowu kiwnął głową, całym swoim wyglądem pokazując, że słucha bardzo uważnie.

– Chcę spróbować dać jej do rozpoznania fotografie wszystkich zabitych po dwudziestym dziewiątym września. Najlepiej, gdyby to były fotografie zrobione za życia. Na przykład te, które są w biurach ewidencji ludności. Oczywiście, jeżeli zabity nie otrzymał dowodu osobistego w Moskwie, to będzie trzeba pokazać zdjęcie pośmiertne.

Gordiejew zamachał rękami i zrobił okrągłe oczy, co miało oznaczać: „No to pokazuj. W czym problem?”

– Problem mam zawsze ten sam – westchnęła ze skrucą Nastia. – Nie mam siły jeździć po komisariatach i po śledczych, prowadzących te sprawy, w poszukiwaniu fotografii. Po pierwsze, pan sam przecież nie puści mnie na cały dzień.

I znowu nastąpiło twierdzące kiwnięcie okrągłej głowy mówiące: naturalnie, że nie puszcze, jak możesz w czasie pracy zajmować się różnymi głupstwami, kiedy spraw jest tyle, że ręce po łokcie można urobić.

– Po drugie – ciągnęła niewzruszenie Nastia, jakby nie widząc wyrazu twarzy szefa – nie mogę jeździć przez całe miasto tam i z

powrotem, nie starczy mi zdrowia na te podróże. A wynik okazania fotografii może być bardzo przydatny w wykryciu zabójstwa Małuszkina. Oczywiście, nam go nie przydzielono, ale to przecież jednak kolega, dlaczego mu nie pomóc, skoro jest możliwość. Jak pan sądzi?

Gordiejew z rezygnacją machnął ręką, wyjął z biurka czysty blankiet i zaczął go wypełniać. Potem napisał na oddzielnej kartce długą epistołę i przymocował ją spinaczem do blankietu. Wreszcie jeszcze na jednej kartce nabazgrał:

„Jesteś już po trzydziestce, za późno, żeby cię na nowo wychowywać. Lanie by ci się należało za twoje lenistwo, ale obawiam się, że nic by to nie zmieniło. Bierz się do roboty. Powodzenia”.

2

Następnego dnia wieczorem Nastia znowu rozkładała przed Daszą fotografie, tym razem już inne. Zaciągnąwszy zasłonę, stały obie w przymierzalni sklepu „Orion”, zamiast stołu wykorzystując dwa zsunięte razem krzesła.

– Nie, tutaj go nie ma – odparła w końcu Dasza, przejrawszy ponad sto fotografii.

– Daszeńko, może spróbujemy jeszcze raz – jęknęła Nastia. – Nie spiesz się, patrz uważnie. On musi tutaj być. Idź, przynieś mi coś do

przymierzenia, żeby nasi przyjaciele na ulicy nie zaczęli się denerwować, i popatrz jeszcze raz.

Ale druga próba też się nie powiodła. Dasza Sundijewa twardo obstawała przy tym, że wśród okazanych jej zdjęć nie ma podobizny mężczyzny, który zaczepiał ją w metrze. Sama była przejęta nie mniej niż Nastia.

– To źle, że go nie rozpoznałam? – zapytała nieśmiało.

– Oczywiście, że źle – uśmiechnęła się z wysiłkiem Nastia. – To znaczy, że faktycznie jestem o wiele głupsza, niż wyglądam i anizeli się wydaję.

– Jak pani powiedziała? – Dasza parsknęła śmiechem.

– To nie ja powiedziałam, to Igor Guberman. Jest taki wspaniały poeta. Dobrze, Daszeńko, uznajmy, że popełniłam poważny błąd i poniosłam zasłużoną porażkę. Zapomnijmy o wszystkim, co było, i zacznijmy od początku.

Idąc powoli Twerską w stronę metra, Nastia zauważyła, że dzisiaj koło sklepu dyżuruje Kostyria, i w pewnej chwili ostre uczucie niepokoju wróciło do niej znowu, ale teraz głowę miała zajęta całkiem innymi sprawami, więc nie zwróciła uwagi na sygnał, który wysyłała jej podświadomość.

Dasza nie poznała wśród zabitych tamtego mężczyzny, a to oznacza, że cały schemat od samego początku był zbudowany nieprawidłowo. Nastia opierała się na tym, że Dasza stanowi dla kogoś bardzo poważne niebezpieczeństwo, i dlatego jej kontakty są dokładnie sprawdzane, nie wszystkie, tylko te, które łączy jakaś wspólna cecha. Na przykład, sprzedawców w sklepach, gdzie Dasza robi zakupy, sądząc ze wszystkiego, nikt nie sprawdza. Chociaż

nigdy nie wiadomo, może oni też są sprawdzani... A jeśli tak, to mężczyzna musiał być sprawdzony, zresztą nie tylko sprawdzony, lecz zabity, dokładnie tak, jak zabity został milicjant Kostia Małuszkin.

Cały czas coś się nie zgadza, myślała Nastia, w moim schemacie jest jakiś błąd, przez który konstrukcja stale się rozpada. Dlaczego nie zabili tego świra? Przecież Udunian za nim poszedł, Dasza widziała go obok mężczyzny w jasnobrązowym płaszczu, to znaczy, że kontakt Daszy ze świrem nie pozostał niezauważony. Więc dlaczego go nie zabito? Dlatego że wytłumaczył Udunianowi, że nie ma żadnego związku z Daszą, że po prostu chciał osiągnąć orgazm, wsuwając jej rękę między nogi? Bzdura. Żaden człowiek, nawet totalny świr, nie przyzna się do tego pierwszemu lepszemu, jeśli nie został schwytyany na gorącym uczynku. A poza tym, nawet przyjmując, że świr przyznał się do wszystkiego Udunianowi, co brzmi nieprawdopodobnie, to automatycznie oznacza łąby, że Dasza jest przypadkową osobą i nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Co więcej, po rozmowie ze świrem skojarzyliby, że rysopis na kartce dotyczy właśnie jego, a nie tamtego grubasa, który nieuważnie obchodzi się ze swoją dyplomatką. W tym przypadku nie śledziliby Daszy przez całe trzy tygodnie. A skoro ją śledzą, to znaczy, że nie wiedzą, iż mężczyzna w jasnobrązowym płaszczu z wsuniętą do kieszeni lewą ręką jest zboczeńcem seksualnym, i sądzą, że on i Dasza to ogniwa jednego łańcucha. Czyli pozostają jedynie dwie możliwości: albo jego też śledzą, tak samo jak Daszę, w nadziei, że coś wysondują, albo go zabili. Ale jeśli go zabili, to gdzie jest trup? Ukryli go? A jeśli go nie zabili, to dlaczego?

Informacje, sprawnie dostarczane przez Bokra i jego ekipę, jednoznacznie świadczyły o tym, że tamci trzej śledzą tylko Darię, resztę czasu poświęcając handlowi ciuchami. I znowu są dwie możliwości: albo świr żyje i śledzą go jacyś inni ludzie, albo wcale nie jest śledzony. Jeżeli w tej organizacji jest tak dużo ludzi, że mogą sobie pozwolić na przydzielanie do każdego obiektu po trzy osoby, to znowu nie wiadomo, dlaczego ci ludzie się nie zmieniają. O ileż rozumniej by było nie zmuszać jednej i tej samej trójki do pilnowania w ciągu dwudziestu trzech dni jednego i tego samego człowieka, ale przerzucać ich z obiektu na obiekt, żeby obniżyć ryzyko zauważenia i rozpoznania. Czyżby szef tej organizacji nie mógł wpaść na taką prostą rzecz? To jak kieruje całą organizacją, w której samych śledzących jest co najmniej sześciu?

A jeżeli świr żyje i nikt go nie śledzi? A zatem wiedzą, że nie jest niebezpieczny. Stąd wniosek, że Dasza też nie jest niebezpieczna. To znaczy, że on jednak nie żyje. Gdzie on może być, żywy albo martwy, gdzie?

Nastę okropnie rozboleły plecy, więc wszedłszy do metra, usiadła na ławce, żeby przeczekać największy atak bólu. Myśl, że trzeba jechać na koniec miasta, na Szczołkowską, doprowadzała ją do rozpacz. Oparła się plecami i tyłem głowy o marmurową ścianę, mocno objęła swoją przepastną torbę i przymknęła oczy. Dlaczego nie zabito świra? Ukrycie ciała nie jest takie proste. O, na przykład ciało milicjanta Małuszki nie zostało przecież ukryte, chociaż na zdrowy rozum trzeba to było zrobić. To znaczy, że nie było możliwości, za mało ludzi, może jakieś inne przyczyny. Udunian pojechał za świrem. Sam? Czy było ich kilku? Jeżeli sam, to nie dałby rady ukryć ciała tak, żeby go przez trzy tygodnie nie

znaleziono. To mogłoby się udać tylko przy bardzo pomyślnym zbiegu okoliczności. Na przykład, gdyby w pobliżu był głęboki zbiornik wody albo sypał śnieg. Czyżby Udunianowi tak się poszczęściło? Czy też świra jednak nie zabito? Pytania, pytania, pytania...

– Nie prześpi pani pociągu?

Nastia szybko otworzyła oczy i ze zdumieniem zobaczyła obok siebie Bokra w nieodłącznym długim szarym płaszczu i szarej czapeczce z błękitnym paskiem.

– Co pan tutaj robi, Bokr?

– Ochraniam panią. Akurat przyniosłem nową kasetę swojemu chłopczkowi, który chodzi za Kostyrią i filmuje każdy jego krok, patrzę – matko kochana! To przecież sama Anastazja Pawłowna wychodzi ze sklepu! Jakaś zmęczona i zboląła, i nogami ledwie-ledwie powłóczy, i twarzyczka bledziutka. Jezus Maria, myślę, czy czasem moja pracodawczyni nie zachorowała, jak kłapnie zaraz na ulicy z atakiem serca – to mi przecież Ed Burgundzki łeb urwie: nie ustrzegłeś, przegapiłeś, dopuściłeś do nieszczęścia. A potem jeszcze wujek Tola dołoży. Tak więc nie pozostało mi nic innego, jak pójść za panią, po cichutku, pomalutku, żeby, rzecz jasna, pomóc, jeśli będzie trzeba. To jak, Anastazjo Pawłowno?

– Co – jak?

– Trzeba pomóc?

– Trzeba. Proszę mnie odwieźć do domu. Ma pan samochód?

– Obraża mnie pani, moja droga. Ludzie Eda Burgundzkiego mają wszystko, nawet własne samoloty, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Chociaż osobiście jestem biedny jak mysz kościelna. Samochodu też nie mam. To co, idziemy?

– Idziemy.

Weszli na górę i wyszli z metra z powrotem na Twerską. Od razu zatrzymał się przed nimi niepozorny samochód krajowej produkcji. Za kierownicą siedział wesoły, okrągły jak pączek, wąsaty chłopak w czapeczce z kolorowym pomponem. Stanowił całkowite przeciwieństwo Bokra: jeśli tamten składał się tylko z szarego koloru, to chłopak za kierownicą cały się mienił, jak barwny film rysunkowy: czerwono-zielona kurtka i czerwona czapeczka z zielonym pomponem tak się rzucały w oczy, że na twarz już nikt nie zwracał uwagi. A jeśli dodać do tego jeszcze lazurowoniebieski jedwabny szal miękko spływający po wypukłym brzuszku, to był to, jak by powiedział Bokr, zupełny arcymonokl. Niegłupio, pomyślała Nastia, gdyby chłopaka przebrać, nie będzie go można rozpoznać. Okaze się, że jego twarzy nikt nie widział i nie zapamiętał.

Z przyjemnością ulokowała się na tylnym siedzeniu, odwróciła bokiem i mogła nawet wyciągnąć nogi. Bokr usadowił się z przodu, obok kierowcy. Po drodze nie odezwał się ani słowem, dopiero kiedy samochód podjechał pod dom na Szosie Szczołkowskiej, zapytał:

– Kiedy mam przyjść z raportem?

– Chodźmy razem – zaproponowała Nastia. – Zjemy kolację i wszystko mi pan opowie.

Bokr pokręcił przecząco głową.

– Niech mi pani wyznaczy godzinę. Proszę zjeść kolację, odpocząć, a ja przyjdę, kiedy będzie trzeba.

– Ale czemu nie teraz? – naciskała dalej. – Po co ma pan odjeżdżać, potem znowu przyjeżdżać, skoro i tak już pan tutaj jest.

Ale Bokr okazał się nad podziw uparty.

– Niech mi pani wyznaczy godzinę – powtórzył twardo i Nastia nagle zrozumiała, że nie ma sensu nalegać. Nie pójdzie do niej na kolację. Dokładnie zna swoje miejsce i nie zamierza skracać dystansu pomiędzy sobą i pracownikiem wydziału kryminalnego. Tak, pośmiać się, pożartować, wykonać polecenie, okazać współczucie, pomóc... Ale nie siedzieć przy jednym stole.

– Dobrze. Proszę przyjść za godzinę – poddała się.

3

Generał Wakar stanął na końcu niezmiernie długiej kolejki na poczcie. Z jakiegoś powodu przyjmowanie przekazów pieniężnych odbywało się przy tym samym okienku, co wypłata emerytur, i kolejka posuwała się powoli, bo niedowidzący emeryci długo szukali, gdzie się podpisać, po pół godziny trzęsącymi się rękami wpisywali na blankiecie otrzymaną kwotę, a potem skrupulatnie, po dziesięć razy wypytywali dziewczynę w okienku, dlaczego tym razem wypłacono im nie tyle, ile w ubiegłym miesiącu.

Wkrótce minie rok, jak co miesiąc staje w tej kolejce i przesyła pieniądze kobiecie, której zupełnie nie zna, którą widział raptem kilka razy. Ale wie, że musi to robić. To jego obowiązek.

Ostatnio znienawidził to słowo. Przez prawie pół wieku stanowiło ono trzon, na którym ukształtowała się osobowość Władimira Wakara i który nie dawał się jej rozsypać, rozpaść, załamać, jak to się stało z jego córką, z jego Lizką. Wakar zawsze wiedział, na czym polegają jego żołnierskie obowiązki. I zawsze wiedział, jakie ma obowiązki wobec rodziny jako mąż i ojciec. Musi chronić swoją rodzinę. Nie może dać jej się rozpaść. Musi jej zapewnić, jeśli nie szczęście, to przynajmniej spokój. Nikomu nic do tego, jak to zrobi i czy będzie mu ciężko. Liczy się wynik.

Kiedy na rodzinę spadło nieszczęście, Wakar wiedział, że jego obowiązkiem jest poruszyć niebo i ziemię, żeby przywrócić żonie i córce równowagę duchową. Jest mężem i ojcem, więc kto inny ma to uczynić, jeśli nie on?

Początkowo myślał, że skończy się na lekkich obrażeniach ciała.

– Nie mogę się mścić na dzieciach – powiedział Elenie, a ona odparła:

– Dobrze, poczekam, aż podrosną.

Trzej mieli po trzynaście lat, i tylko jeden akurat tamtego dnia skończył czternaście. Właśnie obchodząc jego urodziny, upili się i zasiedli do gry w karty ze starszym bratem solenizanta, zatwardziałym kryminalistą, który pracował w sklepie jako rzeźnik. Grali na zapleczu. Przegrana szczeniaków była olbrzymia, ale się tym nie przejęli, myśląc, że to nie na serio. Tymczasem rzeźnik nazwiskiem Orieszkin, starszy brat Jury Orieszkina, oświadczył, że grał z nimi jak z dorosłymi, tracił swój cenny czas, tak że niech panowie będą łaskawi zwrócić przegraną. Naturalnie okazało się, że chłopcy nie mają pieniędzy, i wtedy dług został zamieniony na

„spuszczenie łomotu” pierwszemu szczeniakowi w niebieskiej kurtce. Pijani, ogłupieni przez wielokrotnie karanego przestępcę, chłopcy wzięli noże, stanęli w otwartych na ulicę drzwiach i cierpliwie czekali, kiedy będzie ich mijał chłopiec w niebieskiej kurtce. Lało jak z cebra, ulica była pusta, więc musieli długo czekać. Ale się doczekali.

Śledcza wyjaśniła Wakarowi, że według prawa dziecko uważa się za czternastoletnie po dwudziestu czterech godzinach od dnia urodzin. Ponieważ zabójstwo zostało popełnione przez Jurę Oriesznikowa przed północą, mimo że w dniu urodzin, on też uważany jest za trzynastolatka i nie podlega odpowiedzialności karnej. Trzem pozostałym do skończenia czternastu lat brakuje od trzech do czterech miesięcy.

Trzeba było więc czekać cztery lata do ich pełnoletności, i Władimir żywił nadzieję, że przez ten czas żona i córka opamiętają się i porzucą swój potworny zamysł. Cztery lata minęły jak w koszmarze. Dom, zamieniony w mauzoleum, wiecznie czarne ubrania, ciągłe wyprawy do cerkwi, świece, ikony, lampki, rozmowy o unoszącej się nad nimi niepomszczonej niewinnej duszy dziecka... Wakar czuł, że traci rozum. Ale nawet nie przychodziło mu do głowy, żeby zostawić żonę albo ją znienawidzić. Elena jest jego żoną, matką jego dzieci, i będzie ją kochać, cokolwiek by się zdarzyło, jakichkolwiek odrażających czynów by się dopuściła, po prostu dlatego, że to jest jego żona, z którą los połączył go aż do śmierci. Na nim, jej mężu, spoczywa obowiązek ochrony Eleny, zapewnienia jej spokoju ducha.

Po czterech latach, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, Elena przypomniała:

– Oni w tym roku kończą osiemnaście lat. Czekam, kiedy dotrzymasz słowa. Nie zapominaj, że Andriuszeńka też czeka.

Wakar zasięgnął informacji o całej czwórce. Jurij Orieszkin wrócił niedawno z zakładu poprawczego, gdzie odbywał wyrok za notoryczne chuligaństwo, i nie podlegał służbie wojskowej. Pozostali mieli iść do wojska. Wakar odetchnął z ulgą – dostał odroczenie na dwa lata. Ale w domu działo się coraz gorzej.

Wtedy poprosił o skierowanie do Karabachu. Przez dwa lata, kiedy zabójcy jego syna byli w wojsku, brał udział w działaniach bojowych, prosił o przydział do wszystkich „punktów zapalnych”, żeby tylko rzadziej bywać w domu, nie widzieć żony i nie słuchać jej niekończących się wyrzutów i lamentów z powodu nieznajdującej spokoju duszy Andriuszeńki.

W dziewięćdziesiątym pierwszym roku Elena znów zaczęła nalegać:

– Nie masz więcej powodów, żeby zwlekać. Albo zrobisz to sam, albo znajdę ludzi i zapłacę im, żeby to zrobili.

Wakar pomyślał z przerażeniem, że ona rzeczywiście znajdzie ludzi, którym zapłaci za cztery zabójstwa, ale jeśli wpadną, to Elena jako zleceniodawczyni pójdzie do więzienia razem z nimi. Na to nie mógł pozwolić.

Orieszkin zobaczył przypadkowo. Stał w kilometrowej kolejce po wódkę, pijany, niechlujny, wstrętny. Władimir stanął z boku i zaczął go obserwować. Orieszkin handlował miejscami w kolejce. Zajmował ją kolejno w dziesięciu różnych miejscach, potem szedł na koniec i proponował swoje miejsce za trzy ruble. Zaczął kropić drobny deszczyk i Wakar schował się w najbliższej bramie, gdzie

stał, nie spuszczać oczu z opuchniętej nieogolonej twarzy. To nie człowiek, myślał Władimir Siergiejewicz, to już dawno nie człowiek, tylko źle funkcjonujący organizm. I ta nędzna kreatura, ta miernota pozbawiła życia mojego syna.

Orieszkin sprzedał kolejne miejsce, wsunął do kieszeni zmięty trzyrublowy banknot i ruszył w stronę bramy, gdzie stał Wakar. Nie zwracając uwagi na stojącego obok mężczyznę, rozpiął spodnie i zaczął oddawać mocz.

– Ej, chłopie, tu nie toaleta publiczna – pokojowo i zupełnie spokojnie zauważył Wakar. W odpowiedzi rozległy się takie ordynarne przekleństwa, jakich Wakar nie słyszał w żadnych koszarach wojskowych, a widział ich w swoim życiu niemało. Co gorsza, przekleństwu towarzyszył okropny fetor, bijący od Orieszkina i jego plugawej gęby. Władimir nawet nie zdążył się skoncentrować przed uderzeniem, po prostu wymierzył krótki, mocny, profesjonalny cios. Automatycznie. Wyćwiczony w wojsku nawyk, zaprawiony wstrętem i nienawiścią.

Orieszkin umarł od razu. Jego ciało jak zmięty worek leżało pod nogami Władimira, w bramie śmierdziało kotami i moczem, na ulicy padał deszcz, i ludzie stali w kolejce po wódkę. Wszystko było jak zwykle. Nic się nie zmieniło. Generał Wakar stał się zabójcą. Była jesień dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Obszukał kieszenie Orieszkina i znalazł zatłuszczony dowód osobisty. Schowawszy go, spokojnie wyszedł z bramy i udał się do domu. Mieszkał na sąsiedniej ulicy.

W domu w milczeniu podał żonie brudny dowód Jurija Orieszkina. Elena natychmiast się rozjaśniła.

– Spełniła się wola twoja, Panie – powiedziała uroczyście. – W naszym domu wreszcie nastąpiło święto.

Tego dnia po raz pierwszy od wielu lat w domu znowu zapachniało ciastem i Władimir znowu poczuł delikatny zapach rodziny, o której marzył w dzieciństwie i którą próbował zbudować, będąc dorosłym. A tej nocy Elena po raz pierwszy od śmierci syna wpuściła Władimira do swego łóżka.

Wakar nie spodziewał się, że pierwsze zabójstwo przeżyje tak lekko. Myślał, że będzie cierpiał, zadreptał się, może będzie miał ochotę na alkohol... Ale nic takiego nie nastąpiło. Wakar czuł się tak, jakby rozgniół brudnego karalucha łożącego po czystym kuchennym stole.

Drugi z kolei był Nikołaj Zakusznik, drobny szantażysta, zbierający haracz „za ochronę” na coraz obficiej mnożących się miejskich rynkach i bazarach. Wakar obserwował go kilka miesięcy, dopóki nie nadarzyła się odpowiednia okazja. Zakusznik oddał swój samochód do warsztatu i przez kilka dni musiał chodzić pieszo lub korzystać ze środków komunikacji miejskiej. Władimir przyhaczył go, kiedy Zakusznik późno wieczorem wracał od przyjaciółki.

– Kola! – zawołał, przyhamowując obok. – Nikołaj!

Zakusznik zatrzymał się i spojrzał pytająco na poważnego niemłodego faceta.

– Pan do mnie? – zapytał niepewnie.

– Oczywiście, że do ciebie – zaśmiał się Wakar. – Ty przecież jesteś Kolka Zakusznik spod dwudziestki czwórki? Prawda?

– Zgadza się. A kim pan jest?

– Mieszkam w sąsiednim domu. Pamiętam cię jeszcze jako smarkacza. Idziesz do domu? Wsiadaj, podwiozę cię.

Nikołaj bez wahania wsiadł do samochodu. Twarz kierowcy wydała mu się znajoma, widocznie naprawdę spotykał go dość często na podwórku koło domu.

W cichym bezludnym zaułku Wakar raptem zatrzymał samochód i schwycił się za serce.

– Co panu jest? – przestraszył się Zakuszniak.

– Nic – skrzywił się Wakar – czasem mnie tak chwyta. Nie ma co się dziwić, mam już swoje lata. Tam, na tylnym siedzeniu, leży dyplomotka, mam w niej lekarstwo. Bądź tak dobry i podaj mi.

Nikołaj odwrócił się plecami do Wakara i przechylił się na tylne siedzenie, gdzie w prawym rogu leżała nieduża czarna skórzana teczka. Wszystko trwało najwyżej pół minuty. Generał Wakar nie potrzebował niczego innego poza własnymi rękami, które były silne, zręczne i wytrenowane. Ciało Nikołaja odwiózł z powrotem do domu, gdzie mieszkała jego przyjaciółka, i ostrożnie zaniósł do bramy. Było już późno, i nikt Wakara nie widział.

I znowu w domu było święto, i znowu Elena wpuściła Władimira do siebie. Tym razem świąteczna atmosfera trwała długo, prawie dwa miesiące. Elena poweselała, zaczęła częściej się uśmiechać, czasem zdejmowała swój czarny strój i wkładała coś jasnego. Wakarowi wydawało się, że Lizie też ulżyło.

Najtrudniejszy okazał się trzeci, Rawil Gabdrachmanow. Rawil ukończył technikum finansowe i kiedy Wakar go znalazł, pracował w banku oszczędnościowym i studiował wieczorowo ekonomię. W 1993 roku miał dwadzieścia dwa lata, ale był już nie tylko mężem,

lecz i ojcem. Miły, drobny, z przyjemnym sympatycznym uśmiechem, ani na jotę nie przypominał człowieka, który ma na sumieniu czyjąś śmierć, choćby nawet sprzed lat. Żonę też miał młodą, niemal dziewczynkę.

Wakar śledził go przez całą wiosnę, lato, jesień i ciągle nie mógł się zdecydować. Nie był w stanie podnieść ręki na Rawila Gabdrachmanowa. W końcu zrobił to późną jesienią 1993 roku. Ale od tej pory co miesiąc przychodził sumiennie na pocztę i wysyłał pieniądze, wypisując na blankiecie adres i nazwisko adresatki: „Roza Szarafietdinowna Gabdrachmanowa”.

Po każdym popełnionym morderstwie, po każdym akcie zemsty Elena rozkwitała, otrząsała się, i rodzina powoli zaczynała nabierać cech tamtej r o d z i n y, o której kiedyś marzył Wakar. Władimir spełniał swój obowiązek, tak jak go rozumiał, chroniąc Elenę przed więzieniem, a córkę – przed dożywotnim pobytem w domu wariatów, próbując przywrócić im obu spokój ducha, chociażby nawet za cenę zniszczenia własnego życia. Ale ostatnio coraz częściej pojawiała się myśl, że swój obowiązek męża i ojca pojmował zupełnie niewłaściwie. Przeżył pięćdziesiąt lat z nieprzystającą do życia obsesją, która w końcu doprowadziła do tragedii. I znienawidził słowo „obowiązek”.

Po godzinie, co do minuty, pojawił się Bokr. Nastia zdążyła zjeść kolację, przebrać się i nawet wziąć prysznic, żeby za pomocą gorącej wody uśmierzyć ból w ćmiącym krzyżu.

– Cóż, Anastazjo Pawłowno – zameldował – mogę zakomunikować, że u naszych bohaterów nic nowego się nie dzieje. Zakres kontaktów pozostał ten sam, chociaż udało nam się wyodrębnić około dwudziestu ludzi, z którymi cała trójka plus Rieznikow kontaktuje się mniej więcej stale. Tu są ich fotografie, nazwiska i trochę podstawowych danych. To, oczywiście, niewiele, ale, wie pani, nie lubię się rozpraszać i rzucać gorączkowo do sprawdzania wszystkich jak leci. Proszę usiąść w spokoju i pomyśleć, kto z tej listy interesuje panią w pierwszej kolejności, wtedy zajmiemy się nim bliżej.

Jednak przestudiowanie listy i fotografii nie posunęło sprawy do przodu. Nastia nie miała żadnego klucza, który by jej pomógł wybrać z listy najpilniejsze do sprawdzenia obiekty. Wszyscy byli mrówkami, wszyscy co do jednego zajęci byli transakcjami kupna-sprzedaży, latali systematycznie do Turcji, Grecji, Emiratów Arabskich i Tajlandii.

– Wie pan, Bokr, mam podstawy, aby przypuszczać, że Udunian popełnił morderstwo. Było to dwudziestego dziewiątego września albo nieco później. Ale nie odnaleziono zwłok. Albo je gdzieś ukrył, albo nie wiem co... Mógłby pan przeświecić go pod tym kątem?

– Zrobię wszystko, co tylko możliwe. – Szary człowieczek, przemykający przed Nastią tam i z powrotem po pokoju, kiwnął głową. Dzisiaj znów miał błękitne skarpetki.

– Tylko proszę nie zapominać o moich warunkach – poprosiła Nastia.

– Naturalnie, naturalnie – uśmiechnął się Bokr. – Nie wolno bić, truć, ale można kłamać. Może mi pani podać nazwisko ofiary?

– Właśnie o to chodzi, że nie mam zielonego pojęcia. Po prostu wiem z wiarygodnego źródła, że Suren Udunian zobaczył w metrze pewnego mężczyznę i poszedł za nim. Nie wiem, kim jest ten człowiek, ale wydaje mi się, że Udunian go zabił. Zresztą mogę się mylić. Całkiem możliwe, że uda wam się dowiedzieć, że on żyje.

– A więc, człowiek z metra – przeciągnął w zamyśleniu Bokr. – To nie za wiele. Może ma jakieś znaki szczególne? Szramy od stóp do głów, łysinę do ramion albo jeszcze jakiś przyciągacz? Muszę przecież zbudować obraz i wpleść do niego tego człowieka. Czyli że powinien być łatwo rozpoznawalny.

– Nie wiem – Nastia przyznała uczciwie. – Proszę się zastanowić do rana, jak będziecie prześwietlać Uduniana, a ja pomyślę, jak zidentyfikować ewentualną ofiarę. Niech pan do mnie zadzwoni o wpół do ósmej.

Bokr wyszedł i Nastia położyła się spać. Sen jednak nie nadchodził. Nie dawała jej spokoju myśl o zabójstwie, być może popełnionym przez Uduniana. Dlaczego nie zabił tego świra? Przecież cała logika wydarzeń wskazuje, że musiał to zrobić. A jeśli zabił, to gdzie są zwłoki? Chwilami miarowy bieg jej myśli przerywał chłodek gdzieś w okolicach żołądka, i Nastia przypominała sobie epizod w Końkowie, który ją zaniepokoił. Coś tu było nie w porządku.

Około czwartej rano nagle podskoczyła na kanapie i włączyła światło. Wahając się między niechęcią podniesienia się z ciepłego łóżka a pragnieniem rozwiązania kolejnego zadania, wstała i wyjęła z półki kilka grubych tomów encyklopedii. Przydźwigała je do kuchni, zapaliła gaz, postawiła na ogniu czajnik i pogrążyła się w czytaniu. Po półgodzinie, wypiwszy dwie filiżanki kawy i przejrzawszy kilkadziesiąt haseł, marzyła już tylko o tym, żeby jak najszybciej nadszedł poranek, bo wtedy będzie mogła zacząć zadawać nowe pytania.

ROZDZIAŁ 7

1

– Ach, ty moja gwiazdka, przyszedł w końcu do dziadka Gurgena, uradowałaś staruszka – dudnił na całe prosektorium masywny donośny ekspert medycyny sądowej Gurgen Artaszewicz Ajrumian. – Patrzę – dwudziesty minął, a moja rybka milczy, nie dzwoni, nie wyściubia nosa. No, myślę, pewnie w wydziale zabójstw zmieniło się kierownictwo.

Co miesiąc na dwudziestego Anastazja Kamieńska musiała przygotować dla Gordiejewa sprawozdanie dotyczące wszystkich popełnionych w Moskwie zabójstw i przebiegu dochodzeń. W owych sprawozdaniach analizowane były same przestępstwa, nowe sposoby ich popełniania i zacierania śladów, nowe przyczyny i motywy zabójstw, a także nowe oryginalne sposoby pracy zespołu operacyjnego i popełniane przezeń błędy i niedopatrzenia. Za każdym razem, przygotowując takie sprawozdanie, Nastia przeprowadzała długie i szczegółowe konsultacje ze starym doświadczonym ekspertem Ajrumianem. Gurgen Artaszewicz przepadał za Nastią, uważał ją za modelową poważną młodą kobietę, świetnie wykształconą i rozsądną. Sam narzekał przed nią bez końca na swoje dwie wnuczki, które biegały na randki i

dyskoteki, nie myślały o studiach i codziennie nakładały na swoje młode świeże twarzyczki tony makijażu.

– Gurgenie Artaszewiczu, szukam zwłok – zaczęła poważnie Nastia.

Nowy wybuch śmiechu Ajrumiana wypełnił niewesołe pomieszczenie.

– Aleś mnie zdziwiła! A czego tu jeszcze można szukać poza nieboszczykami? Jakiego potrzebujesz? – zapytał rzeczowo.

– Jakiegoś niekryminalnego – poprosiła.

– To w naszej praktyce coś nowego. – Ajrumian uważnie popatrzył na Nastię. – No to wal, jaki masz problem.

– Wie pan, jest człowiek, który... Którego... Jednym słowem, powinien być zostać zamordowany, ale wśród zabitych go nie ma. Pozostają dwie możliwości: albo zwłoki zostały ukryte i do tej pory jeszcze ich nie znaleziono, albo nie można ich zaliczyć do kategorii kryminalnej. Przecież może tak być?

– To bardzo prawdopodobne – przytaknął Gurgen Artaszewicz.
– Potwierdza to masa przykładów z historii. Pamiętasz w dziewięćdziesiątym drugim roku Fiłatową? Morderstwo, upozorowane na śmierć wskutek porażenia prądem. Wtedy czysty przypadek pomógł nam zrozumieć, że było to jednak morderstwo, mało brakowało, a zostałyby zakwalifikowane jako nieszczęśliwy wypadek. Przychodziłaś też do mnie w sprawie dawnego zabójstwa starego alkoholika, pamiętasz? Jeszcze pytałaś mnie, czy można doprowadzić do śmiertelnego zejścia, umyślnie upijając człowieka, który ma wszyty esperal.

– Pamiętam – potwierdziła Nastia. – Powiedział pan, że można bez najmniejszego trudu. No więc chcę sprawdzić, czy mój nieboszczyk nie ukrył się gdzieś wśród takich przypadków.

– Sprawdzaj – kiwnął głową Ajrumian. – Powiem ci wszystko, co wiem, papużko pstrokata.

– Wydaje mi się, że bardziej przypominam starą obskubaną papuzicę – odpowiedziała żartobliwie Nastia. – Potrzebuję informacji o mężczyznach w wieku mniej więcej trzydzieści pięć–trzydzieści osiem lat, wysokich, anemicznych, dostarczonych do kostnic na skutek nagłej śmierci. Do nas mogli nie trafić, jeśli przyczyna śmierci nie ma charakteru wyraźnie kryminalnego.

– Za jaki okres?

– Od dwudziestego dziewiątego września po dzień dzisiejszy. Czy mógłby mi pan napisać wykaz przyczyn śmierci, na który będę się mogła powołać, obdzwaniając kostnice i szpitale?

– Mogę, jagódko, dziadek Gurgien wszystko może, ale chyba nie będzie ci to potrzebne.

– Dlaczego?

Zrobił minę jak magik przed ściągnięciem jedwabnej chusty i pokazaniem zdumionej publiczności trzech prosiaków zamiast oczekiwanych królików.

– Dlatego że sam osobiście robiłem sekcję Berkowicza Stanisława Nikołajewicza, dostarczonego akurat dwudziestego dziewiątego września, zmarłego nagle na ulicy niedaleko własnego domu. Prolaps zastawki mitralnej. Natychmiastowa śmierć.

– Niemożliwe! – ledwo dosłyszalnie tchnęła Nastia, nie ośmielając się uwierzyć w sukces. Chociaż zgodnie z prawami teorii

prawdopodobieństwa nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo na poszukiwania świra wśród zwłok kryminalnych nie szczędzono wysiłku, Nastia nader boleśnie przeżywała niepowodzenie.

– Nawet bardzo możliwe, złotko. Wysoki, wąły, anemiczny, co typowe dla wrodzonej wady serca. Nie miałem wątpliwości co do przyczyny śmierci i teraz też nie mam, przecież wiesz, że na starość zrobiłem się podejrzliwy, wszystko sprawdzam po dziesięć razy. Nikt go nie zabił. Ale ktoś go bardzo mocno przestraszył.

– Skąd pan wie? – Nastia drgnęła.

– Na kostce nogi ma dosyć duży ślad, który powstał na skutek uderzenia, zadanego praktycznie w momencie nastąpienia zgonu. Ten ślad jest taki, że... No, krótko mówiąc, tobie te mądrości na nic się nie zdadzą, chodzi o to, że on sam nie mógł się o coś uderzyć. Ktoś go musiał uderzyć w nogę. Może chciał zwalić go z nóg, tu już nie starcza mi wyobraźni, jestem człowiekiem przyziemnym i ponurym, nie potrafię fantazjować. I w tej samej chwili ustała akcja serca. Tego Berkowicza dlatego właśnie zapamiętałem, że w swoim orzeczeniu napisałem o śladzie od uderzenia, i ciągle czekałem, kiedy zadzwoni do mnie śledczy, poprosi o jakieś wyjaśnienia czy coś w tym rodzaju. I nie doczekałem się. Potem zapytałem gwoli ciekawości, ale już go, biedaka, pochowano. Widocznie żadnej sprawy kryminalnej się nie dopatrzone. Pokazać ci kopię orzeczenia?

– Koniecznie.

Mocno zacisnęła powieki i palce rąk wsuniętych do kieszeni. W ogóle to Anastazja Kamińska nie była za bardzo przesądna, ale czasami... Boże, spraw, żeby to był on. Niech będzie w

jasnobrązowym płaszczu. Niech na jego kałesonach będą ślady. Ślady muszą koniecznie być. Tak bym chciała, żeby w końcu mi się udało i żeby coś się wyjaśniło w tej przeklętej sprawie...

Podążając za Ajrumianem z prosektorium do jego gabinetu, powtarzała w myślach zaklęcie, kurczowo zaciskając palce. W gabinecie Gurgien Artaszewicz otworzył sejf i wyjął teczkę z kopiami dokumentów.

– Proszę, spójrz, rybko ogoniasta, twój przyjaciel Berkowicz miał problemy z seksem.

– Skąd to przypuszczenie? – szeptem spytała Nastia, której ze zdenerwowania nagle odebrało głos. Głośno odkaszlnęła, przeczyszczając gardło.

– Na spodenkach są ślady spermy. Jak myślisz, skąd się wzięły na bieliźnie mężczyzny wracającego z pracy? Do tego jeszcze w takiej obfitości. Jeżeli mężczyzna, wybaczone te detale, odbywa stosunek płciowy, a potem się ubiera, zapominając o prysznicu, ślady też zostają, ale zupełnie nie takie, możesz mi wierzyć. Analiza biochemiczna może dać dokładną odpowiedź na pytanie, czy był to akt miłości z kobietą, czy, pardon, z samym sobą.

– Jak był ubrany?

– Jasnobrązowy płaszcz, czarne buty, ciemnoszary, trzyczęściowy garnitur w prążki, biała koszula, krawat, bielizna.

Nastia wyrzuciła ręce w górę w zwycięskim geście piłkarza, który strzelił gola, rzuciła się na szyję masywnemu niemłodemu ekspertowi i cicho zawołała:

– Wydedukowałam go! A jednak go wydedukowałam! No, Aśka, no, mądrala!

– Nie, Anastazjo Kamieńska, żadna z ciebie mądrała – poklepując ją z aprobatą po plecach, burknął Ajrumian. – Jesteś kompletnie stuknięta. Wydedukowała trzytygodniowego nieboszczyka – i szczęśliwa, jakby wygrała milion w totka.

2

Pod wieczór Nastia poczuła się całkiem rozbita. Ludowe przysłowie „raz na wozie – raz pod wozem” potwierdzało się również w pracy operacyjnej. Kiedy jakaś sprawa ciągnie się dokuczliwie długo, nie ruszając z miejsca, i wszystkie wysiłki wydają się daremne, skierowane „nie tam”, z każdym dniem topnieje optymizm, znika nadzieja, słabnie chęć doprowadzenia tego, co się zaczęło, do zwycięskiego końca, i nagle w jednej sekundzie wszystko się zmienia, trzeba pilnie podejmować nowe decyzje, zmieniać schematy, a przede wszystkim – robić wszystko bardzo szybko. I co ciekawe: taki przełom nie wiadomo dlaczego trafia się w kilku sprawach jednocześnie, i w takie dni Nastia miała wrażenie, że cały jej organizm przeistacza się w komputer z nerwami, pracujący z obciążeniem ponad miarę, że jeszcze chwila – i w obwodzie nastąpi zwarcie, urządzenie się spali i już na zawsze będzie niezdolne do użytku. Ale obciążenie mimo to dalej się zwiększało i komputer pracował wciąż sprawnie, co niezmiennie wprawiało Nastię w zdumienie. Naprawdę potencjał ludzki jest

nieograniczony. Tylko z jakiegoś powodu pod wieczór była prawie nieżywa ze zmęczenia.

W ciągu dnia zadzwonił Denisow. Nastia nawet nie przypuszczała, że tak się ucieszy z jego telefonu.

– Jak tam moi chłopcy? Nie zgłasza pani pretensji? Radzą sobie?

– A jakże, Eduardzie Pietrowiczu, pana chłopcy są z najwyższej półki. Nam by się tacy przydali – odparła szczerze.

– Niech pani nie mówi głupstw, Anastazjo, wasi ludzie nie są nic a nic gorsi. Po prostu jesteście biedni, dlatego jest ich niewielu. Pieniądzy na sprzęt też nie macie. Wiadomo przecież, że próbując oszczędzać na wymiarze sprawiedliwości, państwo skazuje się na nowe ofiary w ludziach.

– Jak zawsze ma pan rację – westchnęła Nastia.

– A jak tam pani sukcesy? – zainteresował się Denisow. – Pani zamysł przynosi jakieś efekty?

– Sama na razie nie wiem. Jak by powiedział Bokr, to jakaś epidersja.

Denisow roześmiał się do słuchawki.

– Panią też zaraził swoją „kuzdrą”, tak? W ogóle to złoty chłopiec, rozsądny, twórczy. Może się pani śmiać, ale przy tym patologicznie uczciwy.

– Czyżby? – zwątpiła. – A wyrok za rozbój?

– Kiedy to było! Młodzieńcza głupota. Proszę mi wierzyć, Anastazjo, to dobry chłopiec.

– Ładny mi „chłopiec” – odpowiedziała z uśmiechem. – To chyba mój rówieśnik, a może nawet starszy.

– Ach, dziecino – zamruczał dobrodusznie Eduard Pietrowicz – mam już tyle lat, że wszyscy poniżej pięćdziesiątki są dla mnie dziećmi. A Bokra proszę strzec.

– Postaram się – obiecała Nastia, dość mgliście sobie wyobrażając, przed czym lub przed kim ma strzec zabawnego bandziora lingwistę w rozczulających skarpetkach.

Musiła się jeszcze spotkać z Daszą Sundijewą i pokazać jej nową serię fotografii, wśród których było też zdjęcie Berkowicza. Do „Oriona” nie zdążyła pojechać, dlatego postanowiła spotkać się z Daszą na uczelni po zakończeniu wieczornych zajęć. Właściwie wybór miała dość wąski: albo sklep, gdzie mogła być z Daszą sama na sam w przymierzalni, udając klientkę, albo mieszkanie, które Dasza dzieliła z rodzicami, jeszcze niewtajemniczonymi w niezrozumiałą i niezbyt wesołą historię. W miejscach publicznych istniało niebezpieczeństwo natknięcia się na obserwatorów. Z tych samych względów Nastia nie zaryzykowała zaproszenia Daszy do siebie. Pozostawała uczelnia.

– Proszę mnie ubezpieczać – poprosiła „złotego chłopca” Bokra. – Chcę mieć pewność, że mrówki nie zauważą mojego spotkania z Daszą.

Kiedy Dasza wyszła z sali wykładowej, jasnooki Surik czekał na nią koło palarni, wmieszany w tłum studentów. Już się z nim zrównała, gdy zawołała ją sympatyczna grubaska w okularach.

– Sundijewa! Daszka! Oczko ci poleciało w rajstopach. Z tyłu o-o-o jaka wielka dziura!

Dasza zmieszana popatrzyła na swoje nogi. W czarnych rajstopach rzeczywiście ziała ogromna dziura.

– A niech to licho – wymamrotała ze złością. – Masz może igłę z nitką?

– Proszę – grubaska otworzyła torbę i wyjęła z kosmetyczki szpulkę czarnych nici i igłę.

Dasza rozejrzała się, gdzie by się tu ulokować.

– Idź do sali numer siedemnaście – podpowiedziała grubaska – tam jest teraz pusto.

– A jak ktoś wejdzie? – Dasza z powątpiewaniem pokręciła głową.

– Wyobraź sobie, wchodzi rektor, a ja zaszywam rajstopy. Albo jeszcze lepiej – wkładam je, i mam zadartą spódnicę.

– Nie bój się, popilnuję na zewnątrz. Chodźmy! – I grubaska zdecydowanie pociągnęła Daszę do pustej sali, na której widniała wymalowana kredą cyfra siedemnaście.

Ze swego stanowiska koło palarni Surik dobrze widział trzymającą wartość grubaskę. Właśnie do sali podeszła parka, chłopak z dziewczyną, już mieli wejść, ale grubaska zdecydowanie zagroziła im drogę i coś powiedziała, robiąc z kciuków i palców wskazujących imponujące koło; widocznie demonstrowała rozmiar dziury w rajstopach Daszy. Wszyscy troje wesoło się roześmiali i parka się oddaliła.

Dasza już na pierwszy rzut oka rozpoznała Berkowicza.

– To on – powiedziała, biorąc fotografię w dwa palce, jakby się bała pobrudzić. Przy tym na jej miłej buzi pojawił się wyraz wstrętu, jak gdyby wzięła do ręki ropuchę.

Nastia zebrała rozłożone na stole fotografie, a Dasza, zręcznie operując igłą, zaczęła zaszywać wzmiankowaną dziurę.

– Anastazjo Pawłowno, a jak ta dziewczyna się nazywa? – zapytała, zbierając się już do odejścia.

– Natasza. A dlaczego pytasz?

– No jak to, przecież czeka na mnie pod drzwiami, pewnie będę musiała razem z nią wyjść. Muszę wiedzieć, jak się do niej zwracać. A jak ten z dużymi oczami zechce posłuchać, o czym rozmawiamy?

Nastia zamknęła torebkę i zaczęła zapinać kurtkę.

– Chodź no tutaj – przywołała Daszę.

Dziewczyna podeszła do niej i Nastia łagodnie ujęła ją za ramię.

– Wcale się nie boisz? – zapytała cicho.

– Teraz już nie – Dasza uśmiechnęła się pogodnie i potrząsnęła miodowo-złocistymi lokami. – Teraz pani wzięła wszystko w swoje ręce, więc czego mam się bać. Ciekawość mnie zżera! Takie przygody!

No i masz babo placek, ciekawość ją zżera. A czy ty wiesz, mała, że śmierć koło ciebie krąży? Ale co ci z tego przyjdzie, że będziesz wiedzieć? Wzięłam na siebie ogromną odpowiedzialność, popełniając tylko jeden błąd, ale błąd nie do naprawienia. Jeden raz pozwalając ci uciec spod obserwacji, prawdopodobnie postawiłam na nogi twoich prześladowców, którzy teraz utwierdzili się w swoich podejrzeniach, uważając cię za czyjąś agentkę. Ale wtedy jeszcze przecież nie wiedziałam o Berkowiczu. A teraz stałaś się dla nich jeszcze bardziej niebezpieczna, i co gorsza – nie bez mojej pomocy. Coś z tym trzeba zrobić. Tak we mnie wierzysz, mała, że moim obowiązkiem jest zrobić wszystko, co tylko możliwe, aby cię ochronić.

– Daszeńko, nie chcę cię straszyć, ale... Umówmy się, że jesteś moją pomocnicą, po prostu pracujemy razem nad pewną skomplikowaną i zagmatwaną sprawą. Właśnie pracujemy. A każda praca potrzebuje spokoju i koncentracji. Jeśli będziesz traktować to, co się dzieje, jak dziecięcą zabawę i niesamowite przygody w dżungli, istnieje niebezpieczeństwo, że się zapomnisz w zabawie. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem, Anastazjo Pawłowno – poważnie odparła Dasza. – Będę się zachowywać rozważnie i ostrożnie. Chcę, żeby pani wiedziała... Bardzo kocham Saszę i zamierzam mieć z nim dziecko. Dlatego będę bardzo ostrożna. Proszę się o mnie nie martwić.

Cicho przymknęła za sobą drzwi sali numer siedemnaście, a Nastia Kamińska jeszcze długo stała jak wryta, usiłując się otrząsnąć ze zdumienia.

3

Igor Jerochin wyszedł z restauracji na ulicę i natychmiast wpadł z powrotem do holu. Przycisnął się do ściany, próbując uspokoić walące wściekle serce. To znowu ten człowiek! Teraz Igor miał pewność, że się co do niego nie pomylił. Widział tę twarz kilka razy w ciągu ostatnich dni. Może to glina? Albo ktoś z konkurencji?

Trzeba się dowiedzieć prawdy. Ale jak? Najważniejsze jest teraz pytanie: czy mówić o tym Artiomowi?

Wrzucił żeton do automatu telefonicznego i wybrał numer Wiktora Kostyri.

– Kostyl, wszystko w porządku? – spytał możliwie najobojętniej.

– O co ci chodzi? – nie zrozumiał Kostyria.

– Jesteś pewny, że nie masz „ogona”?

– Bankowo – zdecydowanie odrzekł tamten. – Panuję nad sytuacją.

– A Surik nic nie wspominał?

– Raczej nie. Sam go zapytaj. A co jest grane?

– Jeszcze nie wiem. Zapytam. Na razie, cześć.

Jerochin powiesił słuchawkę, nie spiesząc się, wyszedł z holu i ruszył w kierunku swojego jaskrawoczerwonego audi. Czy to możliwe, że facet go śledzi? Czemu tylko jego? A może wszyscy są już śledzeni, Artiom też, ale tylko on, Igor, zauważył to pierwszy? Kostylowi można wierzyć, jest bardzo uważny i ostrożny, z nich wszystkich jest najbardziej chciwy, za każdego dolara gotów się dać powiesić. Swego koryta strzeże jak oka w głowie. Nie, gdyby Kostyl był śledzony, na pewno by tego nie przegapił. Może chodzi tylko o samego Igora, może to on popełnił jakiś błąd i z tego powodu jest obserwowany. To by znaczyło, że nie wolno mówić o tym Artiomowi, bo mu łeb urwie i przejedzie się po kasie, za wpadki karze surowo i rozprawia się ostro. A gdyby tak on sam, Jerochin, spróbował zrobić porządek z facetem i dopadł konkurencję, wtedy Artiom nie tylko że go pochwali, ale, da Bóg, zwiększy jego dołę przy podziale.

Rozejrzał się na wszystkie strony, ale faceta nigdzie nie zobaczył. Przejechawszy dwie dzielnice, Jerochin zauważył jadące za nim białe żiguli. Gwałtownie przyspieszył, żiguli nie pozostawało w tyle, wtedy nagle zwolnił i przepuścił samochód do przodu. Zgadza się, ten sam facet za kierownicą, przejechał obok, nawet głowy nie odwrócił. Może to jednak przypadek? Ale numer samochodu Igor na wszelki wypadek zapamiętał.

Jerochin zajechał jeszcze w interesach w parę miejsc i wrócił do siebie. Z przyjemnością pojechałby na noc do Lory, ale Lora mieszkała w nowym domu na wybudowanym niedawno osiedlu, nie było tam jeszcze telefonu, a Rieznikow przykazał jak najsurowiej, żeby, dopóki sytuacja z konkurencją się nie wyjaśni, Igor nocował w domu. Różnie się może zdarzyć, i każdy z nich powinien być, jak się wyraził Artiom, łatwo osiągalny w razie pilnej potrzeby kon taktu. Lora nie mogła przyjechać do niego na noc – miała małe dziecko.

Igor mieszkał w malutkiej kawalerce, najtańszej, jaką tylko mógł znaleźć. Mieszkanko było kupione za pieniądze zarobione na wyjazdach i operacjach handlowych. T a m t y c h pieniędzy w ogóle nie widział i nie miał ich w rękach. T a m t e pieniądze były przelewane na konto w jednym z zachodnioeuropejskich banków. Kiedy nazbiera się ich dość, Igor wyjedzie z Rosji i zacznie życie od nowa, tak przynajmniej obiecał mu Artiom.

Matka Jerochina mieszkała, jak dawniej, w tym samym domu, gdzie spędził dzieciństwo, i Igor czasami ją odwiedzał, chociaż robił to z wielką niechęcią. Matka od razu zaczynała jęczeć i lamentować, że się nie uczy, nie pracuje, jak wszyscy przyzwoici ludzie, że się zwąchał ze spekulantami. Staruszka nie może zrozumieć, że teraz spekulantów nie ma, jest za to wolny rynek. A dyplom

uniwersytecki można sobie wsadzić w tyłek, tak czy owak do niczego więcej się nie nadaje. Weźmy takiego Artioma, skończył wyższą uczelnię, pracował naukowo, nawet rozprawę doktorską obronił, i gdzie w tym sens? Dużo mu ta rozprawa pieniędzy przyniosła? Nic a nic. Tylko głowa od niej spuchła. Artiom nie jest głupcem, i skoro rzucił państwową posadę i zajął się handlem, to znaczy, że tak, faktycznie, jest lepiej.

Ale choćby matka nie wiadomo jak „piłowała” Igora, będzie jednak musiał do niej jechać. Pojadę jutro – postanowił. – Kupię dużo smacznego zarcia, zawiozę jej, bo wiecznie narzeka, że nie pomagam. Gdyby jej posłuchać, można by pomyśleć, że oprócz mnie nie ma więcej dzieci, a Luśka i Gienka w ogóle się nie liczą. Według niej to biedne sierotki, a ja jestem przy forsie, więc wszystkich mam utrzymywać. Oboje tylko sępić potrafią i ciągle szukają okazji, żeby się komuś uwiesić na szyi. Bez przesady, matce pomóc – święta rzecz, a oni niech sami główkują.

Lekkie zamroczenie od wypitej przy kolacji whisky już minęło, i Igor, zanim położył się spać, wypił duszkiem prawie pół szklanki wódki. Myśl o mężczyźnie w białym żiguli mocno go niepokoiła, a Jerochin chciał się wyspać jak należy.

Wyprzedziwszy Jerochina, który gwałtownie zwolnił, generał Władimir Wakar pojechał w stronę domu. Czyżby go chłoptaś zauważył? Zabawne. Zresztą nie ma to żadnego znaczenia. I tak, prędzej czy później, Wakar go zabije. Byłoby lepiej, gdyby obeszło się bez tego, ale skoro nie da rady, to...

Po wyjściu z windy zobaczył na klatce schodowej Lizę w narzuconym na ramiona płaszczu i z papierosem w ręce. Kiwnąwszy córcę głową, Wakar już miał włożyć klucz do zamka, kiedy Liza zawołała:

– Tato, zaczekaj.

Władimir Siergiejewicz w milczeniu zszedł na półpiętro i stanął koło niej.

– Tato... Mama była dzisiaj u chrzestnej.

Wakar się skrzywił. Nie mógł znieść świętoszkowatej, grubej i galaretowatej baby, która pomagała Elenie, gdy tej strzeliło do głowy, żeby się ochrzcić. Dzięki Bogu, Elena wyczuła jego, mówiąc delikatnie, powściągliwe nastawienie do chrzestnej i przestała ściągać ją do nich do domu. Od chrzestnej żona czerpała wszystkie te bzdury o niepomszczonej duszy dziecka i inne niebezpieczne brednie.

– I co powiedziała nam chrzestna? – spytał, nie ukrywając drwiny.

– Matka chce, żeby znalazła jej jakiegoś człowieka... No, chyba wiesz, o co chodzi. Uważa, że zbyt długo zwlekasz, że nie można na ciebie liczyć. Że niech obcy ludzie pomogą duszy Andrieja, jeśli rodzonego ojca nic to nie obchodzi.

– Specjalnie na mnie czekałaś, żeby mi o tym powiedzieć?

– Widziałam, jak przyjechałeś, i wyszłam, żeby cię złapać. Tato, ty przecież zrobisz to sam, prawda? Nie pozwól jej, powinieneś zrobić to sam, wtedy wszystko będzie dobrze.

– Wyjaśnij to lepiej matce – oschle odparł generał. – Tysiąc razy prosiłem was obie, żebyście mnie nie popędzały i nie omawiały tego ze mną. I jestem gotów powtórzyć to jeszcze tysiąc razy, ale popędzać się nie pozwolę. A tym bardziej nie pozwolę wszczynać na ten temat rozmów. Idź do domu.

Liza posłusznie udała się do mieszkania, poszła do kuchni i zaczęła podgrzewać kolację dla ojca. Wakar szybko się rozebrał w przedpokoju i bez pukania wszedł do pokoju żony. Elena klęczała przed kanapą, rozłożywszy przed sobą liczne fotografie Andrieja i wycinki z gazet i czasopism, gdzie była mowa o utalentowanym dziecku. Ubrana w długi czarny chałat zastępujący jej podomkę, z wymizerowaną, przedwcześnie postarzałą twarzą, pomimo upiętego wokół głowy jasnego warkocza przypominała straszną czarną wronę. Nawet nie odwróciła głowy w stronę męża.

– Eleno, proszę cię, żebyś się powstrzymała od jakichkolwiek działań – rzekł półgłosem Władimir Siergiejewicz. – Proszę, nie prowadź żadnych pertraktacji ze swoją chrzestną. Nie ma takiej potrzeby.

– Nie wierzę ci – odparła Elena, w dalszym ciągu nie odwracając głowy. – Zwlekasz już rok. Widać w ogóle nie zamierzasz nic robić.

– Proszę cię – już surowiej odezwał się Wakar. – Wiem, co za towarzystwo kręci się wokół twojej chrzestnej. Tylko patrzeć, jak któreś z nich w coś się wpakuje i pociągnie za sobą ciebie. To, co

zamierzasz zrobić, nazywa się zleceniem zabójstwa. Dostaniesz wyrok i pójdziesz do więzienia. Nie rozumiesz?

– No cóż, trudno – powiedziała tragicznie. – Gotowa jestem cierpieć jeszcze bardziej, skoro ojciec nie może się zatroszczyć o swoje dziecko. Jeżeli nawet pójde do więzienia, to ty będziesz temu winien.

– Eleno, dam ci słowo, że w najbliższym czasie wszystko załatwię. Dam ci słowo.

– Dobrze, czekam dwa tygodnie – zgodziła się niespodziewanie. – Również za dwa tygodnie będzie pierwsza rocznica trzeciego święta. Do tego czasu wszystko ma być załatwione. Najlepiej, jeśli dokładnie tego dnia. Będziemy mieć podwójne święto.

I Elena Wakar uśmiechnęła się z triumfem, czując przedsmak tego dnia, kiedy minie rok od śmierci Rawila Gabdrachmanowa i z ręki jej męża padnie ostatnia ofiara – Igor Jerochin.

5

Wiele kilometrów od Moskwy, w dalekim azjatyckim mieście nadszedł poranek kolejnego dnia pracy. Dwaj mężczyźni w przestronnym gabinecie rozpoczęli spotkanie od filiżanki herbaty. Jeden z nich – postawny siwy Japończyk w dobrze skrojonym garniturze i drogim krawacie – zasiadał przy biurku, zwróciwszy do okna nieprzeniknioną twarz. Za oknem padał deszcz i jego słaby

szum był w tej chwili jedynym dźwiękiem, rozlegającym się w gabinecie.

Drugim mężczyzną był niewysoki Amerykanin atletycznej budowy, z ostrymi głębokimi zmarszczkami na typowo filmowej twarzy. Zmarszczki nadawały jego męskiemu obliczu specjalny urok, podkreślając piętno doznanych przeżyć i zdobytego z wielkim wysiłkiem doświadczenia. W jego gęstych kasztanowych włosach nie było nawet śladu siwizny, a kiedy się poruszał, to z tyłu można go było wziąć za dwudziestoletniego sportowca, chociaż naprawdę miał prawie trzydzieści lat więcej. Amerykanin siedział, swobodnie rozparty w fotelu, ale jego niewymuszona poza nie mogła zwieść siwego Japończyka. Dobrze wiedział, do jakich nieoczekiwanych i zuchwałych wyskoków są zdolni ciepło mrużący przedstawiciele rasy kotów. Szczególnie drapieżniki.

– A jednak nie przekonał mnie pan, drogi przyjacielu – przerwał wreszcie milczenie Japończyk. – Nasza organizacja płaci wam ogromne pieniądze, żebyście zakończyli opracowanie systemu w jak najkrótszym terminie. Obiecał pan, że wszystko będzie gotowe na pierwszego stycznia. Opracował pan harmonogram niezbędnych prób, i zgodziliśmy się na to. Innymi słowy, zgodziliśmy się z tym, że przed pierwszym stycznia ukończenie prac nie jest możliwe, i wyraziliśmy gotowość finansowania was do wskazanego terminu. I co? Jeden parszywy Rosjanin rozbija cały harmonogram, według którego, proszę zauważyć, pracują bez wytchnienia dziesiątki ludzi. Czyżby nie mógł pan znaleźć pewniejszego źródła?

Amerykanin ostrożnie postawił filiżankę ze spodeczkiem na niziutkim stoliku i zmienił lekko pozycję, lokując się wygodniej.

– Akira-san, dobrze panu wiadomo, że Rosję rozkrada, kto chce, a surowiec strategiczny wywozi się stąd ciężarówkami, wagonami, a nawet samolotami transportowymi. Robią to ludzie całkowicie pewni i solidni, z kręgów rządowych, ale wszyscy patrzą im na ręce, i jeżeli ładunek zostanie nieoczekiwanie zatrzymany w urzędzie celnym, wybuchnie skandal, który bardzo szybko odbije się nie tylko na nadawcy, ale i na adresacie. Jak się domyślam, pan kategorycznie tego sobie nie życzy. Jeden, jak się pan raczył wyrazić, parszywy niepewny Rosjanin – to pańska i moja gwarancja bezpieczeństwa. Nawet jeśli jutro pobiegnie uderzyć się w pierś i opowie o wszystkim, co wie, nie będzie stanowił żadnego zagrożenia, bo odszukać nas ani sprawdzić jego słów niepodobna. Metalową ampułkę, mieści się w garści, można znaleźć przypadkowo na ulicy, a wagon z ładunkiem zawsze ma właściciela, w pobliżu którego znajdują się ludzie orientujący się, dokąd, kiedy i po co chodził czy jeździł, z kim się spotykał i rozmawiał. Jest mi doprawdy niezręcznie przypominać panu o takich elementarnych rzeczach.

– Pańskie wywody są słuszne, ale niestety nieprzydatne – chłodno odparł Japończyk – w żaden bowiem sposób nie wpłyną na przyspieszenie rozwiązania problemu. Co można zrobić, żeby wznowić prace?

– Ponaglić Rosjanina, obiecując mu jeszcze więcej pieniędzy. Albo szukać innego źródła.

– Co jest tańsze?

– Wychodzi jednakowo. – Amerykanin wzruszył ramionami. – Poszukiwania innego źródła będą sporo kosztować, ale zwiększą ryzyko. Lepiej zapłacić te pieniądze naszemu sprzedawcy, co go

skutecznie zmobilizuje do szybszego rozwiązania zaistniałego problem.

– A właśnie, Carl, co to za problem? Może mógłby mu pan pomóc?

– Tego nie wiem i nie chcę wiedzieć. Rosjanin musi sam rozwiązywać swoje problemy, nie oglądając się na nas. Za każdą partię towaru płacimy mu wystarczająco dobrze. A kręcić się koło niego dodatkowo – to głupie i niebezpieczne.

– Przedsięwzięcie znowu wymaga dodatkowych nakładów – z niezadowoleniem skonstatował Akira-san. – Nie podoba mi się to, Carl. A może pański Rosjanin chce po prostu wymusić od nas pieniądze?

Na twarzy Amerykanina pojawił się uśmiech.

– Godna podziwu delikatność, Akira-san. Tak naprawdę podejrzewa pan, że to ja wyciągam od pana pieniądze, a nie on. Pańskie podejrzewania w stosunku do mnie są bezpodstawne, ale, niestety, ma pan na to jedynie moje słowo. Pozostaje panu uwierzyć. W każdym razie mogę spróbować przycisnąć Rosjanina, nie obiecując mu żadnych dodatkowych zysków. Wiem, jak to zrobić.

– Proszę to zrobić – zgodził się Japończyk. – Jeśli uda się panu zaoszczędzić choćby część dodatkowych wydatków, zadbam o podwyższenie pańskiego honorarium.

Dwie godziny później w ambasadzie jednego z krajów WNP w Moskwie zadzwonił telefon. Słuchawkę podniósł jeden z szeregowych pracowników ambasady i z uwagą wysłuchał zadania, które polegało na tym, żeby sprawdzić nazwy i adresy pewnych

przedsiębiorstw i nazwiska ich szefów, najlepiej dyrektorów i głównych inżynierów.

6

Suren Udunian zamknął samochód i wszedł na klatkę schodową swego domu. Żarówka była, jak zwykle, rozbita, i hol wraz z windą tonął w półmroku, rozjaśniony jedynie słabym blaskiem świetlówki na pierwszym piętrze. Suren nacisnął przycisk przywołujący windy i zrobił krok w stronę skrzynek pocztowych, wyjmując jednocześnie klucze z kieszeni.

Nagle czyjaś ręka mocno schwyciła go za ramię. Zaskoczony Surik znieruchomiał, potem odwrócił się gwałtownie i zamarł z przerażenia. Przed nim stał Berkowicz, mężczyzna z metra, ubrany w ten sam jasnobrązowy płaszcz.

– Dlaczego mnie uderzyłeś? – zapytał cicho i monotennie.

– Przecież ty nie żyjesz – wyszeptał Surik. Wargi i język odmawiały mu posłuszeństwa.

– Owszem, nie żyję – wciąż tak samo monotennie odparł nieboszczyk. – I właśnie chcę się dowiedzieć, dlaczego mnie zabiłeś.

Automatyczne drzwi windy rozwarły się, skrzypiąc, ale jej zbawienne wnętrze było czarne jak przepaść bez dna – tam też stłuczono żarówkę. Surik zdobył się na rozpaczliwy wysiłek i

pokonując rozlewające się po całym ciele odrętwienie, dosłownie zanurkował w to ciemne wnętrze. Ale nieboszczyk wykazał się iście szatańskim sprytem. Wszedł do windy za Surikiem i stanął tak, że tamten nie mógł ani wyjść z powrotem, ani nacisnąć przycisku właściwego piętra.

– Dlaczego mnie uderzyłeś? Dlaczego mnie zabiłeś? – posępnie dudnił umarłak. Jego głos brzmiał coraz ciszej, przechodząc stopniowo w złowieszczy szept, ale śmiertelnie przestraszonemu Udunianowi wydawało się, że tuż nad jego uchem ryczy głośnik. Nie mógł się zmusić do wyjścia z windy, żeby wybiec na ulicę, bo musiałby przy tym przeciskać się koło stojącego w drzwiach nieboszczyka. Na tę myśl Surikowi aż ciarki przeszły po plecach.

– Ja cię nie biłem – wyszeptał w rozpacz. – Tylko kopnąłem cię w nogę, nie mogłeś od tego umrzeć.

– No to dlaczego umarłem? – zaszemrał nieboszczyk ledwo dosłyszalnie. Stał tak blisko, że Surik wyraźnie czuł trupi zapach.

– Upadłeś i się uderzyłeś. Słowo honoru, upadłeś i uderzyłeś się głową. To nie ja, jak Boga kocham, to nie ja, ja cię nie zabiłem. Sam upadłeś! Sam! Jestem niewinny!

Surik już niemal krzyczał, po plecach spływał mu strumieniami zimny pot. Niespodziewanie drzwi windy same się zamknęły i kabina płynnie ruszyła w górę. Na piątym piętrze w jaskrawym świetle wlewającym się z korytarza do ciemnego wnętrza windy Udunian zobaczył, że nie ma przy nim nikogo.

ROZDZIAŁ 8

1

– No cóż, Anastazjo Pawłowno, tym razem się pani nie pomyliła – oznajmił Bokr, dzwoniąc do Nasti wczesnym rankiem. – Udunian rzeczywiście był ostatnią osobą, którą Stanisław Berkowicz widział w swoim życiu doczesnym. Czy ta informacja na coś się pani przyda?

– Raczej jeszcze bardziej wszystko gmatwa. Pewnie, że przyjemnie jest sobie uświadomić, że nie oduczyłam się dedukcji, ale to sprawy nie ułatwia. Sądząc ze wszystkiego, nasi podopieczni nie zrobili do tej pory nic, co by dało nam podstawy do przypuszczeń, że ich biznes pachnie kryminałem.

– Nic – potwierdził Bokr. – Pilnujemy ich bardzo uważnie, ale nie odnotowaliśmy żadnego podejrzanego kontaktu czy działania. Gotują się we własnym sosie. Jakiś czas temu Rieznikow poleciał po towar do Stambułu, mój człowiek pojechał za nim, tam i z powrotem w jednym samolocie. Nic ciekawego nie zobaczył, chociaż, oczywiście, w takiej sytuacji nie można mieć absolutnej pewności. Jeśli Rieznikow spotkał się z kimś w Stambule, zrobił to bardzo dyskretnie. Może w ogóle z nikim się nie spotkał, tylko

rozmówił się telefonicznie, korzystając z aparatu hotelowego, ale tego niestety nie byliśmy w stanie skontrolować.

– Boże, Bokr – wykrzyknęła Nastia – ile wy macie pieniędzy, że możecie wysłać swego człowieka za granicę?

– Nie wypada o tym mówić, Anastazjo Pawłowno. – Bokr wybuchnął swoim wspaniałym popiskującym, skrzeczącym śmiechem. – Ale Eduard Pietrowicz na brak pieniędzy nie narzeka. Nie wiedziała pani o tym? Aha, jest jeszcze jeden drobny szczegół. Gdzieś tak miesiąc temu Rieznikow poparzył sobie wrzątkiem lewą rękę, dosyć mocno, opatrunek zdjął dopiero niedawno. To tak à propos.

– Zgadza się. Teraz wszystko się zgadza – powiedziała Nastia z satysfakcją.

– Co się zgadza? – nie zrozumiał Bokr.

– Ręka się zgadza. Rysopis, który Dasza zapisała na kartce i oddała milicjantowi, pasował do tysiąca mężczyzn. Ale były tam też słowa: „lewą rękę trzyma w kieszeni”. Jeżeli Rieznikow tamtego dnia miał na ręce opatrunek, mógł, co jest zupełnie naturalne, trzymać rękę w kieszeni. I to było najbardziej przekonującym dowodem, że dziewczyna podała właśnie JEGO rysopis. Bardzo mi pan pomógł, Bokr, dziękuję. Ta ręka nie dawała mi spokoju. A teraz wszystko się zgadza.

Bokr przez jakiś czas milczał, Nasti wydało się nawet, że połączenie zostało przerwane.

– Halo! Halo, Bokr! – powiedziała niepewnie.

– Jestem – odparł. – Mogę coś jeszcze powiedzieć?

– Oczywiście, słucham pana.

– Wujek Tola i Ed mieli zupełną słuszość. Jest pani naprawdę wyjątkowa.

– W jakim sensie?

– W żadnym, tak po prostu. Wyrażam tylko swój zachwyty, może nieco niezgrabnie. Kiedy mam przyjsć z raportem?

– Czekam na pana... Zresztą, nie, zaraz, zmieniłam plany. Może pan przyjechać teraz? Odwiezie mnie pan do pracy i przy okazji to i owo omówimy. Nadszedł czas, żeby zmienić schemat.

2

Nie lubił tej dzielnicy, chociaż tutaj upłynęło jego dzieciństwo i wszystko było znajome. Nie lubił wspomnień nie dlatego, że dziecięce lata były ciężkie i pełne wyrzeczeń. To było normalne dzieciństwo w normalnej rodzinie. Ale Igor jakoś go nie lubił.

Jak zwykle matka była ze wszystkiego niezadowolona. Przywiózł jej dwie ogromne torby produktów, ale zaczęła się wyklócać i wytykać mu, że co z tego, że nawiózł jej górę zagranicznych specjałów, jak w domu zwykłego mięsa nie ma. I teraz, wsunąwszy do kieszeni płócienną torbę na zakupy, Igor szedł pieszo na bazar, żeby kupić świeżą cielęcinę.

Kiedy znalazł się na równoległej ulicy, stanął jak wmurowany: tuż przed nim stało białe żiguli. T o s a m o. Igor zmrużył oczy i

potrzęsnał głową, ale samochód stał nadal, zuchwale demonstrując swój numer rejestracyjny.

Jerochin odszedł na bok, trochę postać zamyślony, potem wszedł do najbliższego sklepu i stanął przy oknie, z którego biały samochód był dobrze widoczny. Zupełnie się nie zastanawiał, jak długo będzie musiał tak stać, żeby doczekać się właściciela samochodu. Po prostu wiedział, że powinien czekać dopóty, dopóki będzie trzeba, żeby spróbować się dowiedzieć, kim jest ten człowiek.

Młodziutka kasjerka rzucała na Igora zdziwione spojrzenia, ale nie zwracała na nią uwagi. Po prostu stał i czekał.

Zbliżała się pierwsza po południu, sklep zaczął się wyludniać, baba z wiadrem i ścierką zaczęła szurać szczotką.

– Młody człowieku, mamy teraz przerwę obiadową – oznajmiła Igorowi takim oburzonym tonem, jakby odejmował jej od ust kawałek chleba.

I w tej samej chwili Igor go zobaczył. Właściciel żiguli wyszedł z domu razem z dziewczyną w czarnym płaszczu i czarnym szalu na głowie. Igor od razu ją poznał. Nie mógł jej nie poznać, chociaż minęło tyle lat... Jej twarz nazbyt dobrze zapadła mu w pamięć. Mówiąc szczerze, prawie się nie zmieniła przez te lata. Mój Boże, pomyślał, to przecież jest jej ojciec, są do siebie zdumiewająco podobni – oboje wysocy, zgrabni, o zarysowanym ostro profilu i szarych oczach pod długimi prostymi brwiami. Jak oni się nazywają? Zdaje się, że Wakar. Tak, zgadza się. Wakar.

...Poszkodowany Wakar Andriej... ...Poszkodowana Wakar Elizawieta...

Z rozprawy sądowej brata Jurki Orieszkiina pozostały mu mgliste, wyrywkowe wspomnienia. Ich, małolatów, nie sądzono, występowali jako świadkowie w sprawie Orieszkiina starszego, oskarżonego o podżeganie do zabójstwa. Do sądu przywieźli ich rodzice, dzielnicowy, młodziutka pani inspektor do spraw nieletnich i detektyw z wydziału kryminalnego. Całą czwórkę mocno trzymali za ręce i nigdzie nie puszczała. On, Igor, czuł się strasznie, to pamiętał wyraźnie, a wszystko inne ginęło we mgle. Na sali rozpraw ludzi było sporo, ale wszystkie twarze zlewały się w jedną niejasną, niewyraźną plamę. Nikogo nie dostrzegł i nie zapamiętał.

Ale dziewczyna... Prowadziła za rękę chłopca w niebieskiej kurtce i wydała się wtedy Igorowi zjawiskowo piękna, pewnie dlatego, że jej twarz jaśniała szczęściem i nadzieją. Kiedy Kolka Zakuszniak zbił ją z nóg, a mały smarkacz Rawil zaczął kopać, przez jakąś chwilę Igorowi było jej nawet żal...

Jerochin w końcu nie dotarł na bazarek i wrócił do domu.

– A mięso? – spytała niezadowolona matka, widząc, że syn wrócił z pustymi rękami.

– Bazarek dzisiaj jest zamknięty, kontrola sanitarna – skłamał Igor. – Słuchaj, matka, nie wiesz, czy Jurik Orieszkin nigdzie się nie przeprowadził, mieszka na starych śmieciach?

– Coś ty! – Matka zdziwiona utkwiała wzrok w Igorze. – Nie wiesz, czy co? Twój kolezka umarł, już jakieś dwa lata, jak go pochowali.

– Jak to – umarł?

Pod Igorem ugięły się nogi, przysiadł w kuchni na taborecie.

– Ano wziął i umarł – triumfująco oznajmiła matka, która nigdy nie lubiła kolegów Igora i uważała, że to oni sprowadzili go na złą drogę. – Zapił się na śmierć. Ktoś go pobił, jak parszywego psa. Pół dnia w bramie się poniewierał, póki go nie zabrali. Ludzie przechodzili i myśleli, że śpi pijany. Tam zaraz obok jest sklep monopolowy, twój Jurka wiecznie wystawał w kolejce.

Jerochin trochę przyszedł do siebie. Nie, to nic, to nie takie straszne. Jurka się rozpił, a wszyscy pijacy prędzej czy później zdychają pod płotem. To źle, że on, Igor, zerwał całkiem kontakt z kolegami z dzieciństwa. Po powrocie z poprawczaka jeszcze trochę razem pourzędowali, potem poszli do wojska, a po wojsku ani razu się nie spotkali. Dlaczego tak wyszło? Każdy miał własne życie, i do starych przyjaciół już go nie ciągnęło? Czy może gdzieś w mrokach podświadomości czaił się paniczny, nieustający strach, wywołany popełnionym kiedyś zabójstwem, i strach ów nie pozwalał im się spotykać, żeby nie budzić wspomnień?

3

Wszyscy mieszkali niedaleko siebie, dziesięć minut drogi pieszo. Igor minął dom, gdzie mieszkał Jura Orieszkin, skręcił za róg, przeciął skwer i już po kilku minutach wchodził po schodach do mieszkania Zakuszniaka. Drzwi otworzyła leciwa staruszka, babka

Kolki. Jerochin zdziwił się, że jeszcze żyje. Kiedy byli szczeniakami, babka wydawała się okropnie stara, wysuszona, pomarszczona, na wpół ślepa. Dziwne, ale w ogóle się nie zmieniła.

– Dzień dobry, babciu – zawołał głośno. – Pamięta mnie pani?

– Nie krzycz, synku – niespodziewanie spokojnym i niestarym głosem odparła staruszka. – Jestem ślepa, ale słyszę dobrze. Czego chcesz?

– Jestem Igor Jerochin, pamięta pani? Chodziłem razem z Nikołajem do jednej klasy.

– Pamiętam cię, pamiętam. No więc czego chcesz?

– Chciałbym się zobaczyć z Nikołajem – poprosił, w mgnieniu oka tracąc fason. Wcale się nie spodziewał, że babka dobrze słyszy, i w dodatku jeszcze go pamięta.

Babka nie odzywała się przez chwilę, a potem powiedziała cicho:

– Ja też.

– A co, nie mieszka tutaj? Wyjechał?

– Wyjechał – westchnęła staruszka. – Wyjechał daleko stąd.

– Da mi pani adres?

Odwróciła się i w milczeniu poszła w głąb mieszkania. Jerochin stał wciąż na progu i nie mógł się zdecydować, czy ją zawołać, czy pójść za nią. Po jakimś czasie babka wróciła; Igorowi wydało się, że ociera oczy chusteczką.

– Po co ci Nikołaj? – zapytała surowo.

– Chciałem się z nim zobaczyć. A co, nie wolno? Bądź co bądź byliśmy kiedyś przyjaciółmi.

– Jeszcze zdążysz się z nim zobaczyć, nie masz po co się tam spieszyć. Przyjdzie czas, to się zobaczysz – ze smutkiem powiedziała staruszka.

– A co, jest w więzieniu?

– Chciałabym, żeby tak było. Ale tam go nie ma. Nikolaėj przeniósł się na tamten świat – cicho odrzekła babka i rozpłakała się. – Ktoś go zabił w ubiegłym roku.

– Kto? – zapytał, przelękając kurczowo ślinę. W gardle zrobiło mu się sucho, i znowu ugięły się nogi.

– Któż to wie – westchnęła gorzko. – Łobuzem był, i łobuzem został. Śledczy mówił, że wymuszał od kogoś pieniądze, było ich wielu, cała grupa. Czymś się tam dzielili, czy to jakimś bazarem, czy to sklepem, dobrze nie zrozumiałam. A zresztą, co za różnica, kto go zabił? Nie ma go wśród żywych, ot, co najważniejsze. A dlaczego i z jakiego powodu – taka widać była wola boska. Idź, synku, nie dręcz mnie dłużej.

Przecznicę dalej, w pobliżu domu, gdzie kiedyś mieszkał z rodzicami Rawil Gabdrachmanow, Igor zrozumiał, że się boi. Jurka Orieszkin był alkoholikiem, picie przypieczętowało jego los. Kolka Zakuszniak – szantażystą, jego śmierć była rezultatem takiego życia i głupiej beztroski. Jeśli teraz się okaże, że Rawil jest cały i zdrowy, to znaczy, że nic strasznego się nie dzieje. Może wszystko skończy się szczęśliwie. Może to przypadek, niesamowity zbieg okoliczności. Boże, spraw, żeby Rawil żył!

Na dzwonek do mieszkania nikt nie zareagował. Igor postął jeszcze trochę przed drzwiami, po czym zaczął dzwonić do sąsiadów. W jednym z mieszkań otworzyła mu dziewczynka w

szkolnym mundurku. Na jednej nodze miała kozaczek, a na drugiej – domowy kapeć, chyba niedawno przysłała ze szkoły.

– Cześć, mała. – Igor uśmiechnął się przyjaźnie. – Nie wiesz, czy pod czterdziestym drugim mieszkają Gabdrachmanowie?

– Nie – pokręciła głową dziewczynka, sapiąc nad kozaczkiem, przy którym zaciął się suwak. – Pod czterdziestym drugim mieszkają Petriczenkowie, mają syna o dwa lata ode mnie starszego, codziennie odprowadza mnie do szkoły. A pan jest przyjacielem wujka Rawila, tak?

– Zgadza się, mądra z ciebie dziewczynka – ucieszył się Jerochin.
– A gdzie on jest?

– Wyjechali. Wujek Rawil ożenił się z Rozą, i wtedy się zamienili.

– Co zrobili? – nie zrozumiał Igor.

– Zamienili mieszkanie, żeby młodzi mieszkali osobno.

Dziewczynka z ważną miną powtarzała słowa i zdania zasłyszane u dorosłych, ale robiła to tak naturalnie, jakby sama była posiadaczką wszystkich informacji o mieszkańcach domu i całej dzielnicy.

– Poczekaj, bo zepsujesz zamek. – Igor roześmiał się, spoglądając na dziewczynkę. – Pomogę ci.

Przykucnął i zręcznie rozpiął suwak.

– A kto to jest Roza? – zapytał.

– Roza to córka cioci Nurii i wujka Szury Tatara. Nie zna pan Rozy? Cały dom ją zna. Dokarmiała bezdomne psy. Taka dobra, po prostu złote serce.

Igor parsknął śmiechem. W ustach dziewczynki brzmiało to okropnie śmiesznie. Oczywiście, że doskonale pamiętał wujka Szurę Tatara i jego córkę. Naprawdę nazywał się Szarafetdin, ale sąsiedzi szybko skrócili niewygodne imię na swojsko brzmiące. I tak Szarafetdin został Szurą. Był złotą rączką i zawsze można było na niego liczyć, pomagał sąsiadom z przyjemnością, toteż w całym ogromnym domu nie było nikogo, kto by nie wiedział, kim jest Szura Tatar. Miał cichą, wiecznie ciężarną żonę Nuriję i gromadkę dzieci, z których najmłodsza była Roza, ubóstwiająca zwierzęta, pielęgnująca chore ptaki i dokarmiająca bezdomne psy i koty. Roza była dwa lata młodsza od Rawila, i Igor przez cały okres znajomości z Rawilem ciągle słyszał, że dzieci z dwóch rodzin tatarskich to „narzeczeni”. Na serio Rawil zainteresował się dziewczyną dopiero po powrocie z poprawczaka, kiedy miał siedemnaście lat, a ona – piętnaście.

– Nie znasz przypadkiem adresu Rawila? – spytał Igor rozmownego brzdąca.

– Nie. Tata zna, ale przyjdzie wieczorem. Proszę przyjść wieczorem, tata panu powie.

– Przyjdę – Igor kiwnął głową. – Dzięki, mała.

– Nie ma za co – z powagą i godnością odparła dziewczynka.

I znowu Igor Jerochin spędził bezsenłą noc. Poprzedniego wieczoru wrócił do domu, gdzie mieszkała zabawna rozmowna dziewczynka, i otrzymał od jej rodziców nowy adres, wprawdzie nie Rawila, ale rodziców Rozy. Okazało się, że w wielostopniowej zamianie mieszkań, mającej na celu zapewnienie młodym własnego kąta, uczestniczyły obie rodziny i w rezultacie z dwóch trzypokojowych mieszkań wyszły trzy dwupokojowe. Ale Szura Tatar, zżyty z sąsiadami, na pożegnanie zostawił wszystkim swój nowy adres i przykazał, aby ze sprawami drobnych napraw zwracali się tylko do niego.

Było już za późno, aby jechać do rodziców Rozy, więc Igor odłożył wizytę do następnego dnia. Cisnące się do głowy myśli nie pozwalały mu zasnąć. Usilnie szukał logicznego wyjaśnienia dziwnego faktu, że dwóch z czterech jego kumpli nie żyje, a ojciec chłopca kilka razy mignął mu przed oczami. Czasem udawało mu się wymyślić prawdopodobne rozwiązanie, na kilka minut uspokajał się i oddychał z ulgą. Ale po chwili znowu bił się z myślami, i wyjaśnienie, które dopiero co przyszło mu do głowy, wydawało się naciągane, sztuczne i głupie, a TAMTO, drugie, które samo się nasuwało – jedynie słuszne. Ale Igor nie chciał w nie wierzyć i ciągle na nowo wyobrażał sobie, jak jutro znajdzie Rawila, jak opowie mu o wszystkim, jak razem będą się śmiać z jego obaw.

Rawil wyróżniał się w ich paczce. Prymus, kujonek, zawsze pierwszy kończył ćwiczenia z niemieckie go, dobrze znał historię; szczupły, drobny okularnik, lgnął do barczystych, atletycznych dwójkowiczów, palących w toalecie, soczyście przeklinających i popisujących się pluciem na odległość. Odpisywali od niego zadania domowe ze wszystkich przedmiotów, pomagał im na sprawdzianach

z fizyki i matematyki, a oni za to pozwalali mu być z nimi w jednej paczce. Uczyli go pić wino, grać w karty i opowiadać słone dowcipy. Wprowadzali w „dorosłe” życie, chociaż byli rówieśnikami. Łaskawie pozwalali siedzieć w kąciku i obserwować z zachwytem, jak ćwiczą ze sztangą pod okiem zapijaczzonego byłego ciężarowca. Rawil ich ubóstwiał. Czczył. Był gotów na wszystko, żeby tylko zdobyć ich uznanie.

Teraz, po wielu latach, Igor Jerochin nagle pojął, że mały Rawil nie był głupcem, za jakiego go wtedy uważali. Był słaby i nieszczęśliwy. Ale mądrzejszy od nich. I teraz tylko w nim Igor pokładał całą nadzieję. Rawil potrafi wszystko wyjaśnić, uspokoi Igora. Niemożliwe, żeby wszystko układało się tak źle, to nie może być prawda!

Na drugi dzień Igor pobiegł do wujka Szury Tatara. Wychodząc od niego po półgodzinie, nie miał żadnych złudzeń, nadzieja się rozviała. Rawil też został zamordowany, a jego żona Roza, która została sama z malutkim dzieckiem, co miesiąc otrzymuje od kogoś pieniądze. Wujek Szura mówił, że to niezła sumka, bardzo się Rozie przydaje. Widocznie znalazł się dobry człowiek, pewnie ktoś z banku, gdzie pracował Rawil, tam wszyscy pracownicy to ludzie zamożni, dlaczego nie mieliby pomóc biednej dziewczynie, kiedy spadło na nią takie nieszczęście.

Ale Igor był pewien, że z dobroczynnością nie ma to nic wspólnego. Naiwny wujek Szura słowo „bank” kojarzył ściśle ze słowem „dostatek”, a dostatek – ze szlachetnością. Jerochin się nie łudził, zbyt dobrze wiedział, że bank to pieniądze, a pieniądze to gniew, chciwość i okrucieństwo. Skąd by się wzięli w banku zamożni urzędnicy? Zwyczajny urząd państwowy, pracują tam tacy

sami nędzarze jak wszędzie. Ale czyż może to zrozumieć stary Tatar, który ukończył pięć klas szkoły podstawowej?

Ten człowiek zabił Rawila i wysłał pieniądze młodej wdowie. To znaczy, że jest przekonany o swojej racji i niezłomny w swoich zamierzeniach. To znaczy, że nie zrezygnuje. Igor Jerochin jest ostatnim, któremu Wakar zamierza odpłacić pięknym za nadobne, ukarać za dawny grzech. Tyle lat czekał, tak długo był cierpliwy, że teraz wykona plan, bez względu na koszt.

Kiedy Igor wrócił wieczorem do domu, po raz pierwszy w życiu owładnął nim prawdziwy strach. To nawet nie był strach, ale przerażenie, trwoga przed nieuniknionym, która pozbawia człowieka woli i podstępnie proponuje, aby się poddać i czekać bezwolnie na koniec. Nagle zapragnął upić się do nieprzytomności, żeby chociaż na jakiś czas zapomnieć. Ale Igor potrafił pokonać słabość. Nie zmrużywszy całą noc oka, rano doszedł do wniosku, że powinien uprzedzić swego przeciwnika. On, Igor Jerochin, nie pozwoli się zabić. Pierwszy zada cios. Jeżeli Wakar potrafił zabić trzech ludzi i pozostać na wolności, to znaczy że nikt w milicji nie kojarzy tych trzech zabójstw z tamtą dawną historią. A skoro tak, to zabójca Wakara również nie będzie poszukiwany wśród tych, którzy kiedyś zabili jego syna. I nikt się nigdy nie dowie...

Władimir Siergiejewicz Wakar odniósł listę egzaminacyjną do działu dydaktyki i już miał wyjść na korytarz, gdy usłyszał pełen zdziwienia okrzyk Weroniki – wykładowcy metodyka.

– To niesłychane! Postawił pan dzisiaj tylko jedną „pałę”. Co się stało, Władimirze Siergiejewiczu?

Wakar był znany na całą Akademię Sztabu Generalnego z tego, że na egzaminach nie toleruje braku wiedzy ze swojego przedmiotu. Niczym nie można go było podejść – ani protekcją, ani pochlebstwem, ani upominkami.

– Są zawody, w których ignorancja pociąga za sobą katastrofalne skutki – powtarzał. – Dotyczy to w pierwszej kolejności lekarzy, inżynierów i wojskowych. Jeśli z powodu waszego błędu mogą zginąć ludzie, nie macie prawa do błędu.

Nie wahał się stawiać ocen niedostatecznych i stanowczo zakazywał zdawania egzaminu poprawkowego u innego wykładowcy. Jeśli taka rzecz miała miejsce i obrotny student jakoś zdobywał pozwolenie na poprawkę u dowolnego wykładowcy, byle nie u profesora Wakara, Władimir Siergiejewicz kwestionował wyniki egzaminu i uparcie maglował spryciarza ze wszystkich tematów z zakresu taktyki specjalnej, dopóki się nie przekonał, że prawdo podobieństwo popełnienia tego samego błędu jest znikome.

Dzisiaj był nad podziw wyrozumiały i choć jak zwykle ocen celujących postawił niewiele, jedynka była rzeczywiście tylko jedna. Dzisiaj zauważył, że jego przyszła ofiara go śledzi. To był naprawdę niezwykły dzień.

– Jestem dzisiaj dobry – uśmiechnął się do Weroniki. – Może położenie planet jest sprzyjające, a i studenci odpowiadali

wyjątkowo przyzwoicie.

Po powrocie do gabinetu zdjął generalski mundur i przebrał się w cywilne ubranie. Chwilę pomyślał, znowu się rozebrał, powiesił garnitur do szafy, włożył dres i zszedł do siłowni.

– Panie generale! – Instruktor metodyk wyprężył się przed nim jak struna.

– Dobry wieczór – kiwnął głową Wakar i szybko poszedł w odległy koniec sali, gdzie stały makiwary.

Zadawał ciosy i starał się uchylić przed mnóstwem imitatorów rąk i nóg, które usiłowały trafić go w głowę, w ramiona, w nogi. Jego wytrenowane ręce nie czuły bólu przy kontakcie z twardą drewnianą powierzchnią makiwary, nogi automatycznie wykonywały sprężyste ruchy, by usunąć elastyczne ciało z zasięgu podstępnych przyrządów, a oczy niestrudzenie utrzymywały w polu widzenia wszystkie źródła zagrożenia.

Dzisiaj wszystko się zmieniło. Przed Władimirem Wakarem pojawił się przeciwnik. Nie bezwolna ofiara, nie zalany w sztok alkoholik, nie głupi i łatwowierny łajdak szantażysta, nie cichy i niczego niepodejrzewający księgowy, ale prawdziwy przeciwnik. Okrutny zabójca, który wie, że urządzono na niego polowanie, i pragnie pierwszy zaatakować myśliwego. Wakar widział, jak Jerochin zwabił młodego milicjanta na budowę i wyszedł stamtąd sam. Wówczas generał nie poszedł za Igorem, tylko pozostał koło metra i po pewnym czasie zajrzał na ogrodzony teren. To, co zobaczył, potwierdziło jego podejrzenia. Tylko z jednego powodu nikomu o tym nie powiedział: żeby nikt nie skojarzył ich nazwisk i nie wyszła na jaw tajemnica trzech poprzednich zabójstw. Poza tym

bał się, że jeśli Igor odpowie za zabójstwo milicjanta, on, Wakar, nie będzie mógł spełnić swego obowiązku wobec Eleny i Lizy i dom ponownie pogrąży się w wiecznej, przytłaczającej żałobie, której miał już dość.

Wakar uderzał w makiwarę, widząc przed sobą znenawidzoną twarz Jerochina. Elena dała mu jeszcze czternaście dni, z których dwa już minęły. Jeśli nie zdąży, to może stracić żonę, która w swoim maniakalnym uporze na pewno postąpi według swego widzimisie i wynajmie jakiegoś typa spod ciemnej gwiazdy, a ten pociągnie ją za sobą na ławę oskarżonych. W takt zadawanych ciosów, szybkich skoków i uników Władimir Siergiejewicz powtarzał sobie, że musi zdążyć. Teraz całkowicie panuje nad sytuacją, nie czeka potulnie, aż Jerochin zdecyduje się nocować u swojej wybranki i wczesnym rankiem będzie szedł przez odludny teren. Nie, teraz wszystko jest w rękach Wakara. Jeśli Jerochin go śledzi, pójdzie za nim jak ciele za krową. Nietrudno będzie zwabić go tam, gdzie Władimir Siergiejewicz będzie mógł skończyć wreszcie całą tę historię.

Po treningu Wakar udał się pod prysznic. Stojąc pod chłodnym strumieniem wody, odczuwał przyjemne zmęczenie mięśni i z satysfakcją zauważył, że wcale nie ma zadyszki. Generał Wakar był w doskonałej formie.

Wiktor Kostyria nie od razu pojął, dlaczego się zbudził. Na świecącej tarczy elektronicznego zegarka jarzyły się zielone cyfry 4.00. Znowu zamknął oczy, i w tym samym momencie usłyszał dzwonek do drzwi.

– Co tak leżysz? – wymamrotała przez sen jego kolejna przyjaciółka, przewracając się na drugi bok. – Już drugi raz ktoś dzwoni. Kogo tam diabli do ciebie niosą po nocy?

Kostyria szybko wciągnął spodenki, wyszedł do przedpokoju i przywarł do wizjera. Klatka schodowa była dobrze oświetlona, i przez wizjer zobaczył zniekształconą w soczewce kobiecą twarz.

– Kto tam? – zapytał ostrożnie.

– Otwórz, Kostyl, musimy zamienić dwa słowa – rozległ się damski głos. – Otwieraj, nic się nie bój.

Wiktor zarzucił łańcuch i szcęknął zamkiem. Stała przed nim młoda kobieta, przyobleczona od stóp do głów w jaskrawoczerwoną skórę. Gęsta szopa długich, czarnych loków była ściągnięta czerwoną przepaską. Górne guziki kurtki były rozpięte, i dobrze widział wiszący na szyi gruby złoty łańcuszek z dużym wisior kiem w kształcie kwiatka. Wiktor zauważył nawet, że jeden płatek był ułamany.

Kobieta nie poczyniła najmniejszej próby, żeby wejść do mieszkania. Jak gdyby nawet nie zauważała, że drzwi są zabezpieczone łańcuchem.

– Słuchaj, Kostyl – powiedziała cicho. – Zostaw dziewczynę w spokoju. Mamy z nią swoje sprawy i porachunki, a ty się płaczesz pod nogami i cały czas przeszkadzasz. Nie potrzebujemy zbędnych

świadców. Zapamiętaj to sobie. Jak się będziesz za nią włóczył, wpakujesz się w niezłą kabałę, a potem – prościutko na tamten świat. Obie drogi są krótkie, nie zdążysz się rozpędzić – a tu już koniec. Chwytasz?

Kostyria milczał stropiony.

– I jeszcze coś, kochany – ciągnęła nieznajoma jak gdyby nigdy nic. – Jak rozumiem, komuś podlegasz. Zrobisz, co ci każą. Dlatego przekaz szefowi moje słowa, do niego też się one odnoszą, a żeby ci uwierzył, masz tu moje zdjęcie. Niech się przed snem delektuje. I niech dobrze mnie zapamięta i nie próbuje stanąć mi jeszcze kiedyś na drodze.

Cisnęła Wiktorowi pod nogi białą kopertę, odwróciła się i szybko pobiegła schodami w dół. Najbardziej uderzył go fakt, że nie słyszał jej kroków. Poruszała się całkowicie bezszelestnie. Jak tylko zniknęła z pola widzenia, Kostyria odniósł wrażenie, że się rozplynęła w powietrzu.

Nogi miał jak z waty, gdy wrócił do pokoju. Usiadł na łóżku i zapalił papierosa. Przyjaciółka mocno spała, odwrócona do ściany. Niech to diabli wezmą, czyżby pomylił się co do dziewczyny? Przecież był pewny, że jest czysta, a tamten wypadek w sklepie, kiedy wymknęła się spod obserwacji, oceniał jako niemiłą przykrość.

Jego rozmyślania przerwał ogłuszający dzwonek telefonu.

– Będzie wreszcie spokój w tym domu czy nie? – zajęczała dziewczyna, wciskając głowę głębiej w poduszki.

Dzwonił Surik. Głos miał taki, jakby właśnie zobaczył ducha.

– Kostyl, przed chwilą miałem wizytę.

- Czyją? – spytał Wiktor, czując obrzydliwe ssanie w dołku.
- Jakaś baba, cała w czerwonym. Koszmar. Mówi, że mamy się odczepić od dziewczyny, bo inaczej nas wykończą.
- Kiedy u ciebie była?
- Dopiero co. Kostyl, co robimy? Trzeba zadzwonić do Artioma...
- Pytam, kiedy u ciebie była? – wolno powtórzył Wiktor. – Zastanów się.
- A nad czym się tu zastanawiać? – pisnął Surik. – Mówię ci: dopiero co. Kiedy otwierałem drzwi, spojrzałem na zegarek, była równo czwarta, a teraz jest dziesięć po.
- A zdjęcie ci zostawiła? – zapytał Kostyria, nie pojmując sam, o co pyta, bo to, o co pytał, nie mieściło się po prostu w głowie.
- A... ty... skąd wiesz? – jęknął Udunian.
- Do diabła, co to było? Przywidzenie, czy co? U mnie też była kobieta. I też dokładnie o czwartej. Twoja jak wyglądała?
- No jak... Cała w czerwonej skórce, włosy czarne, na głowie ni to wstążka, ni to opaska, też czerwona. Guziki na górze rozpięte, cycki na wierzchu. Więcej nic nie widziałem, strasznie się przeraziłem.
- Co mówiła?
- Że mamy przestać chodzić za dziewczyną, przeszkadzamy im. Mają tam swoje porachunki, nie potrzebują świadków.
- O drodze mówiła?
- Mówiła.
- A o szefie?
- Mówiła. Powiedziała: „przekaż swojemu szefowi”.

– Wszystko kropka w kropkę tak samo – westchnął Kostyria. –
Może mamy zwidy?

– A zdjęcie? – rozsądnie zaproponował Surik. – Leży przede mną,
mogę go przecież dotknąć.

– Słuchaj, a może to jednak były inne baby, co? – spytał z
nadzieją Wiktor. – Spotkajmy się i porównajmy zdjęcia.

– Dobra – zgodził się chętnie Udunian. – Ty przyjedziesz do mnie,
czy ja do ciebie?

– Lepiej ja do ciebie – szybko odparł Kostyria, który nie mógł
wyrzucić swojej przyjaciółki w środku nocy na ulicę, ale
wtajemniczać jej w swoje problemy, omawiając je z Surikiem, też
nie chciał.

Ubrał się już i miał napisać do dziewczyny kartkę z wyjaśnieniem,
gdzie ma zostawić klucz, jeśli on długo nie wróci, gdy telefon
zadzwoił ponownie. To znowu był Surik, i tym razem głos miał
całkiem przybity.

– Kostyl, przed chwilą dzwonił do mnie Igor. On też.

– Niech to szlag! – zaklął ze złością Wiktor. – Co się z nami
dzieje? Ja mieszkam w Bielajewie, ty – w Marjinej Roszczy, Igor –
przy Dworcu Rzecznym. Pustymi ulicami najlepszym samochodem,
tak czy owak wychodzi co najmniej dwadzieścia minut. Jak to
możliwe?

– Nie wiem – wyszeptał Surik – Kostyl, mam pietra.

– Powiedziałaś Igorowi, że do ciebie jadę?

– Tak, on też zaraz przyjedzie. Kostyl, przyjeżdżaj jak najprędzej,
nie mogę, zaraz zwariuję – niemal płakał.

– Dobra, trzymaj się, zaraz będę.

Po półgodzinie siedzieli we trójkę u Surika w ogromnym czteropokojowym mieszkaniu, które ten wynajmował za horrendalne pieniądze. Przed nimi na stole leżały trzy fotografie. Zdjęcia były różne, ale przedstawiały jedną i tę samą kobietę. Tę samą, która godzinę temu w tej samej chwili odwiedziła wszystkich trzech.

– To ona – orzekł stanowczo Jerochin, po kolei przestudiowawszy trzy fotografie.

– Faktycznie, ona – przytaknął z przygnębieniem Surik. Jego ogromne jasne oczy zmętniały ze strachu. Miał jeszcze świeżo w pamięci spotkanie z nieboszczykiem, a teraz to... Niech ci dwaj kretyni próbują coś z tego zrozumieć, bo on, Udunian, nie ma już wątpliwości. Przekłęci ateści zamęcili ludziom w głowach, Boga nie ma, diabła nie ma, cuda się nie zdarzają, martwi z grobów nie wstają... Akurat, nie ma, nie zdarzają się! Nie ma sensu tego słuchać! Wszystko jest i wszystko się zdarza. Każdy niewinnie zamordowany się mści, tylko nie każdy jest w stanie to pojąć. On, Suren, pojął, a Igor i Kostyl – nie.

– To jakaś ch... – odezwał się Kostyria. – To się nie zdarza. W szkole nas uczono, że to jest niemożliwe.

– A co ty tam możesz pamiętać, co było w szkole – smętnie odgryzł się Jerochin. – Półtorej klasy i pięć korytarzy – to cała twoja szkoła.

– Aha, śmieję się, śmieję. Doigrasz się w końcu. Po czym poznać głupiego? Po śmiechu jego – rozzłościł się Kostyria. – Jak jesteś taki mądry, to powiedz, co mamy teraz zrobić?

– Trzeba jechać do Artioma – rzekł zdecydowanie Igor. – Nie możemy tego przed nim ukrywać. A jeśli naprawdę nastąpiliśmy komuś na odcisk? Niech ruszy głową.

– A jak pomyśli, że wszyscy zbzikowaliśmy? Strasznie jesteś szybki, Igorku, wszystko jest dla ciebie proste, byle drobiazg – i do Artioma, niech ruszy głową. A po jakie лихо Artiomowi tacy pomocnicy, którzy sami nie mogą podjąć żadnej decyzji i biegają do niego z każdym głupstwem. Trzej zdrowi faceci, a przestraszyli się zjawy. Nie możemy mu się przyznać do słabości. Raz, drugi, a potem odstawi nas od koryta, i żegnaj, forso. Nie przyszło ci to do głowy?

Igor z ciekawością popatrzył na Kostyrę. No proszę, ma własne zdanie, i to jeszcze jakie! Martwi się, że szef źle o nim pomyśli. Coś takiego, jak to się ludzie nagle odsłaniają. A przecież znają się od dawna, dla wszystkich Kostyl to Kostyl, ani lepszy, ani gorszy od innych, średnio rozgarnięty, średnio sumienny, średnio ostrożny, zresztą nie, ostrożny nawet ponad miarę, ale to akurat nie jest wadą. Nigdy nie szpanował, nie podskakiwał, nie wychylał się – a tu proszę. Okazało się, że ma honor. A może jest chciwy i obawia się, że może stracić zysk? Chyba prędzej to drugie. Dlaczego ludzie nie rozumieją, że kiedy mowa jest o interesach, trzeba zapomnieć o honorze!

– A co ty powiesz, Surik? – zwrócił się Jerochin do kompletnie zgaszonego kumpla.

Ten podniósł na Igora oczy pełne cierpienia, które już nie rozpromieniały jego twarzy czystym światłem anielskiej niewinności, ale wyglądały jak zarośnięte sadzawki z ciemną stojącą wodą.

– Trzeba jechać – powiedział krótko.

ROZDZIAŁ 9

1

Irina Rieznikowa włożyła odświętny haftowany fartuch na elegancki domowy komplet, składający się z jedwabnych ciemnozielonych spodni i bluzki w delikatnym seledynowym odcieniu, i zaczęła przygotowywać kolację. Artiom był zawsze wymagający, jeśli chodzi o jedzenie, a ona ze wszystkich sił starała się mu dogodzić.

Czary i tyle, myślała Irina, krojąc w cienkie krążki cebulę i dodając cukier do rozcieńczonego octu. Kiedyś, wiele lat temu, myślała, że uczyniła z młodego niezdarnego okularnika najszcześliwszego człowieka na świecie, zgadzając się go poślubić i pozwalając zaadoptować jej przyszłe dziecko. Kiedy w klinice położniczej pierwszy raz przyniesiono jej malca, ze zdumieniem odkryła na jego plecach malutkie znamię w kształcie bobu. Dokładnie takie samo znamię i w tym samym miejscu, między łopatkami, miał Artiom. Irina wysiliła nieco pamięć i przypomniała sobie, że istotnie kiedyś wezwała Artioma, żeby naprawił zepsuty magnetofon, a zrewanżowała się jak zwykle, w naturze. Była wtedy nieźle wstawiona, jak zresztą zawsze, gdy wpuszczała Artioma do łóżka, na trzeźwo nigdy tego nie robiła. I dlaczego, dowiedziawszy

się o swojej ciąży, była tak pewna, że ojcem dziecka jest jej piękny książę? Prawdopodobnie sama po prostu tego pragnęła. Ani razu przez całe dziewięć miesięcy myśl o ewentualnym ojcostwie śmiesznego zakochanego sąsiada nawet jej nie przyszła do głowy.

Irina postanowiła zaczekać z niespodzianką do czasu opuszczenia kliniki. Z uśmiechem wspominała, jakie zdziwione twarze miały salowe na widok śmiejącej się do rozpuku pary, obejmującej się przed wejściem do szpitala. Artiom wysiadł z samochodu trochę spięty, z olbrzymim bukietem kwiatów, nieśmiało spoglądając na pielęgniarkę z niemowlakiem na rękach, stojącą obok jego żony. Irina podeszła do niego szybko i powiedziała kilka słów. Artiom najpierw zamarł, potem nagle zaniósł się niepohamowanym śmiechem. Irina też zaczęła się śmiać. I tak stali roześmiani, szczęśliwi, zdawało się, że nie pamiętają nawet o synu.

I kto by mógł wtedy pomyśleć, że Irina zostanie wspanią żoną, będzie czule nadskakiwać mężowi i codziennie obmyślać dla niego składające się z trzech posiłków restauracyjne menu. Sama również się nie spodziewała, że takie życie będzie sprawiać jej przyjemność. Co prawda, trzeba oddać sprawiedliwość Artiomowi, w rekompensacie za jej krzątanie po domu urządzał jej prawdziwe święta, woził za granicę na wypoczynek, kupował luksusowe ciuchy i wprowadzał „w świat”. Nie, cokolwiek by mówić, ale skarżyć się Irina Rieznikowa nie miała powodu. A czekało ją życie jeszcze wygodniejsze, jeszcze lepiej urządzone, bogatsze...

Po zamarynowaniu cebuli zabrała się do czyszczenia tłustego aromatycznego śledzia. W czasie kolacji Artiom lubił wypić kieliszek dobrej wódki, tylko jeden, nigdy nie pozwalał sobie na więcej, ale do tego jedyne kieliszka przystawka musiała być

„najwyższej klasy”. Zamierzała podać mu jeszcze faszerowaną paprykę, na gorąco – jesiotra z grila, a do herbaty – kulebiak z kapustą. Będzie zadowolony.

– Misiaczkule, weź lekarstwo, za pół godziny siadamy do kolacji! – krzyknęła Irina, pilnując skrupulatnie, aby mąż ściśle przestrzegał zaleceń lekarzy.

Po półgodzinie Artiom usiadł przy stole, wypił w milczeniu, zagryzł śledzikiem i zabrał się do papryki. Irina wywnioskowała z jego milczenia, że ma zamiar omówić z nią coś ważnego.

– Misiaczkule, wszystko u nas w porządku? – zaczęła ostrożnie.

– Nie jestem pewien. Dzisiaj dzwonił Siowa, zaczyna się denerwować.

– Dlaczego?

– Chce pieniędzy. Gdyby coś się stało, jest pierwszy z brzegu, najpierw od niego zażądają spłaty rachunku. No to chce się jak najprędzej nachapać, póki nie ma związanych rąk. Klient też mnie ponagla, oni też się śpieszą. Grozi, że znajdzie innego dostawcę, jeśli ja wypadnę z gry. Jednym słowem, przyciskają mnie ze wszystkich stron! Idioci! – W gniewie stuknął widelcem w stół. – Chciwość gubi ludzi.

– I co teraz, Tiomuszka? Może nie ma sensu dłużej czekać? Co chłopcy mówią?

– Nasi chłopcy po prostu bredzą, i tyle. Z tą dziewczyną ze sklepu to jakaś kompletna bzdura. Wygląda na to, że nie ma nic wspólnego z naszymi sprawami, a my przez pomyłkę wdepnęliśmy w jakieś gówno. Albo nasi chłopcy urządzili sobie z nami zabawę. Jakoś nie wierzę w tę historię z kobietą, która jednocześnie objawiła się

wszystkim trzem. Jestem twardym materialistą, kotku, w przywidzenia nie wierzę i w teleportację też. Widziałem fotografie, które niby to im zostawiła, rozmawiałem z każdym z nich osobno i wyobraź sobie, wszystko się zgadza w najdrobniejszych szczegółach. Nawet ułamany płatek w jej wisiorku. Albo tak starannie przygotowali cały ten kit, albo to jakaś diabelska sprawka. Ale ponieważ diabła nie ma, pozostaje tylko jedno. I nie podoba mi się to.

– I co postanowiłeś?

– Poczekać jeszcze jakieś dwa, trzy dni. Życie przecież nie ma ceny, prawda, kotku?

– Myślisz, że za trzy dni sytuacja się wyjaśni?

– Na pewno – odparł stanowczo Artiom.

2

– Nie rozumiem, po co to wszystko urządzasz! – Aleksander Kamieński prawie krzyczał na siostrę. – I chcę, żebyś albo wytłumaczyła mi dokładnie, co się dzieje, albo przyznała, że tylko mącisz mi w głowie.

Otulona szalem Nastia siedziała w kącie pokoju, umościwszy się z nogami w swoim ulubionym fotelu. W mieszkaniu było bez przerwy zimno, bo z roku na rok odkładała uszczelnianie olbrzymich szpar

między drzwiami balkonowymi a futryną, a kaloryfery grzały kiepsko.

Cierpliwie słuchała wzburzonego brata, zdając sobie sprawę, że trzeba mu będzie wszystko wyjaśnić, a na rozmowę nie miała ochoty, po prostu nie miała na to ani sił, ani czasu.

– No co się tak wkurzasz? – rzekła pojednawczo. – Wykonuję swoje zawodowe obowiązki, od ciebie nikt niczego nie żąda. Sasza, na miłość boską, uspokój się i daj mi pracować.

– No właśnie, pracować! – wykrzyknął znowu. Jego blada twarz poczerwieniała z gniewu, potargane jasne włosy sterczały na wszystkie strony. – I po tym wszystkim chcesz, żebym ci wierzył.

– Nie rozumiem – Nastia ze zdziwieniem uniosła brwi. – Od jakiego to czasu chęć do pracy budzi twoją nieufność? Czyżby to była oznaka zakłamania i obłudy?

– Dobra, zacznijmy od początku. Przyszedłem do ciebie ze swoim problemem. Tak?

– Tak.

– Problem polegał na tym, że zachowanie mojej kochanki wydało mi się podejrzane. Znałem ją najwyżej dwa miesiące, więc to zupełnie oczywiste, że nie byłem pewien jej uczciwości. Dlatego poprosiłem cię, abys mi pomogła zbadać, czy moja kochanka nie jest przypadkiem zwykłą kryminalistką naganiaczką. Tak?

– To prawda. – Znowu skinęła głową. Interesowały ją wywody brata, który odznaczał się wyraźnym zamiłowaniem do konsekwentnego i logicznego rozumowania, i to jej się podobało. Obserwując Aleksandra, nie przestawała się dziwić, jak bardzo są do siebie podobni, nie tylko zewnątrz. Może jest nieco bardziej

oschły, cyniczny, zimny... Chociaż jej samej też nikt nie mógłby zarzucić sentymentalizmu czy dobroci.

– Dowiedziałas się – ciągnął brat – że Daria nie jest kryminalistką. Dziękuję ci za to, oddałaś mi wielką przysługę. Teraz mogę spokojnie patrzeć w oczy swoim przyjaciołom i bez obawy ich odwiedzać razem ze swoją przyjaciółką, bo dzięki tobie mam pewność, że nie przyprowadziłem im do domu przestępczyni. I to wszystko.

– No i co? – spytała zniecierpliwiona Nastia. – Co dalej?

– To już raczej ty powinnaś mi wyjaśnić, co dalej – zawołał porywczo Aleksander. – W moim rozumieniu na tym wszystko powinno się skończyć, ale ciągle coś się dzieje, a teraz jeszcze mi mówisz, że Daszce grozi jakieś niebezpieczeństwo. Jak mam to rozumieć?

Nastia wyciągnęła nogi, czując, jak ścierpły jej mięśnie. W stopy i kostki od razu uderzyło wilgotne zimne powietrze, przedostające się podstępnie spod balkonowych drzwi. Ściągnęła z kanapy brązowy kraciasty pled i narzuciła go na kolana, zakrywając nogi do samej ziemi.

– Sasza – powiedziała zmęczona – wykonuję swoją pracę. Rozwiązuję zadania, odgaduję zagadki, grzebię się w cudzych tajemnicach. Taką mam pracę, rozumiesz? Dlaczego tak cię to niepokoi?

– Dlatego, że sprawa nie jest warta funta kłaków. I jak mam rozumieć to wszystko? – Wskazał ręką na stosy kaset audio i wideo porozrzucanych koło telewizora. – Skąd taki zalew informacji?

Zebranie tylu informacji przerasta twoje możliwości. To znaczy, że nad tą sprawą pracują też inni ludzie.

– Zgadza się, pracują – przytaknęła Nastia z westchnieniem. – I co z tego? Widzę, że masz własną hipotezę. Jestem gotowa jej wysłuchać.

– Moja hipoteza polega na tym, że z Darią to jakaś nieczysta sprawa. Próbujesz ją „rozgryźć”, ale mi o tym nie mówisz, bo jeśli się dowiem, że jest związana z przestępcami, to natychmiast z nią zerwę i nie będziesz miała do niej żadnego dojścia. Dopóki jest kochanką twego brata, możesz się z nią kontaktować, nie wzbudzając jej podejrzeń. Jak tylko stanie się dla ciebie obca, nie będziesz miała pretekstu, aby się z nią spotykać. Albo bierzesz mnie za głupka i sądzisz, że jeśli podzielisz się ze mną informacją, to natychmiast wychlapię o tym Daszy. Przecież jeśli nad sprawą pracują razem z tobą inni ludzie, to znaczy, że sprawa faktycznie jest. Możesz mnie zabić, ale nie uwierzę, że u was na Pietrowce pracują sami entuzjaści, którzy wykonują robotę z ciekawości albo chęci wyświadczenia osobistej przysługi. Skoro ludzie pracują, to znaczy, że takie mają polecenie i badają jakąś prawdziwą kryminalną sprawę. Czyż nie mam prawa o tym wiedzieć?

– Nie masz. – Nastia uśmiechnęła się rozbrajająco. – Nie masz, Saszeńka. Na tym polega urok mojej pracy. Zechcę – to powiem, nie zechcę – nie miej mi za złe, ale żądać informacji od pracownika wydziału kryminalnego może tylko jego szef. I to nie zawsze. Mamy prawo do milczenia. Nie wiedziałeś o tym?

– To znaczy, że masz o czym milczeć?

– No, detektyw zawsze ma coś do ukrycia – roześmiała się. – A co, rzeczywiście mógłbyś tak lekko rzucić Daszę?

– Pewnie, że mógłbym. – Sasza wzruszył ramionami. – Jeśli się dowiem, że jest związana z przestępcami, zrobię to natychmiast.

– Ona jest w ciąży – powiedziała nagle Nastia, wpatrując się badawczo w twarz brata.

– Tak? – Jego głos prawie się nie zmienił. – No cóż, zrobi skrobankę. Dzięki Bogu, teraz to nie stanowi żadnego problemu.

– Jesteś idiotą! – wybuchnęła. – Jesteś głupim, zadufanym w sobie egoistą. Przecież ona cię kocha, kocha! Jesteś w stanie to zrozumieć? Kocha cię i chce urodzić twoje dziecko. Jest zupełnie czysta, nie jest zamieszana w żadną aferę kryminalną, jest cudowną, odważną, wspaniałą dziewczyną. Miałeś nieziemskie szczęście, że cię pokochała. A ty pleciesz jakieś bzdury, nazywasz ją kochanką, kryminalistką, mówisz o niej tak, jakbyś miał jednocześnie pięć przyjaciółek, a ona była jedną z pięciu zupełnie jednakowych i nic dla ciebie nieznaczących kobiet. Wielka mi rzecz, jedna więcej – jedna mniej! Może nikt nigdy nie będzie cię kochać tak jak ona. To przecież właśnie to, czego ci tak brakowało i czego tak naprawdę potrzebujesz najbardziej na świecie. Sam zapędziłeś się w kozi róg, wbiłeś sobie do głowy jakieś głupstwa, ożeniłeś się bez miłości, przekonany, że los cię skrzywdził. Dokąd ci było tak spieszo? Gdzie tak gnałeś? Dlaczego nie poczekałeś, nie dałeś sobie szansy na znalezienie SWOJEJ kobiety? Co, świat by się przewrócił do góry nogami, gdybyś ożenił się w wieku nie dwudziestu dwóch, ale trzydziestu dwóch lat? W twoim idiotycznym biznesie panuje przekonanie, że człowiek z rodziną to człowiek solidny, któremu można ufać. Zdobywałeś swoją renome, i w rezultacie w wieku

dwudziestu sześciu lat masz kupę pieniędzy i taką samą kupę kompleksów, i gotów jesteś złożyć im w ofierze kochającą cię kobietę. Do tego dążyłeś?

No i po co ja to robię? – powstrzymywała się w myślach Nastia. – Przecież to okrutne. Trzeba było rozmawiać z nim oględniej. Albo w ogóle nie rozmawiać. Co mnie obchodzą jego przeżycia miłosne? Co mnie obchodzi, czy rzuci Daszkę, czy nie? Ale przecież jest moim bratem. I martwię się o niego. Chociaż w gruncie rzeczy jaki z niego brat? Znam go zaledwie od paru dni. Ale jest taki do mnie podobny...

Aleksander stał odwrócony do okna.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? – zapytał głucho, nie odwracając się.

– Nie wierz, jeśli nie chcesz – już spokojniej rzekła Nastia. – Dogadajmy się w końcu. Albo mi wie rzysz i pomagasz, albo nie wierzysz i nie przeszkadzasz. Wybieraj.

– Mogę ci powiedzieć to samo – odparł Sasza. – Albo mi ufasz i opowiadasz, co się dzieje, albo...

– Uhm – mruknęła Nastia – albo zaczynasz mi przeszkadzać i szkodzić. Kamiński, w moim życiu był tylko jeden człowiek, któremu się udało mnie zastraszyć i narzucić swoją wolę. Powiem ci szczerze, porządnie się go bałam. Ale jednak go przechytryłam. Nie możesz się z nim równać, więc nie groź mi, dobrze? Skończmy te kłótnie. I tak będę robić to, co uważam za słuszne. Nawet mój szef mi na to pozwala, a on jest wywiadowcą z trzydziestoletnim stażem i w naszej robocie orientuje się o wiele lepiej ode mnie.

Brat wciąż stał odwrócony do niej plecami i Nastia nagle zauważyła, że drżą mu ramiona.

– Sasza, o co chodzi? – zapytała przestraszona. – Co się stało? Sasza!

Zerwała się z fotela, podeszła do niego i odwróciła go do siebie. Na jego zmienionej twarzy malowała się udręka, oczy były pełne powstrzymywanych z trudem łez.

– Saszeńka, coś ty? Obraziłam cię? Nie gniewaj się, kochany, no i dlaczego ty się tym tak przejmujesz? To z powodu Daszy?

W milczeniu skinął głową i jakoś głucho, gardłowo zaszlochał.

– Co mam teraz robić? – wyszeptał ochryple, dławiąc się łzami. – Nie mogę rzucić żony, bo nie mogę się wyrzec Katuszki. Nie mogę. Jeżeli mnie nie oszukujesz i Daszka naprawdę mnie kocha i zamierza urodzić dziecko, to powinienem dokonać wyboru. Boże, no i po co mi to wszystko powiedziałaś! – zajęczał. – Tak chcę, żeby ktoś mnie kochał. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak tego pragnę. Dla kobiety, która by mnie kochała, jestem gotów oddać wszystko. Wszystko, oprócz córki. Ale byłem pewien, że nigdy w życiu nie będę musiał rozwiązywać tego problemu, po prostu dlatego, że takiej kobiety nie ma na świecie.

– Czyż można wiedzieć z góry? – powiedziała cicho Nastia. – Życie dlatego jest piękne, że stale sprawia niespodzianki. A ty dobrowolnie to utraciłeś, bo uważałeś się za mądrego, doświadczonego i wszystko przewidziałeś. Nie mogę dawać ci rad. O wszystkim musisz zdecydować sam.

– Ale nie wiem jak – odparł żałośnie.

– Ja też nie wiem.

Brat wyszedł przygnębiony. Nie tylko przygnębiony, ale zdruzgotany. Był jeszcze bardzo młody, a moralny wybór nigdy nie jest łatwy. Zamykając za nim drzwi, Nastia myślała, że duże pieniądze nie czynią człowieka dojrzałym i mądrzejszym, na odwrót, nierzadko uwalniają od konieczności rozwiązywania problemów, co czyni ludzi dojrzałymi i mądrzejszymi. To tak samo jakby nosić stale okulary nawet przy bardzo małej krótkowzroczności: oko przerzuca swoją pracę na soczewkę, i bez obciążenia cały system stopniowo zanika, a krótkowzroczność się pogłębia.

3

Wiktor Kostyria szedł za Daszą stałą, dobrze znaną trasą prowadzącą z uczelni do domu. Że też nie boi się wracać sama tak późno, dziwił się, kolejny już raz „odprowadzając” dziewczynę ciemnymi, źle oświetlonymi ulicami. Do tego błoto na chodnikach jest takie, że w razie niebezpieczeństwa nie da się szybko biec: cały czas trzeba patrzeć pod nogi. Ludzi o dwunastej w nocy też na ulicy nie ma.

Dziewczyna nie była dzisiaj taka spokojna jak poprzednio. Zwykle chodziła średnim tempem, nie spieszyła się, nie oglądała i, jak wynikało z oceny Kostyri, nie „pilnowała się”. A dzisiaj krok miała nierówny, jakby coś ją niepokoiło, chociaż mogło to być po prostu niewygodne obuwie albo zły nastrój.

Wiktor trzymał się w przyzwoitej odległości, tym bardziej że wzrok miał dobry, tylko pozazdrościć. Przejeżdżający obok z dużą prędkością samochód opryskał go strugami paskudnej, brudnej wody, Wiktor wysyczał za nim takie samo brudne przekleństwo. Nagle zastygł w bezruchu. Tuż koło idącej przed nim dziewczyny z piskiem hamulców zatrzymał się jakiś samochód. Dasza przyspieszyła kroku, ale z samochodu wyskoczyło dwóch napakowanych osiłków. Jeden schwycił ją z tyłu za kark, drugi wyciągnął z kieszeni pistolet i przycisnął jej lufę do brzucha. Wszystko działo się szybko i całkiem bezdźwięcznie, Wiktorowi wydawało się, że ogląda niemy film. Wcisnąwszy się plecami w ścianę domu, starał się pozostać niezauważony i wlepił oczy w rozgrywającą się w oddali scenę. „Świadków nie potrzebujemy. Od świadka do nieboszczyka droga niedaleka...” Zbyt dobrze pamiętał słowa dziwnej kobiety w czerwonym kostiumie, żeby ryzykować teraz ujawnienie swojej obecności.

Daszę zawleczono do samochodu. Trzasnęły drzwiczki. Wszystko się skończyło.

Wiktor odczekał jeszcze trochę i ruszył ostrożnie. Zatrzymał się w miejscu, gdzie dopiero co stała Dasza, wyjął kieszonkową latarkę. Na ziemi była krew. Nie miał żadnych wątpliwości, że była to krew. Dlaczego zatem nie słyszał wystrzału? Dlatego że pistolet był z tłumikiem? Tak, na pewno. A to ci historia...

4

Nastia znowu przewinęła taśmę i włączyła odtwarzanie. No i dlaczego ten epizod koło bazaru w Końkowie nie daje jej spokoju? Chyba po raz setny oglądała nagranie i ciągle nie mogła pojąć, dlaczego nie opuszcza jej ostre uczucie niepokoju. Co więcej, uczucie to nie mijało, lecz nasilało się, a jego przyczyna ponownie jej umykała.

Oczy ją bolały od ciągłego wyteżania, głowa zaczęła pękać. Wyszła do kuchni, gdzie Losza Czistiakow stawiał spokojnie pasjansa. Na kuchence pod pokrywką ogromnego garnka smakowicie bulgotała pieczeń.

– Jesteś głodna? – zapytał Losza, nie odrywając oczu od rozłożonej talii i przekładając czerwone na czarne.

– Na razie nie, głowa mnie tylko strasznie boli.

– To z głodu – oświadczył autorytatywnie profesor matematyki. – Trzeba coś zjeść, i zaraz przejdzie.

– Dobrze – zgodziła się smętnie. Może rzeczywiście tak będzie lepiej.

Leniwie dłużyła widelcem w talerzu, chociaż zwykle z dużym apetytem pochłaniała upichcone przez Loszę potrawy. Gotował naprawdę dobrze, a ona miała w kuchni dwie lewe ręce. A w dodatku to jej legendarne lenistwo...

– Loszyk, może byś spróbował mi pomóc? – zapytała ostrożnie, przekonana, że to z jej strony niewiarygodna bezczelność: mało, że

Loszka przywiózł do niej swój komputer i z tego powodu musi tutaj mieszkać, chociaż w Żukowskim jest mu na pewno wygodniej, no i do pracy ma bliżej, mało, że chodzi po zakupy, gotuje jej obiady i kolacje, to teraz ona zamierza oderwać go od wieczornego pasjansa, żeby spróbował jej pomóc. Każdy średniostatystyczny facet dawno już by mnie posłał razem z moimi „kompresami„ do wszystkich diabłów. Jak Loszka mnie znosi? Zdaje się, że użyłam jednego ze słówek Bokra. Coś podobnego, jak szybko się przyczepiają.

– A w czym problem? – spokojnie zainteresował się Czistiakow.

– Cały czas oglądam jedno nagranie i coś mi się w nim nie podoba. Nie mam pojęcia, o co chodzi. Ale oglądałam je już tyle razy, że „przetrenowałam" oczy. Potrzebuję świeżego spojrzenia.

– Na przykład mojego?

– Na przykład twojego. Pomożesz mi?

– A co mi innego pozostało – westchnął żartobliwie. – Niebezpiecznie jest ci odmawiać, co wieczór przychodzi do ciebie kryminalista, jeszcze się na mnie poskarżysz.

– Losza! – powiedziała z wyrzutem. – On nie jest żadnym kryminalistą. To stare sprawy. Bokr to bardzo sympatyczny człowiek.

– Aha, okropnie sympatyczny – przytaknął Losza. – Mały, okropny, z krzywym nosem, oczka wywraca i do tego jeszcze popiskuje. Skrzyżowanie Richarda Gere'a z Paulem Newmanem. No i odrobina z Fernandela. Nawiasem mówiąc, coś dzisiaj nie przyszedł. Ma wolne?

– Przyjdzie o jedenastej, a teraz jest dopiero za dziesięć dziesiąta.

– O jedenastej? A czemu nie o pierwszej w nocy? Albo o drugiej? Niechby został u nas na noc, skoro jest taki sympatyczny.

– Przestań, proszę – odparła Nastia, z trudem powstrzymując się od gniewu. – Moja praca wymaga pewnych poświęceń, i będę ci ogromnie wdzięczna, jeśli potrafisz się z nimi pogodzić.

Losza zawsze łatwo ustępował, jeśli sprawa nie wydawała mu się zasadnicza. Ta jego właściwość była nader cenna, jeśli wziąć pod uwagę niełatwy charakter jego przyjaciółki Anastazji Kamieńskiej.

– On mi się zwyczajnie nie podoba, i tyle. Może mi się ktoś nie podobać czy mam obowiązek lubić wszystkich jak leci? Wasze wybuchy radości doprowadzają mnie po prostu do białej gorączki, bo śmiejecie się razem jak nienormalni. Ze mną nigdy nie bywasz taka wesoła.

Jestem idiotką – pomyślała zła na siebie Nastia. – On jest zazdrosny, a ja mu prawie morały. Boże, dlaczego nie umiem być delikatna, dlaczego cały czas wszystkich obrażam? Najwyraźniej mam jakąś skazę moralną.

– Za to z tobą bywam kochająca. No, Loszyk, nie dąsaj się, chodźmy lepiej do pokoju obejrzeć nagranie.

Usadowili się blisko siebie na kanapie i zaczęli wpatrywać w ekran telewizora. Aby zachować obiektywizm eksperymentu, Nastia poprosiła Loszę, żeby obejrzał kilka kolejnych epizodów, przed sceną w Końkowie i po niej.

– No i co? Nie wydaje ci się, że w tym kawałku jest coś takiego, co wyróżnia go spośród pozostałych?

– Nie – Losza wzruszył ramionami. – Niczego takiego nie zauważyłem.

– Sztuczka się nie udała – skonstatowała ze smutkiem. – A tak liczyłam na twoje oczy...

Wyciągnęła z paczki papierosa i pstryknęła zapalniczką. Pojawiła się iskra, ale nie było płomienia. Pstryknęła niecierpliwie jeszcze kilka razy, ale ciągle bezskutecznie – skończył się gaz.

– Loszeńka, bądź tak dobry, w torebce powinnam mieć jeszcze jedną zapalniczkę – wymamrotała, ściskając wargami papierosa i nie odrywając oczu od ekranu, na którym znieruchomiał obraz Igora Jerochina przy stacji metra Końkowo.

Losza posłusznie się podniósł, wyszedł do przedpokoju i wrócił z zapalniczką. Rozległo się delikatne pstryknięcie, ręka Loszy zbliżyła się do papierosa z płomieniem...

I w tej sekundzie Nastia zrozumiała, dlaczego tak jej się nie podoba zastygły na ekranie kadr.

5

Bokr pojawił się dokładnie o jedenastej, jeszcze raz potwierdzając zaobserwowane przez Nastię przywiązanie ludzi Eduarda Pietrowicza Denisowa do punktualności i precyzji. W milczeniu wysłuchał zawyłych wyjaśnień Nasti, która do tej pory nie mogła opanować zdenerwowania.

– Proszę popatrzeć na tego człowieka – wskazała palcem na twarz mężczyzny na ekranie. – Widzę go już drugi raz. To chyba nie jest

zbieg okoliczności, bo za każdym razem pojawia się tam, gdzie Jerochin.

– A kiedy był pierwszy raz? Nie opowiadała mi pani o tym.

– To było, jeszcze zanim pan przyjechał. Dasza poskarżyła się, że jest śledzona. Postanowiłam przyjrzeć się uważniej jej prześladowcy, wyszłam ze sklepu i zatrzymałam się niedaleko. Nie mogłam znaleźć w torebce zapalniczki i stojący obok mężczyzna podał mi ogień. To był on. Niech pan pomyśli, Bokr, on nie przechodził obok, stał tam gdzie ja, to znaczy akurat w tym miejscu, skąd dobrze był widoczny Jerochin.

– Z tego wynika, że ten typ go śledzi. A może go ochrania?

– Oj, Bokr – schwyciła się za głowę – w ogóle już nie wiem, co myśleć. Mamy do czynienia z jakimś powszechnym śledzeniem: wszyscy śledzą wszystkich. Ale ten typ nie jest ochroniarzem, w przeciwnym razie by go pan namierzył. Oni przecież nigdzie nie pojawili się razem, to znaczy – w tym samym towarzystwie. Ani razu nie rozmawiali. A poza tym dobrze pamiętam, że jeszcze trochęostał koło mnie i poszedł, a Jerochin sterczał na Twerskiej prawie godzinę. Ochroniarz nie mógłby tak po prostu wziąć i opuścić swego posterunku.

– A więc musimy przyjąć, że naszego Igora, oprócz pani i mnie, obserwuje ktoś jeszcze. Tworzy się ciekawa epidersja. Czysty arcymonokl! Ma pani dla mnie jakieś instrukcje?

– Oczywiście. Tego człowieka trzeba znaleźć. Nie wiem jak, ale trzeba.

– To drobiazg, Anastazjo Pawłowno – Bokr machnął ręką. – Jeśli włóczy się za Jerochinem, złowimy go.

– A jeśli nie? Może wykonał już swoje zadanie i nie zamierza się więcej pokazywać koło Jerochina.

– Tfu, odstukać, jeszcze coś pani wykracze – Bokr roześmiał się piskliwie. – Mogę zagwarantować, że jeśli się pojawi, to będzie pani miała o nim informację najdalej po dwudziestu czterech godzinach. A jeśli się nie pojawi, to znajdziemy go w ciągu tygodnia.

– Jak pan to zrobi? Przecież to nierealne, Bokr.

– Anastazjo Pawłowno, nie znam takiego słowa. Znam słowa „trudny” czy „długi”. A takich słów jak „nierealny” czy „beznadziejny” nie mam w swoim słowniku. W dzieciństwie zapomniałem się ich nauczyć.

Na ułamek sekundy Nastia odniosła wrażenie, że zawodzi ją wzrok. Widziała przed sobą mądrego, silnego, pewnego siebie mężczyznę, trzeźwo oceniającego swoje możliwości, ze stanowczym, szczerym spojrzeniem, uczynnego i niezawodnego. I mężczyzna ów był piekielnie pociągający!

Zamrugła z zakłopotaniem, i w pokoju znowu pojawił się malutki śmieszny Bokr w długim, szarym płaszczu przemoczonym do suchej nitki i w kanarkowożółtych skarpetkach. „Złoty chłopiec” Eda Burgundzkiego.

Oczywiście, że go znaleźli. Nie dali rady w ciągu doby, zajęło im to jednak niecały tydzień, bo czwartego dnia poszukiwany mężczyzna znowu pojawił się niedaleko miejsca, gdzie w owej chwili znajdował się Igor Jerochin. Bokr sam się nim zajął.

Przejechał za nim niemal pół Moskwy, całe szczęście, że obiekt nie jeździł samochodem, tylko metrem. Bokr uznał, że miał nadzwyczajny fart, bo obserwacja zachowania ludzi w środkach komunikacji miejskiej dostarczała mu zawsze wiele ciekawych informacji. Zwracał uwagę na to, czy obserwowany obiekt stara się usiąść przy pierwszej okazji, czy woli jechać, stojąc, nawet jeśli są wolne miejsca; czy czyta, czy jest zaprzątnięty swoimi myślami, czy po prostu drzemie; czy przepuszcza kobiety i starszych, czy przedziera się przez tłum, rozpychając łokciami; czy stoi spokojnie na ruchomych schodach, czy idzie po stopniach, szczególnie podczas jazdy w górę; czy próbuje wsiąść do wagonu, z którego będzie mu potem wygodniej wysiadać, czy wchodzi do pierwszego lepszego; czy wyjmuje żeton do kasownika wcześniej, czy zatrzymuje się w najbardziej nieodpowiednim miejscu, obok kontrolera, i zaczyna gorączkowo grzebać w kieszeniach albo portmonetce, przeszkadzając potykającym się o niego pasażerom; czy daje jałmużnę tłoczącym się w przejściach biedakom; czy zatrzymuje się koło handlarzy gazetami i słodyczami, te i wiele innych cech pozwalało Bokrowi tworzyć psychologiczny portret człowieka.

Po wejściu do metra Bokr zwrócił uwagę, że mężczyzna nie wrzucił żetonu do kasownika, ale pokazał kontrolerowi jakiś dokument. Dlatego kiedy następnym razem trzeba było znowu wejść do metra, Bokr zręcznie go wyprzedził i stanął za plecami

kontrolera, wbijając wzrok w otwartą legitymację. Wystarczyła mu krótka chwila, żeby wyłapać nazwisko „Wakar” i słowa „Sztab Generalny”. Póki schody zjeżdżały płynnie w dół, Bokr rozmyślał, co powinien teraz zrobić, i po głębszym zastanowieniu postanowił, że trzeba pilnie zadzwonić do Kamieńskiej, nawet jeśli ucierpi na tym prowadzona obserwacja. Nazwisko zbyt rzadkie nawet jak na Moskwę, z całą pewnością będzie można odszukać tego mężczyznę przez biuro adresowe, przecież sądząc po „Sztacie Generalnym”, mężczyzna nie jest przyjezdnym. Wtedy też będzie można wznowić obserwację. Może samo nazwisko powie Kamieńskiej więcej niż wszystkie rezultaty wielogodzinnych obserwacji.

– Wakar? – w zamyśleniu powtórzyła Kamieńska, wysłuchawszy relacji Bokra. – Wakar, Wakar... Mój Boże, Andriej Wakar, osiemdziesiąty piąty rok. Miał jedenaście lat, kiedy zginął. Dobrze pamiętam tę sprawę, zaczynałam wtedy pracę w milicji, wszystko było nowe, ciekawe, toteż wrażenia zapadły mi w pamięć na długo. Czyżby to był jego ojciec? A może krewny?

– Ma około pięćdziesiątki – zauważył Bokr – ale widać to tylko z bliska. Postawny, zadbany, cho dzi lekkim krokiem, wbiega po schodach. A siwizna i zmarszczki – jak przystało na „pięćdziesiątkę”.

– Tak, przypominam sobie – zgodziła się – chociaż muszę uczciwie przyznać, że wtedy na Twerskiej specjalnie mu się nie przyglądałam. Podziękowałam za pomoc i to wszystko. Dobrze pan zrobił, że od razu do mnie zadzwonił. Ale wieczorem i tak czekam na pana.

Odłożywszy słuchawkę, Nastia rzuciła się do sejfu i z miejsca zorientowała się z rozpaczą, że wszystkie raporty analityczne za ostatnie dziesięć lat leżą u niej w domu. Po tym jak przepisała je do

komputera, słynna szara teczka z różowymi tasiemkami leżała pozostawiona w szufladzie biurka. Spojrzała na zegarek: wpół do trzeciej. Pączek z pewnością nie pozwoli jej teraz pójść do domu, dzisiaj wszyscy są zawałeni pracą. Ale do wieczora nie wytrzyma. Co by tu zrobić?

Przyskoczyła do telefonu, zaklinając los, żeby się okazało, że Loszka jest w domu. Miała szczęście.

– Loszyk, pracujesz?

– Tak jest, pani major.

– Mógłbyś otworzyć mój folder?

– Otworzyłem – rozległ się jego głos po kilku sekundach. – Co dalej?

– Dalej „RAPORT – ANALIZA – 1985”.

– Gotowe, wszedłem.

– Włącz wyszukiwanie kontekstowe.

– Włączyłem. Czego szukamy?

– WAKAR.

– Jak? – zapytał, nie dosłyszawszy. – Przeliteruj, proszę.

Przeliterowała.

– Mam go.

– Przeczytaj na głos, co tam jest o nim napisane.

– Dużo tego – zbuntował się Losza. – Miej sumienie, dziewczyno.

– Nie mam, kochany, nie mam sumienia, pali mi się w pewnym miejscu. No czytajże!

– „Spośród wykrytych zabójstw szesnaście procent wykryły na podstawie «gorących śladów» służby patrolowe».

– To można opuścić. Zaczynaj od drugiego ustępu.

– Mam, ustęp drugi – powtórzył Czistiakow. – „Poszkodowany Wakar Andriej, 1974 rok urodzenia, zmarł wskutek ran kłutych, zadanych z pobudek chuligańskich przez osoby, które nie osiągnęły w chwili popełnienia czynu wieku odpowiedzialności karnej. Postępowanie karne wszczęto wobec starszego brata jednego ze współników, który okazał się podżegaczem. Zabójstwo, które miało być formą spłaty długu karcianego, popełnili czterej młodociani: Orieszkin Jurij, rok urodzenia 1971, Jerochin Igor, rok urodzenia 1971, Gabdrachmanow Rawil, rok urodzenia 1971, Zakusznik Nikołaj, rok urodzenia 1971, uczniowie szkoły średniej nr sto osiemdziesiąt trzy w dzielnicy kirowskiej miasta Moskwy. W czasie popełnienia przestępstwa siostra zmarłego Wakar Elizawieta, rok urodzenia 1969, doznała lekkich obrażeń ciała. Młodociani zostali zatrzymani pięćdziesiąt minut po popełnieniu czynu i dwadzieścia minut po tym, jak zgłoszenie wpłynęło do sekcji dyżurnej GUWD».

– Losza, co mam dla ciebie zrobić?

– W jakim sensie? – zdziwił się.

– Proś, o co chcesz, zrobię wszystko, co zechcesz, tylko poświęć mi jeszcze kwadrans.

– Wyjdiesz za mnie?

– Wyjdę.

– Ale z ciebie kłamczucha – westchnął. – Dobra, mów, co mam jeszcze zrobić.

– Wejdź w „RAPORT – ANALIZA” i znajdź plik „ANEKS-I”.

- Znalazłem. Ładować?
- Ładuj.
- Gotowe.
- Teraz znów włącz wyszukiwanie kontekstowe i szukaj nazwisk.
- Jakich?
- No tych, które przed chwilą mi przeczytałeś. Nazwisk czterech małolatów, którzy zabili Wakara.
- A kto by je spamiętał? Rozum ci odebrało, Aśka, czy co?
- Orieszkin Jurij – odpowiedziała.
- Jest – potwierdził Losza. – Tutaj jest napisane:
1992 N.
- Tak właśnie myślałam – rzekła cicho. – Zakusznik Nikołaj.
- Jest 1993 N. Asia, a co to oznacza?
- „ANEKS-I” – to imienna lista poszkodowanych. To znaczy zamordowanych. Rok – to rok popełnienia przestępstwa. N. oznacza, że zabójstwo pozostało niewykryte. Jeśli figuruje litera W., to znaczy, że przestępstwo wykryto.
- Widziałem jeszcze „ANEKS-S”. Kogo dotyczy?
- Imienna lista sprawców zabójstw. Losz, nie zbaczaj z tematu, dobrze? Jerochin Igor.
- Nie ma takiego.
- Na razie nie ma – znowu wymamrotała ledwie dosłyszalnie.
- Co mówisz? – zapytał Losza.
- Nic, tak sobie. Gabdrachmanow Rawil. – Jest. 1993 N.

- Co za koszmar. Teraz daj plik 1992 roku.
- Szukamy Orieszkina?
- Jakiś ty domyślny...
 - Zmądrzałem przy tobie. Kto z kim przestaje...

ROZDZIAŁ 10

1

Nastia płakała we śnie. Śniła jej się zamordowana Dasza Sundijewa i blady, zmartwiały z bólu brat Sasza. Trzymał na rękach małe dziecko, i patrząc na niego, myślała: To ja jestem wszystkiemu winna. Gdyby nie moje błędy, Dasza by żyła. Potem przyszła zbawienna myśl, że w chwili śmierci Dasza była dopiero w pierwszym miesiącu, czyli że to w żadnym razie nie mogło być jej dziecko. A jeśli to jednak jest jej dziecko, to przyczyna śmierci Daszy była inna, bo... We śnie nie zdążyła dobrze się nad tym zastanowić, bo ogarnął ją taki bezbrzeżny i niewymowny smutek, że całe jej ciało chwycił skurcz. Miała ochotę krzyczeć na głos, ale z jej gardła wydobył się tylko świszczący szept. Wyteżała wszystkie siły, wierząc, że poczuje się trochę lepiej, gdy tylko uda jej się głośno zaszlochać. W końcu się udało. Krzyknęła i otworzyła oczy.

Poduszka była mokra od łez. Ręka Loszy mocno ją obejmowała.

– Co się stało, Asieńko? – zapytał cicho. – Coś ci się przyśniło?

Nie odpowiedziała, przyciskając się bliżej i wtulając twarz w jego ramię.

Sen pierzchnął. Nastia starała się oddychać głęboko i nie kręcić się, żeby nie zbudzić Loszy, wciąż od nowa odtwarzając w pamięci zebrane informacje i przygotowując się do jutrzejszej rozmowy z Gordiejewem. Owa rozmowa nie zapowiadała się najlepiej.

Niepotrzebnie zmarnowała tyle czasu, próbując wysledzić „główny”, bliżej nieokreślony kontakt „mrówek”. Z jakiegoś powodu była pewna, że nie jest to człowiek z ich świata, i że oni z niewiadomych przyczyn chwilowo go unikali. Przeczuli jej niebezpieczeństwo i „zaszyli się w kącie”, starannie strzegąc przed cudzym wzrokiem tego, kto by mógł dać jej klucz do rozwiązania łamigłówki. Tak przynajmniej myślała. I myliła się. Bo najważniejszy okazał się Rieznikow, ten sam Rieznikow, który od samego początku widoczny był jak na dłoni i przed nikim się nie ukrywał. Właśnie do Rieznikowa pobiegli wszyscy trzej, gdy zetknęli się z czymś, czego nie mogli pojąć i wytłumaczyć. Wszystko zrobiła źle. Wszystko, od samego początku. Nie chcąc ujawnić swego zainteresowania „mrówkowym” towarzystwem, nie korzystała ze swoich pełnomocnictw służbowych i nie poprosiła o pomoc nikogo spośród kolegów. Możliwe, że oficjalną drogą łatwiej i szybciej odkryłaby prawdziwą twarz Artioma Rieznikowa. Nic dziwnego, że Bokrowi i jego ekipie to się nie udało, bo nie byli w stanie rozpracować kilkudziesięciu ludzi, z którymi codziennie kontaktowali się trzej mężczyźni śledzący Daszę. Oczywiście, spośród tych kilkudziesięciu Rieznikow znalazłby się w pierwszej trójce, bo właśnie jego Dasza widziała w metrze tamtego dnia, kiedy wszystko się zaczęło. No i co z tego? Był w metrze. To nie przestępstwo.

Ostrożnie, starając się nie zbudzić Loszy, wyśliznęła się z łóżka, narzuciła na ramiona ciepły, puszysty szlafrok i przekradła się do kuchni, szczelnie zamykając za sobą drzwi. Włączyła gaz i postawiła na ogniu czajnik. Było dopiero trochę po trzeciej, ale wiedziała, że tak czy owak nie zaśnie. Stała przy oknie i tępo wpatrywała się w swoje odbicie, na jakiś czas zapomniawszy nawet, o czym właściwie powinna myśleć.

Woda w czajniku się zagotowała, Nastia zrobiła sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy, wrzuciła do niej cukier i gruby plasterek cytryny, zapaliła papierosa. Minęło jeszcze jakieś dwadzieścia minut, zanim udało jej się wziąć w garść i pokonać ów przytłaczający, czarny smutek, z którym się obudziła i który ją obezwładnił. Ręce ciążyły jak ołów, smutek kamieniem leżał na duszy.

Sprzątnęła ze stołu wszystkie zbędne rzeczy, rozłożyła czyste arkusze papieru i zabrała się do pracy. Arkusze stopniowo pokrywały się zawijasami, kółeczkami, strzałkami, krótkimi zdaniem, znakami zapytania i wykrzyknikami...

Tak, Wakar – to jej ostatnia nadzieja. Jeśli od dawna śledzi Jerochina, to mógł widzieć to, czego nie widzieli i o czym nie wiedzą Bokr i jego ekipa. I jeśli Jerochin ma coś wspólnego z zabójstwem milicjanta Kosti Małuszki, to Wakar może o tym wiedzieć. Mógł to po prostu zobaczyć. Ale jeśli słuszne jest jej drugie podejrzenie i Wakar ma jakiś związek ze śmiercią trzech przyjaciół z dzieciństwa Igora Jerochina, to za nic nie złoży zeznań przeciwko niemu, bo to by było równoznaczne z przyznaniem się do zamiaru zabicia Jerochina. A to z kolei oznaczałoby dla niego przyznanie się do zabójstwa tamtych trzech. Wakar będzie milczeć,

nawet jeśli coś wie. I zabójstwo Małuszki nigdy nie zostanie wykryte, jeśli tylko sam Jerochin nie przyzna się do winy. A on się nie przyzna, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

A zatem Wakar to jednak beznadziejna sprawa. Jeśli popełnił trzy morderstwa i nie wpadł, to nie uda jej się wziąć go gołymi rękami. Trzeba wymyślić coś sprytnego, żeby owinąć go wokół palca. A jeśli on nie ma nic wspólnego z tymi morderstwami? Wtedy jest szansa, chociaż niewielka. Nastia z przyzwyczajenia analizowała wszystkie możliwe warianty, bo taka była jej niewzruszona zasada, ale w głębi duszy nie wierzyła w sukces. Jeśli tamci trzej nie zginęli z ręki Wakara, to w jakim celu śledzi on teraz Igora?

Szczerze pozazdrościła „złotemu chłopcu” Bokrowi, dla którego nie istniało słowo „beznadziejny”. Chciałaby też tak myśleć.

2

Suren Udunian i Wiktor Kostyria wysiedli z samochodu jedną przecnicę od domu, gdzie mieszkała Dasza, i dalej poszli pieszo. Przed wejściem stał autokar, a obok – nieduża grupa ludzi. Kobiety były w czarnych chustkach, niektóre miały w rękach czerwone goździki.

– To wygląda na pogrzeb – zauważył półgłosem Kostyria. – A tam stoi jej gach, widzisz?

Surik kiwnął głową bez słowa. Artiom wysłał ich, żeby sprawdzili, co się stało z Daszą. Z początku chcieli zajrzeć do sklepu „Orion”, ale przed wejściem zobaczyli podejrzanego chłopaka, który ostentacyjnie, z leniwą i obojętną miną przyglądał się wszystkim wchodzącym. Mocno przypominał tajniaka, który czeka na ludzi interesujących się zaginioną ekspedientką, wobec tego nie zdecydowali się wejść, żeby zasięgnąć języka, a tylko pojechali pod dom.

Zatrzymali się koło autokaru, wyteżając słuch i próbując się zorientować, o czym mówią stojący w żałobie ludzie.

- Rodzice całkiem się załamali...
- Wieniec... od kolegów z roku...
- Dlaczego coś takiego przytrafia się młodym...
- A co na to milicja? Czy oni w ogóle coś mogą?
- Daszeńka... Mój Boże, mój Boże...

Nagle jeden z mężczyzn odwrócił się i popatrzył Surikowi i Kostyri prosto w oczy, po czym podszedł do nich zdecydowanie.

– Chłopcy, wy na pogrzeb? Skąd jesteście? Z uczelni? – zapytał surowo.

– Skądże – wybąkał Surik ze zdziwieniem na twarzy, otwierając szeroko swoje niewinne oczy – po prostu przechodziliśmy. Zatrzymaliśmy się na papierosa. Przepraszamy. A kto umarł?

– Młoda dziewczyna. Ale cudza śmierć nie powinna wzbudzać niezdrowej ciekawości. Lepiej stąd idźcie. Zaraz wyjdą rodzice, a wy tu palicie, gapicie się... Nieładnie – powiedział ostro mężczyzna.

– Oczywiście, oczywiście – rzucił szybko Wiktor, odsuwając się na bok i pociągając za sobą Surika. – Proszę nam wybaczyć.

Żywo ruszyli z powrotem. Otwierając w pośpiechu samochód i wsiadając, nie zwrócili uwagi na człowieka, który siedział na ławce tuż obok. W rękach trzymał odpiętą smycz, a nieopodal uwijał się zabawny, brzoskwiniowy miniaturowy pudelek. Kiedy samochód odjechał, właściciel pudła wyjął kieszonkowy nadajnik i rzekł:

– Odjechali. Czas kontrolny – piętnaście minut.

Po piętnastu minutach grupa ubranych na czarno ludzi załadowała się do autokaru.

– Nie za wcześnie odjeżdżamy? – zapytała zaniepokojona Nastia, spoglądając na zegarek. – A nuż zdecydują się wrócić i jeszcze raz sprawdzić?

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Bokr. – Minęło akurat tyle czasu, żeby rodzice zdążyli wyjść i żeby wszyscy żałobnicy pojechali niby to do kostnicy. Miejmy nadzieję, że nie zaczną myszkować po cmentarzach, żeby się upewnić, że dziewczyna została faktycznie pochowana.

– Miejmy nadzieję – zgodziła się Nastia.

3

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew z uwagą słuchał Nasti. Po „nieodleżanej” chorobie wyglądał marnie: pod oczami miał worki,

jego błyszczącą łysinę coraz to pokrywał pot, pojawiła się niewielka zadyszka. Ale jak zwykle nie zwracał uwagi na dolegliwości i był ciągle tym samym prężnym Pączkiem, energicznym i wymagającym.

Nastia spędziła w jego gabinecie już niemal godzinę, referując mu przebieg prac nad czterema najbardziej skomplikowanymi aktualnymi sprawami. W żadnej z nich nie brała bezpośredniego udziału, ale właśnie jej polecono zbieranie rozproszonych informacji, analizowanie ich, wysuwanie hipotez, wymyślanie sposobów ich najszybszego i najefektowniejszego sprawdzenia, staranne ocenianie świeżo napływających wiadomości i odrzucanie tych hipotez, które się nie potwierdziły. Taki styl pracy został obmyślony przez samego Pączka, i właśnie do tego zadania zatrudnił Anastazję Kamieńską, w owym czasie całkiem młodziutką, dopiero rozpoczynającą milicyjną karierę w jednym z rejonowych komisariatów. Zdumiało go wtedy niestrudzone zamiłowanie tej dziewczyny do żmudnej pracy analitycznej, a także rzadko spotykany, nieskrępowany sposób myślenia, pozwalający Nasti na wysuwanie najbardziej nieprawdopodobnych hipotez i wyszukiwanie najbardziej niewiarygodnych wyjaśnień. Z jej dzikich hipotez otwarcie się śmiano, a Gordiejew z ciekawości sprawdził jedną z nich, pomruczał z satysfakcją i natychmiast wystąpił o jej akta osobowe...

– Wiktorze Aleksiejewiczu, wydaje mi się, że mogę zdobyć informacje na temat zabójstwa milicjanta koło stacji metra Tagańska – zaczęła ostrożnie, kończąc oficjalną część rozmowy.

Gordiejew zdjął okulary i wsunął zausznik do ust, co oznaczało najwyższą koncentrację i gotowość do kontynuowania pracy.

– Czy to ma coś wspólnego z ludźmi, których dał ci twój drogi przyjaciel Denisow? – spytał z niezadowoleniem.

– I tak, i nie. Przy ich pomocy odnalazłam człowieka, który mógł widzieć albo wiedzieć coś ważnego. Ale człowiek ów nie ma z nimi żadnego związku, działa na własną rękę. Krótko mówiąc, sytuacja wygląda następująco: jeśli on nic nie wie, to znaleźliśmy się, niestety, w ślepych zaułku, ale jeśli wie, to za nic nam o tym nie powie, bo sam zamierza zabić tego, kto zastrzelił Kostię Małuszkiną. W pierwszym wypadku nic nie możemy zrobić, w drugim – najprawdopodobniej też. Ale musimy spróbować. Byłam dzisiaj w trzydziestym siódmym komisariacie, rozmawiałam z funkcjonariuszami, którzy zajmują się zabójstwem Małuszkiną. Kompletna klapa, nie mają żadnego punktu zaczepienia, żadnego śladu. Ale, szczerze mówiąc, niezbyt mi się spodobali. Jeśli oddamy im człowieka, który może coś wiedzieć, wszystko zepsują, i nie będziemy mieć z tego żadnego pożytku. Nie poradzą sobie z nim.

– Hm, a ty uważasz, że sobie poradzisz?

– Boję się, że ja też nie dam rady. Chyba że pan mi pomoże...

– Przypuśćmy. Masz konkretny plan?

– Na razie nie. Muszę się dowiedzieć o tym człowieku jak najwięcej, żeby mieć na czym się oprzeć.

– Gdzie w tej chwili znajduje się sprawa zabójstwa Małuszkiną?

– W prokuraturze okręgowej. Śledczy Bołdyriew. Wiktorze Aleksiejewiczu, zabójstwa milicjanta raczej nie wykryją. Nikt nie widział, jak się oddalił z posterunku, nikt nie wie, z kim i po co poszedł i jak się dostał na budowę. Ja też tego nie wiem, ale domyślałam się, dlaczego został zabity. Tylko się domyślałam,

dowodów nie mam. I kto go zabił, też tylko się domyślam, ale ten człowiek, o którym panu mówię, mógł widzieć, z kim Kostia wyszedł z metra i poszedł na tę cholerną budowę. Jego zeznania mogą się stać dowodem, i to jest w zasadzie jedyny dowód, który możemy zdobyć w tej sprawie. Cała sztuka polega na tym, żeby wydusić od niego zeznania.

– Dobrze – kiwnął głową Pączek. – Pomyślę, co można zrobić. Ale nie podoba mi się to, Anastazjo. Po pierwsze, nie podoba mi się twoja samowola. Po drugie – twój brak zaufania do wywiadowców z trzydziestego siódmego komisariatu. Powinnaś im pomagać, jeśli masz takie możliwości, a nie myśleć tylko o sobie.

Nastia już miała opowiedzieć szefowi o możliwości wyjaśnienia trzech wcześniejszych zabójstw, ale z jakiegoś powodu umilkła. Wyglądałoby to tak, jakby się usprawiedliwiała.

– W ogóle w całej tej historii nie pochwalam twego postępowania – ciągnął tymczasem Gordiejew – ale uważam, że powinnaś uczyć się na błędach sama, a nie przy mojej pomocy, tylko wtedy będzie z ciebie pożytek. Jeżeli jesteś pewna, że nie będziesz w przyszłości żałować, że korzystałaś z usług Denisowa – cóż, działaj. Tylko potem, gdy po jakimś czasie chwyci cię za gardło i zażąda wzajemnej przysługi, nie biegnij do mnie na skargę. Uprzedzałem cię. Jeżeli jesteś pewna, że możesz zrobić to, czego nie mogą chłopcy z terenu – wal, pomogę ci. Ale jeśli się okaże, że wszystko zrobiłaś źle, a tamci chłopcy mogli to zrobić lepiej i efektywniej – miej żal tylko do siebie. Oczywiście osłonę cię przed „górami”, ale sam porozmawiam już z tobą inaczej.

– Rozumiem, Wiktorze Aleksiejewiczu – powiedziała przygnębiona Nastia.

– No, skoro rozumiesz, to zaczynaj. Słucham cię.

Nastia spędziła w gabinecie szefa jeszcze jakiś czas i wyszła od niego całkiem przybita. Precyzyjne pytania i bezlitosne oceny Gordiejewa sprawiły, że jeszcze bardziej zwątpiła w swoje możliwości. Po co to wszystko zaczynała? Po co brat przyszedł do niej ze swoimi problemami?

Ale zaraz przypomniała sobie o Daszy, z którą nie wiadomo co mogłoby się stać, gdyby ona, Nastia, przy pomocy Bokra nie wyprowadziła jej spod ostrzału. Pomyślała też o młodym Kosti Małuszkinie z rumianą twarzą, którego zabójstwo zawisłoby w powietrzu, gdyby nie brat Sasza ze swoimi problemami.

4

W dalekim azjatyckim mieście nastąpiła noc, ale w laboratorium pracy nie przerwano ani na chwilę. Harmonogram prób był wyjątkowo napięty, i żeby ukończyć projekt, jak to zapowiedziano, na pierwszego stycznia, nie można było sobie pozwolić ani na wolne dni, ani na nocny odpoczynek.

W gabinecie kierownika projektu panowała głucha cisza: obite dźwiękoszczelnym materiałem ściany nie przepuszczały żadnego dźwięku, a okien w pomieszczeniu nie było. Sam kierownik, tęgi, chorobliwie obrzmiały mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, z rzadkimi kasztanowymi włosami i dużym nosem, pisał coś w

skupieniu w notesie. Nie, nie da się zakończyć pracy, jeśli w dalszym ciągu będą trwały zakłócenia w dostawie surowca. W ciągu najbliższych trzech, czterech dni można przeprowadzić serię prób, ale jeśli rezultaty wykażą, że trzeba zrobić nową wersję urządzenia, to bez surowca się nie obejdzie, a wszystkie zapasy się skończyły. To oznacza opóźnienie zakończenia projektu i obniżenie honorarium. Zbyt duże opóźnienie pociągnie za sobą jeszcze większe nieprzyjemności.

Michael Steinberg, którego jeszcze całkiem niedawno nazywano po prostu Miszą albo Michałem Markowiczem, który całe swoje dzieciństwo spędził na Zachodniej Ukrainie, we Lwowie, przebywał w Azji nielegalnie. Nie miał ani paszportu, ani dowodu tożsamości, ani obywatelstwa. Wszystko to mu obiecano, jeśli na czas i z dobrym wynikiem ukończy pracę nad projektem. A jeśli nie – zwyczajnie wywalą go na ulicę, napompując wcześniej jakimś lekarstwem, które wywrze taki wpływ na jego zachowanie, że szybko znajdzie się na policji, a potem w domu dla obłąkanych. Tak skończy się życie utalentowanego uczonego Michaela Steinberga, a zacznie bezmyślna egzystencja szaleńca bez nazwiska, rodziny i przeszłości. Uprowadzono go, że jeśli trzeba będzie zastosować przeciwko niemu radykalne środki, zostanie to uczynione w kraju, gdzie lekceważy się praworządność i prawa człowieka, a więc nie będzie mógł liczyć na prawną ochronę państwa.

Nawet nie wiedział dokładnie, gdzie się właściwie znajduje. Chciwego na pieniądze i pewnego siebie, po prostu go kupiono, łatwo, jak rzecz na targu, kupiono w tej samej chwili, w której wysiadł z samolotu na lotnisku w Tel Awiwie. Wyjechał do Izraela sam, sędziwi rodzice zdecydowanie odmówili opuszczenia Lwowa,

żona już dawno się z nim rozwiodła i nie interesowała się życiem byłego męża, a zresztą mieszkała w całkiem innym mieście. Misza w końcu nie zobaczył historycznej ojczyzny, jego pobyt w ziemi obiecanej ograniczył się do czterodniowej wizyty w hotelu lotniskowym, w trakcie której poddano go zręcznej i umiejętnej obróbce, grając na przywiązaniu do pieniędzy, strachu przed ubóstwem i bezrobociem, próżności uczonego. Zabrano mu dokumenty, a po czterech dniach załadowano do samolotu wraz z trzema osobami towarzyszącymi, i Misza poleciał z Izraela do Kanady. Dalsza podróż odbywała się wyłącznie samolotami prywatnymi, których załogi nie grzeszyły gadatliwością. Towarzyszący mu ludzie, wprost przeciwnie, byli uprzejmi i rozmowni, ale tylko w określonych granicach. Dlatego kiedy Michaela Steinberga przywieziono do tego ogromnego podziemnego laboratorium, mógł tylko snuć domysły, czy znajduje się w Chinach, Korei, Japonii, Australii czy na Malediwach. Z czasem zorientował się oczywiście, że przebywa jednak w Azji, ale gdzie dokładnie – to pozostało dla niego zagadką. Pracującym nad projektem ludziom, sądząc ze wszystkiego, pod groźbą śmierci zabroniono omawiać z kierownikiem cokolwiek, co by wychodziło poza ramy pracy naukowej. Co prawda sam kontakt też był nader ograniczony: Michael siedział w oddzielnym gabinecie, a wszystkie rozmowy prowadzone były albo przez telefon wewnętrzny, albo w obecności jednego z dwóch Amerykanów, reprezentujących, jak się domyślił Misza, służby bezpieczeństwa. Przy nich lepiej było trzymać język za zębami.

Steinberg nacisnął błękitny przycisk na pulpicie łączności. Drzwi natychmiast się otworzyły i do gabinetu wszedł jeden z

Amerykanów, których Misza nazywał po cichu cerberami.

– Słucham, panie doktorze.

– Jak rozwiązano problem z surowcem? – spytał z niezadowoleniem Michael. – Czas płynie i prace mogą zostać wstrzymane.

– Jaki jest maksymalny okres, o który możemy jeszcze przedłużyć prace?

– Trzy dni, najwyżej cztery – uciął kierownik. Tutaj szybko nauczył się być twardy i nieustępliwy.

Amerykanin rozmawiał z nim spokojnie, ale bez zaangażowania, jakby nie życząc sobie roztrząsać problemów, z którymi borykał się ten tęgi, spocony człowiek.

– Zamelduję – odparł równym głosem – że surowiec będzie panu potrzebny za cztery dni.

– Niech pan będzie tak uprzejmy – odparował Steinberg, nie próbując ukryć gniewu i niepokoju. – Nie zatrzymuję pana.

Cerber odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Michael próbował pocieszyć się tym, że opóźnienia w dostawach surowca nie wynikają z jego winy, więc jeśli ukończenie projektu z tego powodu zostanie wstrzymane, on nie poniesie kary. Ale pociecha okazała się słaba, bo na samym początku pracy, zgodnie z zakorzenionym jeszcze w sowieckich czasach przyzwyczajeniem, próżnował, obijał się, zwlekał, pozował na wielkiego myśliciela. Jego pracodawcy nie mogli tego nie zauważyć. Najpierw przestrzegli go delikatnie, a potem otwarcie zagrozili, wyjaśniając, że kampania wyborcza zaczyna się w kraju w lutym, więc jeśli projekt nie zostanie ukończony na czas, praca nad nim w ogóle traci

sens i za zainwestowane weń ogromne fundusze ktoś będzie musiał ponieść odpowiedzialność. Między innymi on, kierownik naukowy projektu. Właśnie wtedy po raz pierwszy dowiedział się o silnym leku psychotropowym i zamk niętej klinice dla psychicznie chorych. Michael uwierzył im bez zastrzeżeń, bo takie chwytły od dawna stosowano też w Rosji, o czym dobrze wiedział. Co więcej, ostatnio zaczął się bać, że taki los czeka go niezależnie od wyniku pracy nad projektem: nie jest niebezpieczny dla swoich pracodawców tylko dopóty, dopóki siedzi w tym śmierdzącym, izolowanym od całego świata bunkrze. Kiedy prace się zakończą, trzeba go będzie wypuścić. Kto wie, czy nie będą się bali tego zrobić... Dlatego Michael wykazywał się w pracy, jak mógł, żeby chciano znowu skorzystać z jego usług. Ze smutnym sarkazmem myślał, że zaczynał pracę, marząc o wielkich pieniądzach, a kończy ją, marząc tylko o tym, żeby pozostać przy życiu. Bo jeśli będą korzystał z jego umiejętności dalej, to i tak pozostanie w tym zniechęconym bunkrze, gdzie pieniądze nie mają żadnego znaczenia, są tutaj po prostu nieprzydatne.

Dwa piętra wyżej w identycznym pokoju Amerykanin cerber zameldował swojemu rodakowi o żądaniach kierownika projektu.

– Przyszła mi do głowy zabawna myśl – roześmiał się nieoczekiwanie Carl, prostując ramiona atlety i słodko się przeciągając po kilku godzinach siedzącej pracy. – Niech pan idzie do niego i zaproponuje przeznaczenie dodatkowych pieniędzy na zakup surowca z jego własnego honorarium. Jestem pewien, że na to pójdzie, zbyt mu zależy na życiu i już dotarła do niego ta prosta myśl, że życie jest najcenniejsze. Akira-san nie chce płacić dodatkowych pieniędzy za stymulowanie naszego rosyjskiego

dostawcy, obiecał nawet zwiększyć honorarium, jeżeli zdołamy uniknąć dodatkowych kosztów. A sposobu na ich uniknięcie nie ma. Ci Azjaci nie są w stanie sami niczego wymyślić, cały ich postęp techniczny opiera się na kradzionych schematach i przywłaszczonych pomysłach. Kupują i wykorzystują umysły Europejczyków i Amerykanów, do rozwiązania problemów organizacyjnych wynajmują Japończyków, ale przy tym pozostają potwornie skąpi. Spróbujemy więc zmusić jednego Rosjanina, aby dał pieniądze drugiemu Rosjaninowi, żebyśmy w rezultacie, pan i ja, otrzymali pewną dotację.

– Nieźle pomyślane – uśmiechnął się cerber. – Skończy się tym, że Steinberg sam będzie finansować cały projekt, aby tylko przeżyć. Dlaczego nie? Na jego koncie zebrały się już niezłe sumki, niech zainwestuje je w naszą wspólną sprawę.

I obaj wybuchnęli ogłuszającym śmiechem.

Już po godzinie w moskiewskiej ambasadzie jednego z krajów WNP rozległ się dzwonek telefonu.

– Proszę mu powiedzieć, że jesteśmy gotowi zapłacić potrójną cenę, jeżeli będzie mógł spotkać się z nami w przeciągu trzech dni. Jeżeli potrzebuje tygodnia, to cena będzie tylko podwójna. Za dwa tygodnie jesteśmy gotowi wziąć towar po starej cenie. Po upływie dwóch tygodni rezygnujemy z jego usług i zwracamy się do innych oferentów.

5

Artiom Rieznikow nalał do wysokiego kielicha sok grejfrutowy i wrzucił tam kostkę lodu. Potem włożył do ust tabletkę i wypił sok duszkiem. Za pół godziny Irina poda obiad.

Poszedł do kuchni, gdzie przy kuchence krzątała się żona, i ciężko opadł na narożnik kuchenny. Lubił obserwować Irinę, podobała mu się jej szczupła figura młodej dziewczyny, młodzieńcza zadbana twarz w oprawie starannie ułożonych siwych włosów. Uparcie obstawał przy tym, żeby nie farbowała siwizny. Ciągłe, jak w młodości, poruszała i podniecała go myśl, że jest od niego sporo starsza.

– No co, misiaczku, dodzwoniłeś się do Siowy? – spytała żona, przewracając na patelni apetyczne kawałki mięsa.

– Jest w delegacji, wróci dopiero w poniedziałek. Tak więc chyba będziemy musieli się pożegnać z dużą forszą.

– Nie martw się – uśmiechnęła się Irina. – Zbyt duże pieniądze są zawsze niebezpieczne, przecież wiesz o tym. Nie lubię ryzyka. Podwójna cena – to też zupełnie nieźle. Wróci Siowa, weźmiesz od niego towar i załatwisz wszystko w ciągu tygodnia. Wcale nie ma potrzeby mówić mu o podwyższeniu ceny. Rozliczysz się z nim jak zwykle, więc nie będziemy stratni.

– A mówić chłopcom, jak myślisz?

– Jeszcze czego! – sarknęła Irina. – I tak za dużo płacisz tym przygłupom. Baby w czerwonym się przestraszyli, można umrzeć ze śmiechu! Podsunięto im trzy dziewczyny trojaczki, ubrane

jednakowo, którym kazano mówić jedno i to samo, a oni w portki zrobili ze strachu, uwierzyli w duchy. Zamiast sięgnąć po rozum do głowy, przybiegli do ciebie z podwiniętymi ogonami.

– Dosyć, kotku, nie zrzedź – miękko powiedział Rieznikow. – Przybiegli, to przybiegli, nic się nie stało. Nasza konkurencja widocznie też tkwi po uszy w gównie, jeżeli ich dziewczynę ktoś jednak sprzątnął. W każdym razie teraz nie będą nas ruszać, mają dosyć własnych kłopotów. Czyli że możemy podjąć negocjacje handlowe.

– A ten gliniarz? – zapytała żona, wyłączając ogień pod patelnią i zabierając się do sałatki. – W końcu nie dowiedzieliśmy się, czy milicja na nas poluje. Po co dziewczyna wsunęła mu kartkę z twoim rysopisem?

– Kotku, na wszystkie pytania nie znajdziesz odpowiedzi, a sprawa stanęła w miejscu. Gdyby nasi konkurenci mieli naprawdę coś wspólnego z pałami, to od początku byłoby dla nich oczywiste, kto zabił tego krawężnika z metra, i Igorek już dawno by się w pudle wczasował. To jak dwa razy dwa. A on na razie jest cały i zdrowy. Czyli że z milicjantem to jakieś nieporozumienie. Obserwując dziewczynę, niczego się nie dowiedzieliśmy, chociaż to oczywiste, że dla kogoś pracuje. Ponieważ od razu się przyczailiśmy i nie robiliśmy zbędnych ruchów, przestali się nami interesować. Zrozumieli, że ich namierzaliśmy i nie ruszymy się, dopóki się od nas nie odczepią, więc nie ma sensu kręcić się koło nas: związali nam ręce, ale sami też nie odnieśli żadnej korzyści. A mają jeszcze jakieś sprawy, wygląda na to, że dosyć poważne, skoro zabito im dziewczynę. Myślisz zatem, że w tej sytuacji będą marnować na nas czas? Też mają głowę na karku.

– Jesteś pewien? – Irina z powątpiewaniem pokręciła głową.

– Na jakieś dziewięćdziesiąt procent. Ryzyko błędu istnieje, ale to normalne, i nie ma co robić z tego problemu. Za tydzień na naszym koncie będzie już półtora miliona dolarów, więc będziemy mogli powoli zacząć się stąd zwijać. Tak, kotku?

– Nie wiem, Tiomuszka, jakoś tym razem się boję. – Żona wzruszyła ramionami. – Może zaczekamy, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

– Nie możemy czekać – zniecierpliwiał się Artiom. – Nie rozumiesz? Siowa mnie popędza, chce szybko dostać swoje pieniądze, bo tak jak my ma zamiar zwinąć żagle. Jeśli nie wezmę od niego towaru, ożeni go komu innemu. A gdzie ja potem znajdę drugiego takiego Siowę? Klienci też mnie przyciskają do muru, podali mi co najmniej trzy źródła, skąd mogą brać towar, jeśli wypadnę z gry. Jeżeli będziemy zbyt ostrożni, to możemy wszystko stracić. Więcej nie dostaniemy ani centa, i wszystkie nasze plany spalą na panewce.

– Dobrze, misiu, ty wiesz lepiej – z westchnieniem zgodziła się Irina, wyjmując sztućce i nakrywając do stołu.

Wakar rozkoszował się samotnością w pustym mieszkaniu. Ostatnio rzadko mu się to udawało. Liza coraz częściej wpadała w depresję i siedziała w domu, błakając się po mieszkaniu jak cień i z niemym wyrzutem popatrywała na ojca. Żona nie zamierzała dłużej zachowywać zimnego milczenia, demonstracyjnie przeglądała rzeczy i rysunki syna i głośno rozprawiała na swój ulubiony temat: o nieznajdującej spokoju duszy chłopca i o tym, że rodzony ojciec nie potrafi zatroszczyć się o sprawiedliwość. Władimir Siergiejewicz starał się bywać w domu jak najrzadziej, do późna przesiadując w pracy albo śledząc Jerochina. Dzisiaj był czwartek, Liza poszła do Dimy Sotnikowa, żona gdzieś wyszła, i na kilka godzin miał spokój.

Do końca wyznaczonego przez Elenę terminu zostało niewiele czasu, i już obmyślił, kiedy i jak zakończy swoją ciężką, gorzką, ale niezbędną misję. Dzisiaj Władimir Siergiejewicz nie musiał nigdzie iść, więc bez pośpiechu wyczyścił codzienny i wyjściowy mundur, sprawdził szynel i papachę: w początkach listopada odbywał się zwykle przegląd w zimowym umundurowaniu. Następnie uporządkował wreszcie papiery, które nagromadziły się w biurku, wszystko, co niepotrzebne, podarł i wyrzucił, a pozostałe dokumenty porozkładał do oddzielnych teczek i zrobił na nich staranne napisy. Natknąwszy się w głębi szuflady na stare naszywki pułkownikowskie, po raz kolejny pomyślał z goryczą, że ani razu nie miał na sobie munduru z naszywkami przyszytymi przez Elenę. Żony wszystkich jego kolegów oficerów z drzeniem śledziły drogę awansu swoich mężów i przyszywanie nowych naszywek z kolejną gwiazdką uważały za swój święty obowiązek. I tylko Elena nigdy nie wiedziała, kiedy jej mężowi przyznawano kolejny stopień i ile jeszcze trzeba czekać do następnego. Rangę pułkownika otrzymał

przed terminem, ale kiedy któraś z żon oficerów wyraziła zdziwienie, że mąż Eleny w wieku trzydziestu sześciu lat już jest pułkownikiem, ta nie miała nic lepszego do zrobienia, jak odpowiedzieć obojętnie:

– Tak? A mnie się wydaje, że w samą porę. W ogóle to nie znam się na tym.

Po doprowadzeniu papierów do ładu Wakar usiadł zadowolony przy uporządkowanym biurku i przez dwie godziny przygotowywał się do jutrzejszego wykładu. Miał bardzo dużo nowego materiału, który usystematyzował, zaplanował nowe ćwiczenia metodyczne, dzięki którym stanie się on bardziej przystępny i łatwiejszy do zapamiętania, sprawdził mapy i schematy, przerobił co nieco i odświeżył. I dopiero wtedy pozwolił sobie na odpoczynek z książką na kanapie. Ale nie mógł się skupić na lekturze. Myśli miał zajęte Jerochinem i własnym, potwornie okaleczonym życiem.

Zgrzyt klucza w zamku poderwał go na nogi. Nigdy nie pozwalał sobie na leżenie w obecności żony i córki.

Wróciła Elena.

– Jesteś w domu? – zdziwiła się niepomrotnie, jakby jedynym przeznaczeniem jej męża było od tej chwili bieganie po ulicach w poszukiwaniu ostatniego z czterech zabójców. – Coś się stało?

– Nic się nie stało. Wpadłem się przebrać. Zaraz wychodzę – odparł generał krótko i sucho jak zwykle.

Zdjął dres, włożył dzinsy, flanelową koszulę i lekką skórzaną kurtkę, wsunął do kieszeni papierosy i portfel, wziął kluczyki od samochodu i nie mówiąc ani słowa więcej, wyszedł z domu. Elena

nie pytała, dokąd się wybiera i kiedy wróci, nie interesowało jej to, więc on sam też przestał ją o tym informować.

Wakar wyszedł na ulicę i bez pośpiechu powlókł się w stronę Wału Suszczewskiego. Nie miał żadnego celu, po prostu nie chciał być w domu, dlatego wyznaczył sobie trasę: Wałem Suszczewskim dojdzie do Dworca Ryskiego, stamtąd Prospektem Mira do Suchariowki, a z powrotem wróci metrem. W domu, według swoich obliczeń, znajdzie się koło północy, Elena i Liza będą już spały, i nikt nie będzie go dręczyć rozmowami i wyrzutami.

Doszedłszy do Dworca Ryskiego, zatrzymał się na skrzyżowaniu, czekając na zielone światło, gdy nagle ktoś ostrożnie dotknął jego ramienia i cichy głos nad uchem rzekł:

– Władimirze Siergiejewiczu.

Obrócił się gwałtownie całym ciałem, jak na komendę „w tył zwrot”, i zobaczył kobietę. W ciemności nie od razu dojrzał jej twarz, zauważył tylko, że jest wysoka, szczupła i młoda.

– Pani do mnie? – zapytał zaskoczony.

– Jeżeli pan jest Władimirem Siergiejewiczem, to tak.

– My się znamy?

– Nie – odparła kobieta. – Ale chciałabym pana poznać. Odejźmy w stronę latarni, tutaj przeszkadzamy przechodniom.

Posłusznie postąpił za nią kilka kroków i zatrzymał się w dobrze oświetlonym miejscu.

– Oto moje dokumenty.

Z tymi słowy podała mu czerwoną legitymację służbową. Ze zdjęcia spoglądała na niego ta sama cicha brzydula, którą widział

kiedyś na ulicy i z której śmiał się w duchu, myśląc, że czeka na wiecznie spóźniającego się przyjaciela. Major milicji Anastazja Pawłowna Kamińska.

Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Generał Wakar był rzeczywiście w doskonałej formie.

ROZDZIAŁ 11

1

Nastia Kamieńska i Władimir Wakar siedzieli na ławeczce na cichym moskiewskim podwórzu. Było całkiem ciemno, podwórze rozjaśniało tylko słabe światło z okien. Mżył drobny, wstrętny deszczyk, Nastia narzuciła kaptur, a Wakar siedział z odkrytą głową.

– Czy zna pan człowieka nazwiskiem Igor Jerochin? – zapytała.

Wakar pomyślał chwilę, zanim odpowiedział.

– Dziewięć lat temu wyrostek nazwiskiem Igor Jerochin zabił mojego syna. Jeśli mówi pani o nim, to tak, znam go.

– Chodzi mi właśnie o niego. Widział go pan ostatnio?

– Dwa albo trzy dni temu. Widocznie odwiedzał matkę, która mieszka na sąsiedniej ulicy.

– Proszę mi powiedzieć, Władimirze Siergiejewiczu, czy spotkał pan kiedyś Jerochina w okolicy stacji metra Tagańska?

Odpowiedzią było znowu milczenie. W końcu Wakar zapytał:

– Mogę wiedzieć, jaki jest cel pani pytań?

– Oczywiście. Miesiąc temu na budowie obok stacji metra Tagańska został zabity milicjant Konstantin Małuszkin. Mam

podstawy, aby przypuszczać, że zabił go Jerochin. Szukam po prostu dowodu, to wszystko. To jak, Władimirze Siergiejewiczu, widział go pan tam?

– Co to pani da, jeśli powiem, że go widziałem?

– Nie odpowiada pan na moje pytania, panie generale.

– Nie będę odpowiadać, dopóki nie zrozumie ich sensu.

– Dobrze, postaram się panu wyjaśnić. Małuszkiną znaleziono na budowie zastrzelonego po mniej więcej półtorej godzinie od chwili śmierci. Do tego czasu pełnił dyżur obok wyjścia z metra. Nikt – ani pracownicy metra, ani milicjanci z komisariatu – nie wie, dlaczego opuścił posterunek i po co poszedł na budowę. Naruszył obowiązujący regulamin i oddalił się, nikogo o tym nie informując. Ale był jeszcze bardzo młody i niedoświadczony, pracował raptem dwa miesiące. Funkcjonariusze milicji, próbując wyjaśnić to zabójstwo, uchodzili sobie nogi w poszukiwaniu świadka, który mógł widzieć, z kim Małuszkin wyszedł z metra, ale nikogo nie znaleźli. Moja rozmowa z panem to jeszcze jedna próba znalezienia takiego świadka.

– Za pozwoleniem, Anastazjo Pawłowno, coś się w pani rozumowaniu nie zgadza – zauważył Wakar. – Dopiero co powiedziała mi pani, że według pani informacji milicjanta zabił Igor Jerochin. To znaczy, że wiecie, z kim wasz Małuszkin wyszedł z metra. Po co wam świadkowie?

Ciężko się z tobą rozmawia, generale – pomyślała Nastia. – Nie chcesz kłamać, masz widocznie w tej kwestii swoje zasady. Ale prawdy też nie chcesz powiedzieć. A jednak się wygadałeś. Czyżbym wspominała o tym, że człowiek, z którym Kostia wyszedł z

metra, i człowiek, który go zabił, to jedna i ta sama osoba? Nie, generale, ja tego nie mówiłam. To ty powiedziałaś, bo wszystko widziałaś.

– Widzi pan, Władimirze Siergiejewiczu, od tego, co ja wiem, do tego, co może się stać podstawą oskarżenia, droga daleka. Na wolności pozostają setki przestępców, których wina była absolutnie oczywista dla pracowników wydziału kryminalnego, ale przeciwko którym nie było ani jednego dowodu przewidzianego kodeksem karnym. „Wiem” i „udowodniłem” to wcale nie jedno i to samo. Wszystko, co mam przeciwko Jerochinowi, to tylko poszlaki, których może być do diabła i trochę, ale nikomu nie zdadzą się na nic, jeśli nie ma żadnego bezpośredniego dowodu. Zeznania świadka, który widział, że Małuszkin wszedł na teren budowy razem z Jerochinem, a potem Jerochin wyszedł stamtąd sam, mogą być takim dowodem. Teraz pan rozumie cel moich pytań?

– Tak. I nie mam ochoty na nie odpowiadać.

– Dlaczego?

– Nie mam ochoty, i koniec – bezbarwnym głosem powtórzył generał.

– Rozumiem – spokojnie odparła Nastia.

Niczego innego się nie spodziewała. Palili w milczeniu, nie odzywając się do siebie ani słowem. Wakar nie próbował odejść, i Nastia to doceniła.

– Władimirze Siergiejewiczu, pan mnie poznał? – spytała nagle.

– Tak, pamiętam panią.

– Mogę wiedzieć, co pan tamtego dnia robił na Twerskiej?

– Chodziłem po sklepach.

– Wiedział pan, że dwa kroki od miejsca, gdzie się spotkaliśmy, stał Igor Jerochin?

– Tak, widziałem go.

Niech cię лихо porwie, generale, dlaczego nie kłamiesz? Gdybyś próbował mówić nieprawdę, natychmiast bym cię przyłapała i przyparła do muru. Ale ty jakoś potrafisz mówić prawdę tak, że nie ma się do czego przyczepić.

– A na bazarze w Końkowie był pan kiedyś?

– Tak.

– Nie widział pan tam Jerochina?

– Widziałem. Mam wrażenie, że Końkowo znajduje się dosyć daleko od Taganki, nie sądzi pani, Anastazjo Pawłowno? Znowu umknął mi sens pani pytań.

Kolejny raz zapadło uciążliwe milczenie. Nasti zdawało się, że jest jak konik na karuzeli, który chodzi po jednym i tym samym obwodzie koła i w żaden sposób nie może się zeń wydostać.

– Władimirze Siergiejewiczu, wiem nieco więcej, niż pan myśli. Ale zanim zacznę mówić z panem otwarcie, chcę jeszcze raz panu przypomnieć: między moją wiedzą a wyrokiem sądowym leży przepaść, którą nie każdy może pokonać. Teraz, na tej ławce, nie reprezentuję wymiaru sprawiedliwości, nie mam formularza przesłuchania, niczego nie zapisuję i nic, o czym będziemy rozmawiać, nie ma żadnej mocy prawnej, jeśli potem nie potwierdzi pan wszystkich swoich słów w oficjalnych okolicznościach. Cokolwiek pan teraz powie, niczym to panu nie grozi. Rozumie mnie pan?

– Tak. – Wakar odpowiadał cały czas krótko.

– Śledzi pan Jerochina, bo chce go pan zabić?

I znowu zapadło milczenie, tym razem nie uciążliwe, ale jakby nasycone wyładowaniami elektrycznymi. Nastia wydawało się, że jeśli Wakar zaraz się nie odezwie, ona po prostu zemdleje z napięcia.

– Nie będę odpowiadać na pani pytania – rzekł wreszcie.

– W dziewięćdziesiątym drugim roku zabił pan Jurija Orieszkina, w dziewięćdziesiątym trzecim – Zakuszniaka i Gabdrachmanowa. Teraz kolej na Igora Jerochina. Niechże pan zrozumie, Władimirze Siergiejewiczu, nie mogę wyjaśnić zabójstwa Małuszki bez pana zeznań, a pan odmawia ich złożenia, bo nie chce ujawnić swego zainteresowania Jerochinem. Ale jeśli pan go jednak zabije, będę doskonale wiedzieć, że pan to zrobił. I będzie pan musiał odpowiadać za wszystkie cztery morderstwa. Póki Jerochin żyje, nie mogę udowodnić, że zabił pan tamtych trzech, pozostawiam to pańskiemu sumieniu, dowodów i tak nie mam, jeśli pan sam się nie przyzna. Ale po zabójstwie Jerochina zrobię wszystko, żeby pan poniósł odpowiedzialność za śmierć całej czwórki. Proszę zrezygnować ze swojego zamiaru. Proszę oddać mi Jerochina. Proszę – dodała cicho.

– Jestem gotów ponieść odpowiedzialność za wszystko, co robię – surowo powiedział generał. – Ale pomagać pani nie zamierzam.

Miałam rację, zęby sobie na tobie połamię – z irytacją pomyślała Nastia. – Nie boisz się więzienia, niesławy i hańby. Ale musisz mieć słaby punkt, musisz, jesteś przecież człowiekiem, a nie kawałkiem żelaza. I znajdę go.

– Nic więcej mi pan nie powie?

– Nie, nic więcej.

– Bardzo żałuję – powiedziała, podnosząc się z ławki. – W takim razie nie będę panu zabierać więcej czasu. Ale proszę jednak zastanowić się nad moimi słowami.

– Daleko pani mieszka? – zapytał nieoczekiwanie.

– Daleko, na Szczołkowskiej.

– Koło metra?

– Nie, trzeba jeszcze jechać autobusem cztery przystanki.

– Odprowadzę panią.

– Po co? – zdumiała się.

– Kobieta nie powinna chodzić sama o tak późnej porze – odparł stanowczo Wakar.

– Nie jestem kobietą – uśmiechnęła się Nastia – jestem pracownikiem milicji, więc nie musi mnie pan odprowadzać.

– Ma pani broń?

– Leży w sejfie.

– Dlaczego nie nosi jej pani przy sobie?

Boże, on mnie chyba strofuje? Generał! Dobry z ciebie facet, generale, tylko widocznie bardzo nieszczęśliwy.

– Nie noszę, i koniec. – Wzruszyła ramionami. – Nawet nie bardzo umiem się nią posługiwać.

– To niedobrze – surowo rzekł Wakar. – Nie macie szkoleń służbowych? A co ze strzelaniem kontrolnym?

– Wszystko to przeprowadzamy, tylko ja się wymiguję.

– To niedobrze – powtórzył znowu Wakar. – Mimo wszystko odprowadzę panią.

– Nie trzeba, samochód czeka na mnie koło metra.

– W takim razie proszę wybaczyć moją natarczywość – powiedział oschle, odwrócił się i poszedł w stronę Wału Suszczewskiego.

2

Dmitrij Sotnikow rozmawiał z Nastią niechętnie.

– Podejrzewa pani o coś Władimira Siergiejewicza? – zapytał niespokojnie.

– Ależ skąd – skłamała, nie mrugnawszy nawet okiem. – Chodzi o to, że Władimir Siergiejewicz jest świadkiem zabójstwa, ale z jakichś niepojętych dla mnie przyczyn odmawia złożenia zeznań. Wydaje mi się, że moja natarczywość graniczy z okrucieństwem, więc chcę spróbować wczuć się w jego położenie, żeby niczym go nie urazić. Proszę mi opowiedzieć o jego rodzinie.

– Po co? Dlaczego nie pójdzie pani do niego do domu i sama się nie rozejrzy?

– Nie chcę niepokoić ludzi, którzy przeżyli taką tragedię – rzuciła na wyczucie. I trafiła w sedno. Dmitrij od razu zmiękł.

– To znaczy, że pani wie?

– Owszem.

– Elena Wiktorowna całkiem... – Nie chcąc obrazić matki Lizy, zająknął się w poszukiwaniu odpowiednich słów. – Jednym słowem, wszystkie te lata spędziła w głębokiej żałobie i całą rodzinę zmuszała do życia w cieniu wiecznej tragedii. Tak to mniej więcej wygląda. Wie pani, pokój Andriuszy, rzeczy Andriuszy, rysunki, wiersze, zdjęcia. W tym stylu.

– A córka?

– Z Lizą też kiepsko. Cały czas choruje, bez końca faszeruje się jakimiś tabletkami, żyje tylko wspomnieniami o bracie. Jeśli interesuje panią moje zdanie, one obie zupełnie generała stłamsiły. On jest przecież normalnym facetem o normalnej psychice, wyobraża sobie pani, jak się czuje w tym królestwie łez i lamentów?

– Dobrze zna pan Władimira Siergiejewicza?

– Nie bardzo. Za to Lizę znam od wielu lat.

– Jest pan z nią blisko związany?

Sotnikow popatrzył na Nastię z wyrzutem i zakłopotaniem.

– Jakie to ma znaczenie?

– Żadnego. Po prostu zapytałam. Ona pana kocha?

– Prawdopodobnie.

– A pan?

– Anastazjo Pawłowno, przyszła pani rozmawiać o jej ojcu, a nie o moich i jej relacjach. Mam rację?

– Oczywiście, że ma pan rację. Ale skoro zna pan jej ojca niezbyt dobrze, to może pana opowieść o Lizie pomoże mi zrozumieć jego charakter.

– Liza... jest całkowicie pod wpływem matki. Co tydzień chodzi na cmentarz i gotowa jest zupełnie na serio roztrząsać problem, czy Andriuszy spodobały się kwiaty, które mu przyniosła.

– Czyżby Elena Wiktorowna wierzyła w nieśmiertelność duszy?

– I to jeszcze jak! Sama chodzi do cerkwi, i Lizę też zmusza. Przyjęła nawet chrzest. Liza opowiadała, że teraz dla matki jedyną radość życia stanowią spotkania z chrzestną. Jest dla niej niepodważalnym autorytetem.

Spędzili na rozmowie całą godzinę. Przez ten czas Nasti udało się stworzyć jakie takie wyobrażenie o tym, jak wyglądało życie generała Wakara, i nabrała jeszcze większej pewności, że klucza do nieustępliwego świadka trzeba szukać właśnie tutaj.

Pożegnawszy się z Sotnikowem, wystukała numer telefonu Bokra i powiedziała mu o cerkwi, którą odwiedzała Elena Wakar.

– Kręci się tam niejaka ciotka Luba, matka chrzestna Eleny. Niech pan zobaczy, co to za kobieta. Chciałabym z nią porozmawiać.

– My też mamy nowiny – oznajmił Bokr. – Rieznikow się ożywił, wieczorem podam szczegóły.

Pod koniec dnia Nastię wezwał Gordiejew. Był zły i czerwony.

– Ty fałszywa gadzino – rzekł, ledwie zobaczywszy Nastię na progu swego gabinetu. – Dlaczego mi, do diabła, nie powiedziałaś, że Rieznikow miał coś wspólnego z obiektami o znaczeniu obronnym? Zacząłem się o niego dopytywać, a w odpowiedzi pokazano mi wielką piękną figę, w dodatku jeszcze próbowano coś ze mnie wydusić.

– Nie wiedziałam – stropiła się Nastia. – Słowo honoru, że nie wiedziałam. Nie miałam takich informacji.

– To niedobrze, że nie miałaś. Gdzie twoi dzielni bandyci mieli oczy? Teraz tylko patrzeć, jak się pojawią bohaterscy agenci kontrwywiadu i zabiorą cały materiał, razem z zabójstwem Małuszki. A przecież, jak rozumiem, prawie je rozwiązałaś. Znowu oni zbiorą laury, a nas poczęstują kopniakiem w tyłek. Niech to licho porwie, gdybym wiedział, za nic bym się nie pchał do sprawdzania twojego Rieznikowa.

– Już dobrze, Wiktorze Aleksiejewiczu, czym się mamy z nimi dzielić? – powiedziała pojednawczo. – Niech zabierają.

– Ach tak, niech zabierają? – zagotował się Pączek. – A co z twoją pracą? A twoje nerwy? W wykrycie przestępstwa wkładasz całe serce, talent, żyjesz nim, nie śpisz po nocach, ryzykujesz życie, tracisz apetyt, przeżywasz wzloty z powodu każdego udanego kroku i wpadasz w rozpacz, gdy zrobisz błąd. Dlatego każda sprawa, którą się zajmujesz, to twoje dziecko, które niańczysz, z którym razem rośniesz i z którym razem chorujesz. A potem przychodzi obcy tatuś i zabiera twoje dziecko, już wychowane i wykształcone, adoptuje je i opowiada wszystkim, jakiego ma cudownego synka. I wszyscy mu gratulują. Mnie się to przydarzyło po raz pierwszy, gdy byłem młodszy od ciebie. I wtedy bardzo mi się to nie spodobało. Potem niejednokrotnie się powtarzało, i nie podobało mi się coraz bardziej. A zwłaszcza teraz, gdy usiłujemy rozwikłać zabójstwo milicjanta, naszego kolegi. Dla nas, w tym również dla ciebie, moja droga, to sprawa honoru. W szanujących się krajach wszyscy policjanci stają na uszach, kiedy zabity zostaje ktoś z nich. A ty gotowa jesteś tak po prostu, na piękne oczy, wyłamać na Wakarze wszystkie zęby, zdobyć od niego zeznania i przekazać zabójcę Kosty Małuszki.

federalnym z zapewnieniem wiecznej miłości? Masz choć trochę ambicji?

– Nie mam – przyznała. – A Loszka mówi, że nie mam też sumienia.

– Co on tam wie, ten twój Loszka – burknął Pączek, odetchnąwszy. – Niemniej jednak co Rieznikow może mieć wspólnego z obronością?

– Jest doktorem nauk technicznych, Jerochin i Kostyria mówili o tym jakoś między sobą. Miałam właśnie nadzieję, że pan będzie mógł dowiedzieć się o nim czegoś bliższego.

– Miała nadzieję – mruzczał wciąż pułkownik. – Wpakowała mnie diabli wiedzą w co. Dobra, jak już wdepnęliśmy – nie będziemy się cofać. Nie chciałem cię denerwować, ale lepiej już powiem.

– Jeszcze jakaś nieprzyjemna wiadomość?

– Federalna Służba Kontrwywiadu już się skontaktowała z naszym ministerstwem. Nasi żądają dla siebie wszystkich materiałów dotyczących Rieznikowa. Droga jest mniej więcej taka: najpierw Rieznikow, potem jego najbliższe otoczenie, a więc Jerochin, następnie wezmą się szczegółowo za każdego z nich. Tu wyłania się rok osiemdziesiąty piąty, a za nim trupy trzech kumpli Jerochina. Później wystarczy lekki wysiłek umysłowy – i proszę bardzo, jest generał Wakar. Tak więc generała razem z Kostią Małuszkinem sprzątną ci dosłownie sprzed nosa. Nie możemy nie wykonać polecenia ministerstwa. Na szczęście, w centrali siedzą starzy wyjadacze, którzy dobrze rozumieją, z jakiego powodu wpadłem we wściekłość. Dogadałem się z nimi tak: wszystkie materiały dla federalnych będą zbierać rzetelnie, ale w średnim tempie, bez

szczególnego pośpiechu. Dlaczego rzetelnie – wiadomo. Dlatego że jeśli my coś przeoczmy, to znaczy zataimy, a oni, nie daj Boże, sami to wykopią, to wszystkie psy na nas powieszają, zaczną wytykać palcami i drzeć się na całe gardło, że milicja nie umie pracować. Toteż nie wolno nam przy tym majstrować. Ale tempo będziemy utrzymywać średnie, żebyś mogła zdążyć. Rozgryzłaś już tego Wakara do tego stopnia, że chyba potrafisz sobie z nim poradzić. Jesteś przecież moją mądrałą. A jeśli go przejmą, to nic nie zyskają i zabójstwo naszego Kosti „zawiśnie” nierozwiązane na wieki wieczne. Federalni na razie o Kosti nie wiedzą, ale mogą się dowiedzieć. Wszystko jasne?

– Jasne – kiwnęła głową Nastia.

Wróciła do siebie, zagotowała wodę, zrobiła kawę i długo siedziała, wbijając szklany wzrok w pokrytą olejną farbą ścianę, popijając od czasu do czasu parujący napój. Potrzebny jest jej klucz do Wakara. Natychmiast.

3

Władimir Wakar zrozumiał, że znalazł się w niedoczasie. Termin, który uzgodnił z żoną, zbliżał się nieuchronnie, i decyzję należało podjąć szybko. Jeśli zabije Jerochina, wsadzą go. Jeśli go nie zabije, są dwie możliwości: albo złoży zeznania w sprawie zabójstwa

młodziutkiego milicjanta, i wsadzą Jerochina, albo takich zeznań nie złożą i Igor pozostanie na wolności. Załóżmy, że Igora wsadzają za zabójstwo milicjanta; Elena i tak nie da mu spokoju, dom będzie jak do tej pory przypominał piekło, a przebywanie w nim stanie się nie do zniesienia. Poza tym wcześniej czy później Igor wyjdzie z więzienia... I znowu wszystko od początku. Nie.

Druga możliwość: nie zabija Igora i nie składa obciążających go zeznań. Wtedy Elena bierze sprawę w swoje ręce i jest jeszcze gorzej. Nie uda mu się jej przekonać, próbował to nieraz robić, ale nic z tego nie wyszło.

Musiał wybrać jedno z trzech wyjść.

Iść samemu do więzienia.

Pozwolić, żeby w więzieniu znalazła się Elena. Albo żyć w piekle...

4

Artiom Rieznikow uważnie popatrzył na swoich współników.

– Wszystko zrozumieliście? – zapytał surowo. – Szykujemy się do kolejnego przerzutu. Partia będzie duża, wymagająca zamiany paczek. Idźcie poćwiczyć, żeby wszystko poszło gładko.

Surik i Kostyria zaczęli się ubierać w holu, a Igor Jerochin został w pokoju. Napotkawszy pytający wzrok Artiom, powiedział

zmieszany:

– Musimy porozmawiać.

Rieznikow zamknął za gośćmi drzwi i wrócił do pokoju.

– No to nawijaj.

Słuchając opowiadania Jerochina o Władimirze Wakarze, Artiom z niezadowoleniem poruszał ustami i bębnił palcami po kolanie.

– Mówisz, że przez cały czas depcze ci po piętach?

– Raczej od przypadku do przypadku. Ale dosyć często. A nuż go diabli przyniosą za mną do metra?

– Jak długo to trwa?

– Cholera wie. Zauważyłem niedawno.

– Ty palancie – wybuchnął gniewem Artiom. – Czemu milczałeś tyle czasu? Już dawno byśmy wszystko załatwili.

– Co – załatwili? – głos Igora drgnął.

– Trzeba go sprzątnąć, i tyle. Daję ci trzy dni. Żebyś za trzy dni był czysty, jasne?

– Mogę poprosić chłopaków o pomoc?

– Że co? – pogardliwie przeciągnął Artiom. – Poprosić chłopaków? Pogięło cię? Sam, złociutki, wszystko sam, twoje grzechy to twoje zmartwienie. A chłopaków wybij sobie z głowy.

– Ale dlaczego, Artiom? We trzech będzie przecież łatwiej.

– Ale wiedzieć też będzie trzech, nie zapominaj o tym. A tak – tylko ty jeden.

– I ty. – Igor uważnie popatrzył na Rieznikowa.

– Ja się nie liczę. – Artiom wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Moja stawka w tej grze jest najwyższa, dlatego bardziej niż tobie zależy mi na milczeniu. To wszystko, Igorku, przestań się wymądrzać. Idź i zabij swojego Wakara, gdzie chcesz, jak chcesz, ale żeby za trzy dni przeprowadził się do parku sztywnych. Pamiętaj, że jeśli dawno za tobą chodzi, może wiedzieć to i owo. Tak czy inaczej jest niebezpieczny.

Wyszedłszy z domu, gdzie mieszkał Artiom, Igor po raz pierwszy nie doświadczył dobrze znanego uczucia radości na widok swojego oszałamiająco pięknego i drogiego samochodu. Tak, kilka dni temu postanowił zabić swego prześladowcę. Ale dopiero dzisiaj, kiedy zabójstwo stało się konieczne i nieuchronne, nagle zrozumiał, że nie jest to takie łatwe. I dopiero dzisiaj, pierwszy raz w ciągu dziewięciu lat, ze zdziwieniem pomyślał, jak zdołał wcześniej dwa razy zabić. Wtedy, kiedy był jeszcze szczeniakiem i nie miał w ogóle pojęcia, czym jest życie i jak to jest – odebrać je. I wtedy, miesiąc temu, kiedy strzelał do rumianego milicjanta, który nie chciał oddać wszawej kartki za pięćset dolarów. Co innego – zabić od razu, wcale się nad tym nie zastanawiając. A całkiem co innego – przygotowywać się do zabójstwa...

– A wie pani, Anastazjo Pawłowno, wygląda na to, że nasz generał znajduje się w okrutnym klinczu – rzekł w zamyśleniu Bokr, odmierzając krokami pokój w mieszkaniu Nasti.

– Skąd taki wniosek? – zaniepokoiła się Nastia.

– Ta ciotka Luba to obrzydliwa baba, całe dni i noce koczuje w cerkwi albo na cmentarzu, przyjaźni się ze wszystkimi grabarzami, pociąga z nimi wódeczkę. Kręci się tam cała zgraja kryminalnych, i właśnie między nimi rozeszły się słuchy, że jedna parafianka chce przez ciotkę Lubę wynająć osobę do mokrej roboty.

– Parafianka? Jaka parafianka? – niecierpliwie zapytała Nastia.

– Właśnie ta. Ważna taka, generałowa całą gębą. Przekazuję pani tylko ich słowa. To jak, będzie pani rozmawiać z ciotką Lubą?

– Nie, nie będę. Dziękuję panu, Bokr.

– Dlaczego nie? – Jego smutek nie był udawany.

– Bo zrobił pan wszystko, co trzeba. Dowiedziałam się od pana wszystkiego, co było mi potrzebne.

– Chyba że tak. – Rozpromienił się. – A co się tyczy Rieznikowa, to dzisiaj rano pojechał do Podlipek i spotkał się tam z człowiekiem, który nazywa się Siowa. Tu jest nagranie – położył na stole kasetę wideo. – Filmowaliśmy z dużej odległości, bliżej nie udało się podejść. Ale to, co najważniejsze, widać dobrze. Siowa przekazał mu paczkę.

– Dowiedzieliście się czegoś o tym Siowie?

– Prawie nic, oprócz tego, że mieszka w Podlipkach. Adres, naturalnie, ustaliliśmy, a dalej już pani samej łatwiej będzie działać.

– Bokr, chcę pana poprosić...

– Słucham, Anastazjo Pawłowno.

Przestał się rytmicznie poruszać i zatrzymał tuż przed fotelem, w którym siedziała Nastia.

– Boję się, że tylko patrzeć, jak Wakar zabije Jerochina. Proszę, uważajcie na niego. Gdy będzie miał pan wrażenie, że jest „gorąco”, natychmiast wkraczajcie. W dowolny sposób: wołajcie o pomoc, odciągajcie go za ręce, róbcie wszystko, co tylko wam przyjdzie do głowy, ale nie pozwólcie, żeby popełnił jeszcze jedno zabójstwo.

– Czyżby było pani żal Jerochina? – Bokr uśmiechnął się sarkastycznie.

– Nie. Żal mi Wakara. Bardzo żal mi Wakara – powtórzyła cicho.
– Nie chcę, żeby dostał się za kratki. To nikomu nie przyniesie radości.

– A prawo? Prawo nie ma przecież przynosić ludziom radości, ma przynosić sprawiedliwość. Nie jest tak, Anastazjo Pawłowno?

– Nie mam pojęcia, Bokr – powiedziała gorzko. – Prawo jest ślepe, Temida ma opaskę na oczach. Na pewno jest to słuszne. Ale ślepotą nigdy jeszcze nikomu nie pomogła w podjęciu słusznej decyzji. Nie wiem, nie wiem, nie wiem! – krzyknęła w rozpacz, uderzając pięścią w kolano, i rozplakała się.

Znów siedzieli razem na tym samym cichym podwórzu, gdzie odbyła się ich pierwsza rozmowa. Tym razem spotkali się w ciągu dnia, wieczorem Władimir Siergiejewicz był zajęty. Kiedy Nastia zadzwoniła do niego, nie wykręcał się od rozmowy, sucho, krótko i rzeczowo ustalił z nią czas i miejsce spotkania.

– Przemyślał pan moje słowa? – spytała Nastia.

– Myślałem o nich – mgliście odparł generał.

– Nie zmienił pan swojej decyzji? Odmawia pan, jak poprzednio, rozmowy o Jerochinie?

– Decyzji nie zmieniłem – bezbarwnym, jakimś drewnianym głosem oznajmił Wakar.

– Proszę mnie wysłuchać, Władimirze Siergiejewiczu. Rozumiem pana smutek. Ale zemsta nigdy i nic nie zmienia. Nie odbudowuje tego, co zostało zniszczone. Jest pan oficerem frontowym, był pan w sześćdziesiątym ósmym roku w Czechosłowacji, przeszedł pan przez Afganistan, walczył pan w Karabachu. Widzi pan, przestudiowałam pański przebieg służby. I wiem, że nie może pan nie rozumieć, że kara to tylko ładne słowo, które ma sens jedynie wtedy, kiedy pochodzi od samego losu i może winnego jeszcze czegoś nauczyć. Kara pochodząca od człowieka zamyka ludzi w błędnym kole wzajemnych porachunków. A martwi już niczego nie mogą się nauczyć, z tego punktu widzenia zemsta nie ma sensu. Zgodzi się pan ze mną?

– Jako oficer frontowy – bezwarunkowo.

– A jako ojciec?

– I jako ojciec również.

– A więc po co to wszystko, Władimirze Siergiejewiczu?

Milczał.

– Dobrze, zostawmy przeszłość, wróćmy do problemów bieżących – ciągnęła. – Wie pan, co zamierza pana żona?

Kiwnął głową, nie przerywając milczenia.

– Domyślam się, co się dzieje w pańskim domu. Żona zmusza pana do zabicia Jerochina, w przeciwnym razie zrobi to sama. Tak?

– Jest pani zadziwiająco domyślna – wciąż takim samym bezbarwnym głosem odparł Wakar.

– A jeśli panu obiecuję, że jej się to nie uda?

– I zostanie ukarana?

– Nie. Po prostu jej zamysł się nie powiedzie.

– To nie jest rozwiązanie problemu. Ona się nie uspokoi, dopóki Jerochin żyje.

– Nawet jeśli on się znajdzie w więzieniu na jakieś piętnaście lat?

– Nawet w takim wypadku. Po prostu dostanę odroczenie na piętnaście lat. Byłoby niemoralne z mojej strony, gdybym miał nadzieję, że w ciągu tych piętnastu lat moja żona umrze. A ja jestem gotów ponieść odpowiedzialność za wszystko, co zrobiłem. Jeśli, oczywiście, potrafi pani udowodnić moją winę – dodał z uśmiechem.

Jest rzeczywiście z żelaza – z rozpaczą pomyślała Nastia. – No i jak mam się do niego przebić? Została ostatnia możliwość.

– Władimirze Siergiejewiczu, proszę spojrzeć na sytuację z innej strony. Oboje mamy dylemat: albo zabija pan Jerochina, albo wyjaśniamy zabójstwo, które popełnił. Tragedia pańskiej rodziny wynika z tego, że zabójcy pańskiego syna nie zostali ukarani za

wyrządzone przez nich zło i krzywdę. Teraz mamy zabitego chłopaka Kostię Małuszkiną, który jest oczywiście starszy od pańskiego syna, ale niewiele. Dopiero niedawno skończył dwadzieścia lat. Przyszedł do milicji od razu po wojsku. Niczego jeszcze nie osiągnął, nawet dziewczyny nie miał. Zostali jego rodzice i dwóch braci. Nie pomyślał pan, że oni też zechcą się zemścić na spacerującym na wolności zabójcy? Bracia Kosti Małuszkiną to jeszcze nastolatki, i ich niedojrzałe serca zostaną od wczesnej młodości spaczony nienawiścią i pragnieniem zemsty. A oni, w odróżnieniu od pana, swojej żądzy zemsty nie będą mogli zaspokoić, bo pan zamierza pozbawić życia zabójcę ich brata. Naturalnie, wcześniej czy później dowiedzą się o tym, ale w ich wieku wystarczy przeżyć dwa, trzy miesiące z nienawiścią, myślą o odwecie, o tym, że wszyscy mają w nosie zarówno ich, jak i zamordowanego brata, i mogą wyrosnąć na moralne potwory. Nie obawia się pan tego, Władimirze Sergiejewiczu? Pańskie życie zrujnowały bezowocne próby zemsty, ale pan wyciągnął już z tego lekcję. Dlaczego chce pan, żeby w ten sam sposób zrujnowali sobie życie dwaj chłopcy, z których jeden ma piętnaście, a drugi siedemnaście lat. Byłam u nich, rozmawiałam z braćmi i rodzicami Kosti. Proszę mi wierzyć, to straszny widok. Sam pan przez to przeszedł i może sobie doskonale wyobrazić, co tam zobaczyłam i usłyszałam. Chłopcy na grobie Kosti przysięgali, że ukarzą przestępcę. Już są zatruci straszną i nienasyconą żądzą zemsty. Więc niech mi pan pozwoli pociągnąć do odpowiedzialności mordercę ich syna i brata. Proszę sobie przypomnieć siebie sprzed dziewięciu lat, Władimirze Sergiejewiczu. Gdyby wtedy powiedziano panu, że morderców pańskiego syna można oddać pod sąd, ale by to zrobić,

brakuje zeznań świadka, który z jakiegoś powodu zachowuje dumne milczenie, co by pan poczuł? Co by pan zrobił?

I znowu odpowiedzią było milczenie.

To koniec, więcej nic zrobić nie mogę. Jeśli teraz też ani drgnie, to sprawa jest beznadziejna. Trzeba będzie czekać, śledzić go i aresztować w chwili próby morderstwa. Jerochina może i uratujemy, a generała czeka więzienie. Ale Bóg mi świadkiem, jak bardzo tego nie chcę!

Wreszcie Wakar przerwał milczenie.

– Dobrze zrozumiałem, że nie ma pani żadnych oficjalnych dowodów mojego udziału w tych trzech zabójstwach?

– Zgadza się.

– I dokładnie tak samo nie ma pani żadnych dowodów na to, że niby to zamierzam zabić Igora Jerochina?

– Żadnych – potwierdziła znowu.

– Moje słowa w rozmowie z panią mogą zostać potraktowane jako przyznanie się do winy?

– Dla mnie osobiście – tak. Ale dla nikogo więcej.

– Dlaczego?

– Dlatego że mogę komu chcę opowiadać, że przyznał się pan do trzech zabójstw i do zamiaru po pełnienia czwartego, a pan potem powie, że sobie zażartował. I to wszystko. Bezpośrednich dowodów nie ma. Pańskie przyznanie się do winy musi być zapisane i podpisane przez pana, wtedy ma wagę dowodu. Wszystko inne to rozmowy na ławeczce.

– Nie przyznawałem się pani do trzech zabójstw, proszę nie przekreślać.

– No i widzi pan, jakie to wszystko proste – roześmiała się z przymusem Nastia. – Wyparł się pan swoich słów, i to wystarczy. Czy pan wie, że nawet w sądzie bardzo często oskarżeni odwołują swoje zeznania, które oficjalnie składali w trakcie postępowania przygotowawczego? Odwołują, i na tym koniec.

– I jak to tłumaczą? – zainteresował się Wakar.

– Każdy inaczej. Jednego bito, drugiego oszukano, a jeszcze na innym wymuszono złożenie takich zeznań, obiecawszy coś w zamian, albo nie zrozumieli pytania, albo bolał ich brzuch, głowa i lewa pięta. Nie sposób wszystkiego wyliczyć.

– Reasumując, czy mogę uważać, że w istocie nie ma pani nic przeciwko mnie?

– Może pan. Może pan tak uważać – bardzo cicho i bardzo wyraźnie odparła Nastia, czując, jak pryska jej ostatnia nadzieja. Postawiła na otwarty i prawy charakter generała, ani razu mu nie skłamała, ani razu nie blefowała, nie próbowała straszyć furą jakoby posiadanych dowodów. Chciała dokonać wymiany: zeznania przeciwko Jerochinowi za możliwość niepopelnienia czwartego zabójstwa i uniknięcia kary. Nie udało się jej. Przeliczyła się w swoich rachubach. On i tak będzie próbował zabić Igora. I pójdzie do więzienia.

– Dziękuję – chłodno powiedział Władimir Wakar. – Jeśli pani pozwoli, na mnie pora. Muszę jechać do pracy.

– Wszystkiego dobrego – pożegnała go Nastia, starając się ukryć drżenie w głosie.

7

Wysiadł z samochodu, błyskając generalskimi gwiazdkami i baretkami orderów. W mundurze było mu niezwykle do twarzy.

Wszedł do budynku stacji metra Tagańska, odszukał wzrokiem drzwi, nad którymi widniał napis „Milicja”, i bez wahania wszedł do środka. W pomieszczeniu znajdowało się trzech milicjantów, którzy odruchowo zerwali się na widok generała.

– Czołem! – przywitali Wakara bezładnym chórem.

– Dzień dobry – odpowiedział nieregulaminowo. – Chciałem się dowiedzieć, gdzie jest pochowany wasz kolega Konstantin Małuszkin.

Jeden z milicjantów już otworzył usta, żeby zadać sakramentalne pytanie: „A dlaczego pan pyta?”, ale zaciął się pod lodowatym spojrzeniem człowieka w generalskim mundurze. Zamiast tego zapytał:

– A pan znał Kostię?

Generał nie uznał za stosowne udzielić odpowiedzi. W milczeniu przeniósł wzrok na milicjanta, najstarszego wiekiem.

– A więc mogę się dowiedzieć?

– W Kuncewie, panie generale – szybko odparł milicjant, nie mogąc znieść zimnego spojrzenia gościa.

– Dziękuję.

Wakar wykonał w tył zwrot i opuścił pomieszczenie.

Po czterdziestu minutach podjechał pod cmentarz, kupił przy wejściu kwiaty i podszedł do cerkwi, gdzie stała malutka zgarbiona starowinka.

– Dzień dobry, babciu – uśmiechnął się ciepło do staruszki.

– Dzień dobry, synku.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie jest grób milicjanta? Pochowano go jakiś miesiąc temu.

– Kosti? O tam, alejką na lewo do końca, potem skręcisz w prawo, i tam go zobaczysz.

– Nie zabłądzę? Jestem tu u was pierwszy raz.

– Nie, synku, od razu zobaczysz, tam jest najwięcej kwiatów. Widocznie dobry był chłopiec z tego Kosti, nie ma dnia, żeby młodzi do niego nie przyszli. Kto ma tylu przyjaciół, temu umierać nie strach, prawda, synku? – wymamrotała staruszka.

– Czemuż to? Umierać zawsze strach – zaproponował generał.

– Przecież wszyscy się tam znajdziemy. A jak umierać, kiedy wiesz, że nawet pies z kulawą nogą nie wspomni cię ani nie pożałuje? A o tym Kosti tylu ludzi pamięta, to znaczy, że jeszcze długo będzie na tym świecie. Więc tak, alejką na lewo do końca i w prawo. Gdzie dużo kwiatów, tam leży Kostia.

– Dziękuję, babciu.

Grób Małuszki rzeczywiście znalazł łatwo. Ale nie podszedł blisko, zatrzymał się w pewnej odległości, ponieważ stali przy nim chłopcy, bracia Kosti. Wakar popatrzył na ich twarze i wszystko zrozumiał. To, o czym wczoraj próbowała opowiedzieć mu kobieta z wydziału kryminalnego, dzisiaj raptem odsłoniło się przed Władimirem Siergiejewiczem w całej bezlitosnej nagości. Dzieci nie powinny być okrutne, nie powinny nienawidzić, w przeciwnym razie, dorastając, nie będą umiały kochać. Żądza zemsty wyjaławia duszę, wypala ją do cna, i już nigdy żadna roślinka nie przebije się przez grubą warstwę popiołu. Te dzieci dorosną i będą chciały się zemścić, jeśli nie zrobi teraz tego wymiar sprawiedliwości. One sprawią komuś ból i, z kolei, staną się dla kogoś obiektem odwetu. I tak bez końca... Przemoc rodzi przemoc, ból rodzi ból, zemsta rodzi tylko zemstę.

Podszedł w milczeniu do grobu, położył kwiaty, krótko kiwnął braciom głową i odszedł, nie odezwawszy się ani słowem.

ROZDZIAŁ 12

1

Mieszkanie, które zajmowała przejściowo Dasza Sundijewa, było małe i zapuszczone, ale dziewczyna podczas swego przymusowego pobytu jakoś potrafiła nadać mu schludny wygląd i stworzyć nawet coś na kształt domowego ciepła. Okna umyła tak, że można się było w nich przejrzeć, wyszorowała proszkiem kafelki w łazience, toalecie i w kuchni, wyprała i wyprasowała wszystkie zasłony, spośród zdekompleto wanych naczyń i bibelotów wybrała najbardziej przyzwoite i ustawiła je na półkach, umyła klosze lamp. Na skutek tych zabiegów jej tymczasowe schronienie zrobiło się zupełnie do przyjęcia. Ale dla niej stanowiło rajski zakątek, bo tutaj mogła spotykać się z Saszą o każdej porze i nie być zależna od delikatności jego przyjaciół.

Sasza wyraźnie się zmienił po rozmowie z siostrą. Oczywiście Dasza bardzo mu się podobała, co więcej, był w niej zakochany, jak słusznie spostrzegła Nastia, po same uszy. Ale jako człowiek, który raz na zawsze uznał, że wzajemna miłość nie jest mu pisana, zachowywał się powściągliwie, nic nie tłumaczył i nie obiecywał, nie wszczynał rozmowy o przyszłości i nie szafował czułymi słówkami. Dasza natomiast jakby nie zauważała jego

powściągliwości i chłodu, bez skrępowania wyznawała mu swoją miłość, przytulała się do niego i z oddaniem zaglądała w oczy. Szczerze mówiąc, Aleksander, nie nawykły do otwartego wyrażania uczuć, uważał swoją przyjaciółkę za trochę dziecinną. I dopiero po awanturze, którą urządziła mu siostrzyczka Anastazja, opamiętał się i jakby przejrzał na oczy. I to, co jeszcze wczoraj wydawało mu się przejawem dziecięcej bezpośredniości i naiwności, dzisiaj nagle nabrało zupełnie innego wymiaru. Niech to diabli, Daszka go kochała! Jego, którego w dzieciństwie dzieciaki przezywały świńskim blondynem i bladą twarzą. Boże, czym sobie zasłużył na takie szczęście?

– Dalej nie rozumiem, po co takie komplikacje – powtarzał z uporem swojej ukochanej. – Można było przecież udać, że po prostu wyjechałaś.

– No jak ty nic nie rozumiesz – cierpliwie wyjaśniała mu Dasza, czule głaszcząc go po ramionach i plecach – gdybym po prostu wyjechała, oni by czekali, dopóki nie wrócę. Kto wie, jakie mają zamiary? A tak – nie ma mnie. Zostałam zlikwidowana. I cześć pieśni.

– A po co o czwartej rano wysłano do nich dziewczyny?

– Sanieczka, jaki ty jesteś niepojętny. – Dasza uśmiechnęła się. – No pomyśl, dzwoni ktoś do drzwi i mówi: „Dzień dobry, ja z telekomunikacji. Proszę otworzyć”. Przecież nie każdy otworzy. Ludzie zwykle się upierają, mówią, że nikogo nie wzywali, że wszystko działa bez zarzutu i w rezultacie nie otwierają drzwi, tylko dzwonią do biura i pytają: po co niepokoicie ludzi bez potrzeby, nikogo nie wzywaliśmy. A w biurze odpowiadają, że nikogo nie wysłano, że to z pewnością jacyś złodzieje, proszę się zwrócić do

milicji. A teraz wyobraź sobie, że najpierw dzwonią do kogoś i mówią: „Biuro napraw. Przepraszamy za kłopot, ale mamy zerwaną linię, nie możemy zlokalizować uszkodzenia. Zaraz nasz monter pojawi się w pańskim mieszkaniu”. No? Otworzysz mu drzwi po takim telefonie? Oczywiście, że otworzysz, nie będziesz miał wyjścia. Nawet ci do głowy nie przyjdzie wydzwaniać do biura, żeby sprawdzać. I właśnie na to tutaj liczą. Faceci zostali uprzedzeni, że ktoś chce mnie zabić, dobrze nastraszeni, a potem groźbę spełniono. Żadnych wątpliwości. Rozumiesz?

– Och, jak dobrze. – Sasza przeciągnął się błogo, leżąc w łóżku. – Jeszcze tutaj pogłaszcz, między łopatkami. Aha, o tutaj. O, jak przyjemnie! Nawiasem mówiąc, a dlaczego o czwartej rano? Nie można było w ciągu dnia?

– No coś ty! – oburzyła się Daria. – Spróbuj ich zastać w domu w ciągu dnia! A zresztą, tu też spodziewano się określonego efektu. Jak wyglądasz, kiedy otwierasz drzwi o czwartej rano? W spodenkach i w kapciach, a może i boso. Dziewczyny powiedziały swoje, nastraszyły ich i spokojnie odeszły. Spróbowałbyś pobiec za nimi w samych spodenkach. Przy tym o czwartej rano sen jest mocny, jeśli się obudzisz, to w głowie masz zamęt, kiepsko kojarzysz. To twoja siostra wymyśliła. Taka mądra siostra ci się trafiła, że aż strach!

– A identyczne dziewczyny też ona wymyśliła? – leniwie zainteresował się Sasza, przewracając się na plecy i układając wygodnie na poduszkach.

– Uhm. Pomysł był jej, a wykonanie moje. To znaczy z początku mowa była tylko o tym, żeby jednego faceta zamienić w tego świra. Kiedy go charakteryzowałam, Anastazja Pawłowna spytała, czy

można z trzech różnych dziewcząt zrobić trzy jednakowe. W tym wypadku cała sztuka polega na odwróceniu uwagi. Trzy podobne twarze można znaleźć, choć nie jest to łatwe, więc musiałyśmy zrobić tak, żeby na twarze nikt nie patrzył. Wiesz, są takie specjalne sposoby w sztuce wizażu na użytek czarno-białej i kolorowej fotografii. Dla czarno-białego zdjęcia ważne jest, żeby kontury i linie były prawidłowe i ładne, bo koloru i tak nie ma. Jeśli na przykład kobieta ma niewiarygodnie piękny kolor włosów albo oczu i niczym więcej się nie wyróżnia, to na czarno-białej fotografii będzie wyglądać przeciętnie. Trzeba ją fotografować tylko na kolorowej kliszy, żeby wydobyć to, co jest ładne, a to, co jest w wyglądzie zwyczajne albo nieładne – ukryć. I odwrotnie, jeśli ktoś ma idealne rysy twarzy, ale reszta jest przeciętna, trzeba fotografować tylko w wersji czarno-białej i podkreślać właśnie linie, natomiast nie eksponować koloru włosów i oczu. No a ponieważ nasze życie jest kolorowe, należało postawić na kolor, który ukryje linie. Tłumaczę jasno? Pomyśl, jaskrawoczerwona skóra od stóp do głów już sama w sobie jest irytująca, ale jednocześnie urzeka, a jeśli przy tym rozpiąć u góry guziczki i wyeksponować biust? Żaden normalny facet nie będzie patrzeć ci wtedy w twarz. Włożyłyśmy im jednakowe peruki, oczy pociągnęłyśmy czarną kredką, jaskrawe usta o jednakowym zarysie, to nie jest trudne. Najpierw na całą twarz i usta nakładasz podkład, potem rysujesz konturówką, co chcesz, i nakładasz jak najjaskrawszą szminkę, oto cały sekret. I możesz być pewien, że nikt nie dopatrzy się żadnych innych szczegółów. Tym bardziej że ci faceci się bali, a kiedy człowiek się boi, nigdy nie patrzy w oczy temu, kogo się boi. Dziewczyny mówiły potem, że wszyscy trzej jak wlepili wzrok w dekolt, to

nawet oczu nie podnieśli. A Anastazja Pawłowna akurat na to postawiła i włożyła dziewczynom jednakowe wisiorki uszkodzone w ten sam sposób.

– Słuchaj, dlaczego ciągle mówisz o niej Anastazja Pawłowna? Przecież nie jest dla ciebie obca, to moja siostra.

– Coś ty?! – Dasza aż się zachłysnęła, słysząc takie bluźnierstwo. – Ona jest taka... Jest prawie najlepsza na świecie. Tykanie jej przez gardło by mi nie przeszło.

– Co to znaczy: prawie najlepsza? – Aleksander podejrzliwie uniósł głowę. – Coś nie bardzo rozumiem to „prawie”. Coś ci się w niej nie podoba?

– Ależ skąd, Sanieczka. Najlepszy na świecie jesteś ty. A Anastazja Pawłowna jest druga z kolei. Chcesz, to przyniosę ci herbatę?

– Przynieś – odparł z wdzięcznością Sasza, nie mogąc się nadziwić swojej ślepotcie i swojemu szczęściu.

Już w drzwiach objął Daszę i zapytał niepewnie:

– Daria, zaczekasz, póki nie poukładam sobie spraw rodzinnych? Obiecuję, że nie będę zwlekać. Tylko zaczekaj. Nie rzucaj mnie.

– Oczywiście, że zaczekam – odparła z uśmiechem. – Załatwiał swoje sprawy tak długo, jak długo będzie trzeba. Nigdzie się nie spieszę.

W sali panował jednostajny, niezbyt głośny zgiełk, jak zawsze w czasie służbowych zasiadówek. Wszyscy przyszli z obowiązku, słuchali jednym uchem i starając się maksymalnie wykorzystać czas, gawędzili z przyjaciółmi, czytali, szkicowali robocze wersje zaległych pism albo po prostu pograżyli się w rozmyślaniach.

Nastia siedziała w tylnym rzędzie i omawiała szeptem ze swoim kolegą Jurą Korotkowem perypetie jego przedłużającego się romansu, który trwał już ponad dwa lata, co, jak na kochliwego Jurę, było iście olimpijskim rekordem.

– Jej mąż się awanturuje, bo ona odmawia wyjazdu na daczę – tragicznym szeptem oznajmił Korotkow.

– A czemu odmawia? Niech jedzie.

– Nie chce. Dwie godziny pociągiem, potem jeszcze godzinę pieszo, a na miejscu nie ma wody ani światła. Na cholere jej ta przyjemność?

– To po co w takim razie kupowała daczę, skoro nie chce tam jeździć?

– To nie ona, mąż kupił. A teraz zmusza ją, żeby jeździła.

– Nie rozumiem tego – powiedziała Nastia.

– Czego nie rozumiesz?

– Nie rozumiem, jak ktoś może zmusić do czegoś dorosłą kobietę, jeśli ona tego nie chce. Nie chciała kupować daczki, więc chyba ma prawo nie chcieć tam jeździć. Niech pośle męża do wszystkich diabłów, i koniec.

– Łatwo ci mówić, ty zawsze byłaś niezależna – westchnął Korotkow. – Gdybyś była zameżna, wiedziałabyś, co to znaczy – posłać męża do diabła. Nie takie to proste. Zwłaszcza kiedy wiesz, że nie jesteś bez winy, że to i owo przeskrobałaś.

– No to niech się nie skarży – szeptem ucięła Nastia. – Albo romansuje, albo nie jeździ na daczę. Jedno z dwojga. Posłuchajmy, jak Muraszow będzie nas teraz rozstawiać po kątach.

Na mównicę wszedł Anatolij Nikołajewicz Muraszow, jeden z zastępców naczelnika wydziału. Jego konikiem była dyscyplina, w związku z czym nie omijał żadnej okazji do poruszenia tego tematu, gdy tylko miał przed sobą publiczność.

– Najwyższy czas puknąć się w czoło i spytać naszych kolegów z kadr, dlaczego logika zabrnęła w ślepią uliczkę!

Sala się ożywiła. Cały urząd znał pułkownika Muraszowa z jego niestandardowych powiedzeń. Jako szef był sympatyczny i szczerze przejmował się pracą, ale miał wyraźne kłopoty z językiem. Najzabawniejsze było to, że sam tego nie widział, uważał się za niezwykle elokwentnego, a jego „perełki” nie były przypadkowymi przejęzyczeniami, lecz stanowiły rezultat przygotowanych i obmyślonych zawczasu przemówień.

– ...W piątek postanowiliśmy komisyjnie, żeby skontrolować salę gimnastyczną. To, co tam zobaczyliśmy, nie da się zanalizować z przerażenia...

Nastia parsknęła. Tylko Bokra tu jeszcze brakuje – pomyślała. – Dopiero by miał rozrywkę.

Wspomnienie Bokra przywiodło jej na myśl Władimira Wakara i zatopiła się w niewesołych rozważaniach, jak ma udowodnić, że

Kostię Małuszki zabił Jerochin, jeżeli uparty generał odmówi jednak złożenia zeznań. I jak ma ustrzec Wakara przed popełnieniem jeszcze jednego morderstwa...

– Zauważyłem, że na służbowe szkolenia pracownicy urzędu przychodzą po cywilnemu. To jest bałagan, koledzy. Chodzić bez munduru mają prawo tylko kobiety w poważnym stanie albo jeżeli ktoś ma, na przykład, nogę w gipsie. Jeszcze raz podkreślam, że na służbowe szkolenia bez munduru przychodzą tylko ciężarne i połamani...

– Jura – Nastia zwróciła się do Korotkowa – puknij się w czoło i zapytaj swoją Ludmiłę, dlaczego jej logika zabrnęła w ślepią uliczkę.

– W jakim sensie?

– Niech powie mężowi, że jest w poważnym stanie albo połamana, i odmówi jeżdżenia z nim na daczę.

– A niech cię licho, Aśka, wiecznie urządzasz jakieś śmichy-chichy.

– Aha – przyznała mu rację. – A ty jesteś smutny jak śmierć. Brakuje ci poczucia humoru. Wiesz, co to takiego?

– Mniej więcej.

– Poczucie humoru to takie pojmowanie życia, które pojawia się u człowieka, który doszedł do skraju bezdennej przepaści, zajrzał tam ostrożnie i po cichutku zawrócił.

– Sama wymyśliłaś?

– Nie, Fazil Iskander. Jest jeszcze jedno wspaniałe powiedzenie: „Nie ma problemów nie do rozwiązania. Bywają tylko rozwiązania nieprzyjemne”.

– Też Iskander?

– Eryk Born. Jurka, to wstyd być takim nieukiem. Czy ty nic nie czytasz?

– Dlaczego, czytam – obraził się Korotkow. – Tylko nie zapamiętuję. To ty masz śmietnik w głowie, o cokolwiek cię zapytam – na wszystko masz odpowiedź.

– Sherlock Holmes się znalazł – sarknęła.

– A co ma do tego Sherlock Holmes?

– To przecież on uważał, że umysłu nie należy zaśmiecać, w przeciwnym razie nie znajdziesz potem potrzebnej informacji wśród różnych rupieci. Na przykład twierdzenie, że Ziemia kręci się wokół Słońca, nazywał informacyjnym śmieciem i mówił, że liczba złodziei w Londynie nie zmniejszy się przez to, że on będzie o tym wiedział. Czyżbyś i tego nie pamiętał? To przecież klasyka! Wstyd i hańba!

Po zakończeniu służbowego szkolenia Nastia wróciła do siebie i próbowała zająć się pracą, ale robota jej nie szła. Uparty Wakar nie wychodził jej z głowy i zupełnie nie mogła się skoncentrować na innych zadaniach. Wreszcie udało się jej, i zatopiła się w rozwiązywaniu sprawy serii gwałtów w rejonie Parku Bitcewskiego. Gwałtów dokonywano regularnie, a modus operandi wskazywał na jednego sprawcę...

Jej rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu.

– Kamieńska – rozległ się głosik Zoi z biura przepustek – ktoś do ciebie.

– Kto? – Nastia zapytała machinalnie, nie odrywając oczu od planu Parku Bitcewskiego, na którym miejsca popełnienia przestępstw zaznaczyła krzyżykami. Miała wrażenie, że odnalazła

pewną prawidłowość, i bała się, że urwie jej się myśl, która wpadła jej do głowy.

– Wakar Władimir Siergiejewicz. Wypisać przepustkę?

– Kto?!

– Wakar. Znasz go?

– Zojeńko... – Nastia zakręciła się w miejscu. – Ty... On...

– Co ci się stało, Nastazjo? – zdziwiła się flegmatyczna Zoja.

– On... Boję się, że mnie nie znajdzie. Zaraz sama zejdę. Zojeńko, kochana, postaraj się, żeby sobie nie poszedł. Już lecę!

Zerwała się z miejsca i wyskoczyła na korytarz, nie zamknąwszy nawet drzwi. Pędząc bez tchu schodami w dół, widziała w wyobraźni, jak generał Wakar wzrusza ramionami i wychodzi na ulicę, rezygnując z rozmowy. Przeskakując po kilka stopni, źle stąpnęła, ale biegła dalej, nie zważając na ostry ból w kostce.

Obok biura przepustek zobaczyła Wakara i podbiegła do niego, czerwona, zdyszana, z włosami w nieładzie.

– Dzień dobry – powiedziała, ciężko oddychając.

Wakar spojrzał na nią w milczeniu.

– Dużo pani pali – powiedział w końcu. – To przeszkadza biegać, zaraz chwyta panią zadyszka. Nie wstyd pani?

– Wstyd – przyznała, gotowa zgodzić się na wszystko, byleby tylko nie odszedł. – Daję słowo honoru, że się poprawię. Chciał pan ze mną rozmawiać?

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– Chodźmy.

Zaprowadziła generała do swego gabinetu i zamknęła drzwi od wewnątrz, żeby nikt im nie przeszkodził. Władimir Siergiejewicz siedział na krześle wyprostowany, ale nie wyglądał na spiętego. Był absolutnie spokojny.

– Anastazjo Pawłowno, złożę zeznania przeciwko Jerochinowi.

To koniec – pomyślała z niewytłumaczalnym smutkiem. – Koniec.

W milczeniu wyjęła z sejfu formularz protokołu przesłuchania i zaczęła go wypełniać. Wszystkie dane Władimira Siergiejewicza Wakara znała na pamięć, zbyt długo je studiowała i zbyt często o nim ostatnio myślała.

– Dwudziestego dziewiątego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku o osiemnastej dwadzieścia pięć zobaczyłem, jak obywatel Jerochin Igor Pietrowicz podszedł do milicjanta, który pełnił służbę w budynku stacji metra TagańskaRadialna...

Nastia notowała szybko, nie przerywając mu, tylko od czasu do czasu zadawała uzupełniające pytania. Zrozumiała, że Wakar nie pojawił się pod wpływem nagłego porywu. Podjął decyzję, którą przemyślał i rozważył wiele razy, powtarzając kilkakrotnie zeznania w pamięci. Budował krótkie, suche i oficjalne zdania, w których nie było ani jednego zbędnego słowa.

– ...Kiedy Jerochin opuścił teren budowy, zajrzałem tam przez dziurę i zobaczyłem leżącego na ziemi milicjanta, z którym Jerochin wychodził z metra. Sądząc z pozycji ciała i na podstawie śladów krwi wywnioskowałem, że otrzymał ranę postrzałową.

Skończywszy dyktować zeznania, Wakar zamilkł. Nastia nie miała pojęcia, czy generał odczuwa ulgę, czy w ogóle nic nie czuje.

– Władimirze Siergiejewiczu, zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji pańskiego kroku?

– Jakich mianowicie?

– Śledczy z pewnością poprosi pana o zidentyfikowanie Jerochina i zapyta, czy jest pan pewien, że widział pan na stacji Tagańska właśnie jego. Będzie pan musiał powiedzieć mu, że nie mógł się pan pomylić, bo dobrze zna pan Jerochina z widzenia. Potem może się pan spodziewać pytania, skąd pan go zna. Jeżeli pan o tym nie powie, może to zrobić Jerochin. Może pana nie poznać, ale nie może nie przypomnieć sobie pańskiego nazwiska. Domyśla się pan, co będzie dalej?

– Tak, zastanawiałem się nad tym.

– I?

– Jestem gotów na wszystko, co będzie się dalej działo. Już pani mówiłem, jestem gotów odpowiedzieć za wszystko, co zrobiłem, jeśli uda się pani to udowodnić. Nie będę pani w tym pomagał. Ale przeszkadzać i wykręcać się też nie będę.

Nastia wydawało się, że rozmawia z automatem. Zupełnie bezbarwny głos, beznamiętna twarz, nieruchoma poza. Ale nie była to automatyczna obojętność i chłód. Był to spokój człowieka, który podjął najważniejszą decyzję w życiu i rozumiał, że nie może się wycofać.

Odprowadziła Wakara do wyjścia z budynku. Jakiś czas stali w milczeniu obok siebie w chłodnym jesiennym deszczu. Nastia objęła się za ramiona, drżąc z chłodu w cieniutkim swetrze. Chciała podziękować generałowi, ale nie mogła się zdecydować, czy to stosowne – dziękować człowiekowi, który pogodził się z

perspektywą znalezienia się za kratkami, i jakie dobrać słowa, żeby wyrazić to, co myśli, i nie wyjść przy tym na nietaktowną idiotkę. Zamiast tego po prostu wyciągnęła do niego rękę. Uścisk Wakara był krótki i mocny.

3

Bokr jechał ostrożnie za białym żiguli generała Wakara. Dzięki Bogu, Wakar najwyraźniej nie zamie rzał wprowadzać dzisiaj w życie swojego złowrogiemu zamiaru. Zbliżała się północ, a on zmierzał w stronę domu.

Władimir Siergiejewicz parkował zwykle samochód na podwórzu, pod oknami swego mieszkania. Bokr wiedział już o tym, toteż zdecydował, że nie będzie wjeżdżał na podwórze. Kiedy białe żiguli skręciło w bramę, zatrzymał swego moskwicza, zamknął go i po cichutku podkradł się do miejsca, z którego, jak się zorientował wcześniej, dobrze było widać klatkę schodową prowadzącą do mieszkania Wakarów. Popatrzy, jak generał wejdzie, a potem będzie stać i obserwować wejście, aż otrzyma sygnał, że Jerochin też wrócił do domu. Dopiero mając pewność, że potencjalna ofiara znajduje się u siebie, będzie mógł opuścić swój punkt obserwacyjny.

Malutki człowieczek w długim szarym płaszczu i szarej narciarskiej czapeczce stał, opierając się plecami o kamienną ścianę

domu. W wieczornej mgle na tle brudnej ściany nie można go było zauważyć nawet z odległości trzech kroków. Wakar zamknął samochód, sprawdził drzwiczki i bagażnik, wyciągnął papierosy i zapalił. Nawet teraz stał wyprostowany, nie garbiąc się, nie przestępując z nogi na nogę. Palił papierosa i patrzył w oświetlone okna swojego mieszkania.

Rzucił niedopałek i ruszył w stronę wejścia. W tym momencie wśród mnóstwa samochodów na podwórzu Bokr zobaczył jasnokawowego mercedesa. Takim samym jeździł Wiktor Kostyria. Bokr jak burza wpadł na podwórko i przypadł do znajomego samochodu. Wszystko się zgadza, numer rejestracyjny identyczny.

– Stać! – zawołał do Wakara, za którym już się zamykały drzwi. – Niech pan zaczeka! Wakar! Niech pan zaczeka!

Krzyczał bardzo głośno, prawdopodobnie generał słyszał go, ale nie zdążył już zareagować. Rozległ się strzał i w następnej chwili z budynku wybiegł Jerochin. Jeszcze jeden strzał, i jeszcze jeden...

Ryknął silnik mercedesa i samochód wypadł na prospekt. Na pustym podwórzu na brudnym mokrym asfalcie leżał malutki człowieczek w długim szarym płaszczu.

– On umiera – uprzedził Nastię lekarz, prowadząc ją długim szpitalnym korytarzem. – Byłoby lepiej, gdyby odwiedziła go teraz rodzina. Boję się, że wkrótce może być za późno. Kim pani jest dla niego?

– Nikim. To znaczy chciałam powiedzieć, że nie jestem krewną.

– Tego się domyśliłem. – Lekarz uśmiechnął się posepnie. – W kieszeni koszuli znaleźliśmy kartkę: „W nagłym wypadku zawiadomić telefonicznie...” – i dalej dwa numery. Telefonując pod jeden z nich, trafiłem na panią. Pani z milicji?

– Tak – kiwnęła głową, nawet nie pytając rozmownego lekarza, jak na to wpadł.

– Nie możemy go operować, nie przetrzyma narkozy. Rana jest ciężka, stracił mnóstwo krwi. Tak więc, niestety, nic nie jesteśmy w stanie zrobić. Ale on jest twardy, nie traci przytomności i nawet porozmawiał trochę ze śledczym. Milicja przyjechała zaraz po tym, jak go przywieziono. Ale pani chyba nie jest od nich?

– Nie, przyszedłam sama. To mój przyjaciel.

W sali było jasno i słonecznie. Nie wiadomo czemu właśnie dzisiaj wypadł pierwszy od wielu tygodni pogodny dzień. Dlaczego dzisiaj? – jakoś bez związku pomyślała Nastia. – Dlaczego właśnie dzisiaj, kiedy on umiera, musi być tak ładnie i słonecznie? To niedorzeczne.

Malutki człowieczek wydawał się jeszcze mniejszy w ogromnej pustej sali. Nastia po raz pierwszy zobaczyła go bez szarej czapeczki, włosy miał długie i ciemne, związane na karku w koński ogon. Drobne kropelki potu pokrywały szarą jak popiół twarz o zapadłych oczach i wystających kościach policzkowych. Nastia rzuciła okiem na przymocowaną w nogach łóżka tabliczkę i serce jej

zamarło. Na tabliczce dużymi literami było napisane: „Siergiej Eduardowicz Denisow”.

Bandzior lingwista.

„Złoty chłopiec”.

Syn Eduarda Pietrowicza Denisowa.

Nastia podeszła bliżej i wzięła Bokra za rękę.

– Sierioża – zawołała. – Sieriożeńka.

Otworzył oczy i spróbował się uśmiechnąć.

– To moja wina – wyszeptał ledwie dosłyszalnie. – Nie upilnowałem. Samochód... był inny... nie skojarzyłem w porę. Moja wina.

– Dlaczego mi pan nie powiedział? – zapytała z wyrzutem Nastia.

– O czym?

– O tym, że jest pan synem Eda Burgundzkiego.

– Jakie to ma znaczenie? Nieślubny syn... Nie ma się czym chwalić. Nie jestem synem, jestem sam... sam...

– To nieprawda, Sierioża. On pana kocha. Ceni pana. Specjalnie mnie prosił, żebym pana strzegła. Mówił, że jest pan złotym chłopcem. A ja pana nie uchroniłam. Niech się pan postara z tego wykaraskać, dobrze?

– Tego nie mogę obiecać... Nigdy nie obiecuję, jeżeli nie mam pewności... – Z trudem łapał oddech, jakby brakowało mu powietrza.

Przymknął oczy znużony. Nastia milczała, bojąc się go niepokoić.

– Dlaczego pani płacze? – rozległ się jego głos. – Nie trzeba...

– Skąd pan wie? Oczy ma pan przecież zamknięte – połykając łzy, próbowała obrócić pytanie w żart.

– Słyszę... Byłem przestępcą, potem świadkiem... A teraz... przyszła kolej, żeby zostać ofiarą. Taka epidersja... Zupełny arcymonokl...

Spróbował się uśmiechnąć. Jego cienkie wargi lekko się rozciągnęły i zastygły w bezruchu. Nastia nie od razu zdała sobie sprawę, że znieruchomiały na zawsze. Dopiero kiedy czyjaś ręka nagle odsunęła ją od Bokra, zrozumiała, że przez cały czas stał za nią lekarz.

Kiedy krzątanina wokół łóżka, na którym leżał „złoty chłopiec”, ucichła, znowu do niego podeszła, nachyliła się i ostrożnie pocałowała w czoło, przesunęła ręką po twarzy, zamykając w geście pożegnania jego nieruchome oczy.

– Do widzenia, Sierioża – powiedziała przez łzy. – Wybacz mi.

5

Głośny dzwonek wewnętrznego telefonu wyrwał ją z odrętwienia.

– Kamieńska, proszę do mnie – rozległ się zimny głos Wiktora Aleksiejewicza Gordiejewa.

Kamieńska! A więc jakaś urzędowa sprawa. Nastia przejrzała się w lustrze. Ciemne wory pod oczami, czerwone opuchnięte powieki, czerwone plamy na ziemistoszarej twarzy. Pomyśleć tylko, że są pisarze, których bohaterki, gdy płaczą, stają się jeszcze piękniejsze. Co za bezczelne kłamstwa?

Otworzyła torebkę, wyjęła kosmetyczkę i naprędce doprowadziła się do porządku, nieładne alergiczne plamy zatuszowała pudrem w płynie, podmalowała oczy, żeby ukryć opuchliznę, przeciągnęła szczotką po włosach. Już miała podejść do drzwi, ale nagle się zatrzymała, spoglądając na nogi. W gabinecie Pączka są jacyś oficjele, a ona zamierza pojawić się tam w dżinsach, swetrze i adidasach. Nie wypada.

Szybko zamknęła drzwi, zrzuciła tak lubiane cywilne fatałaszkę, wyjęła z szafy służbową spódnicę i bluzę z naramiennikami. Tak będzie lepiej, uznała, zapinając na karku ciemnoszary krawat. Czarne pantofle co prawda były niewygodne i nieznośnie uwierały, ale dało się to jakoś znieść.

W gabinecie Gordiejewa zobaczyła trzech nieznanym mężczyźn. Dwaj siedzieli przy długim, dostawianym stole konferencyjnym, trzeci stał przy oknie, tam gdzie w chwilach zadumy lubił stać sam Pączek. Pułkownik zajmował swoje miejsce, surowy, z nieprzenikniętą obojętną twarzą.

– Poznajcie się, państwo – powiedział, cedząc słowa. – Major Anastazja Pawłowna Kamieńska. Anastazjo Pawłowno, to nasi koledzy ze Służby Federalnej Kontrwywiadu.

– Rastiapin. – Jeden z siedzących przy stole, przedstawiając się, wykonał gest, jakby miał wstać, ale nie oderwał tyłka od krzesła.

– Kucewoł. – Drugi wyprężył się podczas prezentacji, i Nastia zobaczyła jego całkiem młodą otwartą twarz z przepaszającym uśmiechem. Pewnie zauważył nieuprzejmość swojego kolegi Rastiapina.

Trzeci odwrócił się od okna i zrobił kilka kroków w stronę Nastii.

– Anatolij Aleksiejewicz Griszyn – powiedział wyraźnie, wyciągając do niej rękę, którą słabo uścisnęła.

Słuchała piąte przez dziesiąte wyjaśnień kolegów z SF, raz po raz przerywanych pytaniami Gordiejewa. Pułkownik był najwyraźniej nie w humorze, jego pytania były ostre, zjadliwe, a odpowiedzi – miażdżące.

– ...Właściwie wszystko zaczęło się w chwili, kiedy straciliśmy z oczu Steinberga – wyjaśniał Griszyn. – Od dawna chciał wyjechać, jeszcze kiedy był asystentem, w osiemdziesiątym roku. Wy tłumaczono mu, że dopóki jest zaangażowany w prace dotyczące przemysłu obronnego, może o tym tylko pomarzyć. Steinberg postąpił tak, jak postępowało w tym czasie tysiące ludzi, których nie wypuszczano za granicę dla dobra racji stanu. Zwolnił się i został dozorcą, żeby po pięciu latach, kiedy tajemnice państwowe stracą ważność, wyjechać. Ale w odróżnieniu od wielu innych, nie zamierzał wyjechać tak po prostu, miał zamiar prowadzić dalej pracę naukową, toteż w przerwach między sprzątaniem ulic aktualizował wiedzę, nie próżnował. W zamkniętym instytucie naukowobadawczym, gdzie pracował wcześniej, pozostawił wielu przyjaciół, którzy, nie bacząc na obowiązujące zasady, dawali mu regularnie do czytania nową literaturę i nawet przeprowadzali u siebie w laboratoriach niewielkie doświadczenia na zamówienie Steinberga. Od osiemdziesiątego piątego roku czekał na pozwolenie

wyjazdu, ale KGB bardzo nie chciało się z nim rozstać. Przeciągali, ile tylko można, ale w końcu w ubiegłym roku otrzymał pozwolenie. To było wręcz nie do wiary, że facet trzynastcie lat nielegalnie zajmował się pracą naukową bez dostępu do bibliotek i laboratoriów. Ale na wszelki wypadek postanowiono mu się przyjrzeć, dając takie polecenie naszej rezydenturze w Izraelu, oni jednak powiadomili nas, że Michał Markowicz Steinberg po przejściu przez odprawę celną gdzieś przepadł. Widziano go, jak wychodził z budynku lotniska razem z mężczyzną, który, sądząc z opisu, ogromnie przypominał pewnego bardzo dobrze nam znanego agenta obcego wywiadu. Co się działo dalej – to długa historia, ale ostatecznie udało nam się ustalić, że Steinberg znajduje się w Azji, w jednym z krajów muzułmańskich...

Jutro Denisow przyjedzie po ciało syna – myślała Nastia. – Jak spojrzę mu w oczy? Poprosiłam o małą przysługę i jak się to skończyło? Boże, jak to boli. Przecież znałam Bokra zaledwie trzy tygodnie, a czuję taki ból jak po stracie najbliższej osoby. I Wakar... Jak się to wszystko okropnie skończyło.

– ...Broń sejsmiczna – ciągnął Griszyn – w kręgu religijnych fanatyków może odgrywać ważną rolę polityczną. Wywołanie sztucznego trzęsienia ziemi w przewidzianym wcześniej czasie i miejscu to potężny środek oddziaływania na głosy wyborców...

Nastia zaczęła żałować, że nie usiadła przy stole konferencyjnym, tylko wybrała swój ulubiony fotel w kącie. Gdyby siedziała przy stole, mogłaby, nie zwracając niczyjej uwagi, zdjąć ciasne pantofle, i nogi by trochę odpoczęły.

– Przypuszczaliśmy, że Steinberg będzie potrzebował do pracy niewielkich ilości niektórych rzadkich metali. Chodziło o

pochłaniacze gazu czy specjalne szkło. Ale nie mogliśmy wpaść na ślad kanału, którym przekazywano metale do podziemnego laboratorium. Przypadek zrządził, że namierzyliście ten kanał, badając sprawę zabójstwa milicjanta Małuszkin. Dlatego zwracamy się o przekazanie wszelkich materiałów dotyczących Rieznikowa i jego grupy.

Nie interesuje ich młody Kostia Małuszkin – dotarło nagle do Nasti. – Co ich obchodzi jego rodzice i bracia? Kim jest dla nich Kostia? Pustym nazwiskiem. Liczy się tylko to, żeby kilogram jakiegoś przekłętą sproszkowanego metalu nie opuścił granic naszego wielkiego mocarstwa. Najważniejsze, żeby w jakimś dalekim kraju muzułmańskim do władzy nie doszły wrogie nam siły. Wielkie cele i globalne zadania nie zostawiają miejsca na takie głupstwa jak ludzkie życie. Dla nich śmierć Kosti to wielki sukces, który pozwolił wykryć kanał zbytu galu i skandu. Niech ich diabli!...

– Anastazjo Pawłowno, czy otrzymamy od pani wszystkie materiały w sprawie Rieznikowa?

Możecie mi skoczyć – wulgarnie odrzekła w duchu, ale głośno powiedziała uprzejmie:

– Oczywiście, przekażę panom wszystko, co jest w moim posiadaniu. Chcę jeszcze dodać, że według moich informacji, w najbliższym czasie Rieznikow nawiąże kontakt w sprawie dostawy metalu. Spieszy się, więc nie będziemy długo czekać.

– Skąd takie informacje? – zapytał zaniepokojony Rastiapin, łaskawie odwracając się do Nasti twarzą.

Z wykopalisk – odpowiedziała w myślach. – Jerochin zabił Władimira Wakara w pośpiechu, w nieodpowiednim czasie i

miejscu, nie sprawdzając, czy nie ma świadków, wskutek czego musiał popełnić drugie morderstwo, sprzątając Bokra, który wziął się nie wiadomo skąd. Jak potwierdzają wyniki obserwacji, Jerochin nie robi wrażenia człowieka głupiego, lekkomyślnego, więc jeśli poszedł na c o ś t a k i e g o, musiał mieć ważne powody. Czas go naglił. Usunął Wakara, ale zamiast odciągnąć swego prześladowcę jak najdalej i skończyć z nim, zabił go w samym wejściu, ryzykując, że ktoś go zobaczy. To oznacza, że bał się Wakara nie tylko jako zabójcy, ale i jako świadka, który w każdej chwili może mu zerknąć przez ramię i zobaczyć coś, co nie jest przeznaczone dla jego oczu.

– Po prostu mam takie informacje – odparła Nastia ze spokojem i zamilkła, dając jasno do zrozumienia, że nie zamierza na ten temat dyskutować.

– Czy możemy być pewni, że przekaze nam pani w s z y s t k i e posiadane informacje? – powtórzył dociekliwy Rastiapin, kładąc nacisk na słowo „wszystkie”.

– Z góry podejrzewa mnie pan o nierzetelność? – Uśmiechnęła się złośliwie. Rastiapin od razu jej się nie spodobał. Skończony cham. Nie umie przywitać się z kobietą. Niechby cię tylko zobaczył Wakar, który był gotów odprowadzić mnie późnym wieczorem do domu tylko dlatego, że jestem kobietą, a on – oficerem i mężczyzną. A ty, Rastiapin, jesteś beznadziejnym dupkiem.

Na myśl o Wakarze znowu coś ją ścisnęło w gardle i w oczach zakreśliły się łzy. Nastia nerwowo przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Proszę się tak nie przejmować, Anastazjo Pawłowno – powiedział tonem pełnym wyrzutu dyplomata Griszyn, rzucając w

stronę Rastiapina mordercze spojrzenie. – Jurij Wiktorowicz nie chciał pani obrazić. Po prostu niezręcznie się wyraził. Chcę, żeby pani zrozumiała...

I znowu popłynęły słowa o obronności naszego kraju, surowcu strategicznym, zbrodniczym rozkradaniu bogactw naturalnych, politycznej arenie międzynarodowej, interesach Rosji w świecie muzułmańskim. Wszystkie słowa były jasne i czytelne, ale nie dawały odpowiedzi na pytanie: jak sobie poradzić ze smutkiem przy stracie najbliższych. Co się stanie z rodziną Kosti Małuszki? Co się stanie z rodziną Wakara? Jak Eduard Pietrowicz Denisow przyjmie śmierć syna? I jak sobie poradzi z bólem ona sama, Nastia Kamieńska? Każdy człowiek ma swoją prawdę. Prawda ludzi z wywiadu polega na tym, że nie ma nic ważniejszego niż interesy państwa. Prawda Nasti Kamieńskiej – że nie ma nic ważniejszego nad ludzkie życie, nawet jeśli jest to życie byłego kryminalisty czy generała zabójcy. Bo śmierć jest rzeczą nieodwracalną, której nie można już naprawić.

– Jest pani wolna, Anastazjo Pawłowno – powiedział sucho Gordiejew. – Proszę się nie oddalać, potem panią wezwę.

Nastia z ulgą opuściła gabinet szefa. Od razu za drzwiami, jeszcze na korytarzu, zrzuciła pantofle i poszła dalej boso, czując przez cienkie rajstopy chłód podłogi, wilgotnej od wody i błota, naniesionego z ulicy.

6

Gordiejew pojawił się po mniej więcej dwóch godzinach; przez ten czas zadręczył do reszty kolegów agentów, wymigując się od ich dokuczliwych pytań, dając wymijające odpowiedzi i mgliste obietnice i przy okazji próbując wyciągnąć z nich jak najwięcej informacji. Odprowadziwszy gości, nie zadzwonił do Kamieńskiej, tylko zaszedł do niej.

– Jak się masz, Stasienko? – zapytał serdecznie.

– Nienajlepiej, Wiktorze Aleksiejewiczu. Pierwszy raz coś takiego mi się przydarzyło.

– To nic, kochana, musisz się trzymać. Nie chcę przez to powiedzieć, że się do tego przyzwyczaisz, do tego akurat nie należy się przyzwyczajać, ale z czasem nauczysz się, jak sobie z tym radzić. Co słyhać na temat Jerochina?

– Uciekł. – Machnęła smętnie ręką. – Już rano było wiadomo, że zniknął. Człowiek Denisowa powiedział śledczemu, że do Wakara i do niego strzelał Igor Jerochin, milicja natychmiast rozpoczęła poszukiwania, ale wszelki ślad po nim zaginął. Ale to nieważne, Wiktorze Aleksiejewiczu, i tak się nie wymknie.

– Skąd ta pewność?

– Po pierwsze, nie może na dłuższy czas opuścić Rieznikowa.

– Dlaczego?

– A bo ja wiem – odparła z rozdrażnieniem w głosie. – Nie może, i tyle. Bo gdyby mógł, zabójstwo Wakara nie byłoby dla niego takie

pilne. Jeśli Wakar jest niebezpieczny jako potencjalny świadek jakiegoś wydarzenia, to można przecież nie brać w nim udziału, prawda? Wakar chodzi za Jerochinem jak cień, czyli że gdzie nie ma Jerochina, tam nie ma i Wakara. Ale Jerochin z jakiegoś powodu nie może sobie pozwolić „nie być” w jakimś miejscu, i to już niebawem, więc spieszy się z zabójstwem Wakara, żeby nie przyprowadzić go za sobą.

– Założmy, że tak jest. – Pączek kiwnął głową. – A po drugie?

– A po drugie, Jerochinowi depcze po piętach człowiek Denisowa. I mam wielką nadzieję, że go nie zgubi.

– To dobrze, że masz nadzieję – westchnął Gordiejew. – Nie chciałem ci mówić, ale chyba jednak powiem. To okrutne z mojej strony – mówić ci o tym teraz, tym bardziej że sama powinnaś to rozumieć. Ale muszę mieć pewność, że jest to dla ciebie jasne.

Zamilkł na chwilę, przekładając długopisy i ołówki leżące na biurku.

– Mówiłaś mi, że Denisow jest twoim dłużnikiem i dlatego masz moralne prawo prosić go o przysługę. Owa przysługa skończyła się tym, że odebrałaś mu syna. Teraz ty jesteś jego dłużniczką, ale tego długu nie będziesz w stanie spłacić. Nigdy. W żaden sposób. Powinnaś zdawać sobie sprawę z tego, że dopóki Denisow żyje, będziesz pokutować za swoją lekkomyślność.

– Wiem – głucho odrzekła Nastia, a w duchu dodała: Jak powiedziałyby świętej pamięci Wakar, jestem gotowa ponieść odpowiedzialność za wszystko, co zrobiłam. Chociaż to brzmi potwornie, pan, Władimirze Siergiejewiczu, stał się dla mnie w

pewnym sensie przewodnikiem moralnym. Dziękuję panu. I proszę mi wybaczyć.

7

Ceremonia żałobna odbywała się w auli Akademii Sztabu Generalnego. Eduard Pietrowicz Denisow uparł się, żeby przyjść tutaj razem z Nastią.

– Chcę zobaczyć człowieka, dla którego zginął mój syn – powiedział twardo.

Stali obok siebie w tłumie ludzi, którzy przyszli, aby pożegnać się z generałem Władimirem Wakarem – blada, wymizerowana Nastia i wysoki siwy Deni sow, niczym niezdradzający swego stanu ducha. Przy trumnie zobaczyli żonę i córkę Wakara, a obok nich Dmitrija Sotnikowa. Żal było patrzeć na Lizę, zdawało się, że nie pojmuje, co się dzieje, i ciągle usiłuje zrozumieć, dlaczego jej ojciec tutaj leży, a jacyś obcy ludzie wygłaszają pożegnalne mowy. Jej poszarzała twarz naznaczona była piętnem obłędu i rozpacz. Nogi co chwilę się pod nią uginały, i Dmitrij musiał ją ostrożnie podtrzymywać, żeby nie upadła. Za to Elena stała surowa i uroczysta, z rozjaśnioną, pełną błógiego spokoju twarzą, jakby słyszała anielskie chóry, śpiewające tylko dla niej.

– My, żołnierze dywizji powietrzno-desantowej, którą dowodził generał major Wakar, zawsze będziemy pamiętać, że zawdzięczamy mu życie. Wziął na siebie odpowiedzialność za niewykonanie rozkazu, opartego na nieaktualnych danych, ryzykował wszystko, ale ocalił nas, chłopaków, od pewnej śmierci... Jest nas tutaj sześćdziesięciu pięciu, i przyszliśmy, żeby powiedzieć, że w każdym z nas Władimir Siergiejewicz będzie żył sześćdziesiąt pięć razy, bo dopóki żyjemy i pamiętamy go, będzie z nami.

Nastia popatrzyła na wruszoną twarz młodego człowieka, potem przeniosła wzrok na tych, którzy stali za nim. Sześćdziesiąt pięć młodych twarzy, sześćdziesiąt pięć par oczu żegnających swego mistrza. Co stanie się z ich duszami, kiedy się dowiedzą, że zawdzięczają życie mordercy?

Nie, za nic. Za nic nikomu o tym nie powiem. Niech generał Wakar umrze jako bohater. Niech tych sześćdziesięciu pięciu ludzi żyje długo i szczęśliwie, wspominając mistrza, któremu może będą starali się dorównać. Nikt nie dowie się prawdy, ale nie jest ona nikomu potrzebna.

– Anastazjo – Denisow dotknął jej ramienia – dlaczego jego żona tak dziwnie się uśmiecha?

– Uważa, że zatriumfowała sprawiedliwość. Kiedyś, wiele lat temu, zabito im synka, i ona cały czas zachęcała męża do zemsty na zabójcach. Mówiła, że dusza dziecka nie znajdzie spokoju, dopóki takie potwory chodzą po ziemi, i ciągle wyrzucała Wakarowi, że nie chce się o to zatroszczyć. No i dosięgnęła go ręka boska.

– To jakieś szaleństwo. Może jest chora psychicznie?

– Ależ skąd, jest po prostu fanatyczką religijną. Jej córka natomiast jest poważnie chora. Wyobraża pan sobie, w jakim koszmarze żył ten człowiek?

– Jak długo to trwało?

– Dziewięć lat.

– Nie ma mu czego zazdrościć. – Eduard Pietrowicz pokiwał głową. – Może to, co powiem, to bluźnierstwo, ale chyba było to dla niego najlepsze wyjście. Wybawienie.

– Możliwe – ze smutkiem zgodziła się Nastia. – Możliwe.

– A przestępcę? Mam na myśli tego, kto zastrzelił generała i mojego chłopca? Wiecie, kim on jest?

– Tak. Lada chwila go schwyjemy. Zresztą, Eduardzie Pietrowiczu, pańscy ludzie bardzo nam w tym pomagają. Pewnie mówię głupstwa, ale może to pana trochę pocieszy. Jeśli go dostaniemy, to tylko dzięki panu i pańskim ludziom.

– ...Wzór niezłomności, męstwa i wierności zasadom. Władimir Siergiejewicz był niezwykle porządnym człowiekiem, nikogo nie skrzywdził, z nikim nie wyrównywał rachunków. My, młodzi oficerowie, zawsze staraliśmy się mu dorównać, braliśmy z niego przykład...

Nikt. Nigdy. Się nie dowie.

MUR (Moskowskij ugołownyj rozysk) – Moskiewski Wydział Kryminalny (przyp. tłum.)

GUWD (Gorodskoje uprawlienije wnutriennich dieł) – Miejski Wydział Spraw Wewnętrznych (przyp. tłum.)

